

POWIEŚCI

— 0 —

ZBÓJCACH, OPRYSZKACH
I HAJDAMAKACH. □ □ □

△ △ △

ZEBRAŁ I SPISAŁ

JÓZEF CHOCISZEWSKI.

BYTOM. G.-Ś.

NA ZŁADEM I CZCIONKAMI „KATOLIKA”.

SPÓŁN. WYDAWNICZEJ Z OGR. ODPOW.

1905.

10445/66

SL12

213751

I

0'4.

Antykr, 4-4

16.7.66 25.11



WSTĘP.

Dawnemi czasy było w naszym kraju zbójstwo dość powszechnem, o czem świadczą liczne opowiadania, które jeszcze po dziś dzień krążą pomiędzy ludem. Dziwna rzecz, że zbójcy w powieściach i na scenie są bardzo sympatycznymi postaciami, chociaż w rzeczywistości życie rozbójników wcale nie jest powabnem. Zbójca wciąż żyje w przestrachu, a ile nacierpi się głodu, zimna i wogóle nędzy! Trzeba nieraz dla ocalenia życia i wydarcia mienia zabijać bliźnich, a to zbrodnią i grzechem. Wyrzuty sumienia zatruwają życie zbójcom, a przytem obawa, że po śmierci czeka ich piekło.

Czemu się dzieje, że mimo to powieści o zbójcach są ulubione, a mianowicie od młodzieży? Oto zwykle w powieściach rozbójnicy występują jako ludzie szlachetni, którzy rabują bogatych, a wspierają biednych. Często też zbójcy karali ciężkie zbrodnie ciemżycieli ludu, przytem byli to zawsze ludzie nieszczęśliwi, a nieszczęście, mniejsza o to czy zasłużone lub niezasłużone, budzi zwykle litość u ludzi.

Zbójcy przebywają najczęściej w górach i lasach i cieszą się nieograniczoną swobodą,

to także powiększa urok zbójckiego życia. Wszystko, co mało znamy i co tajemniczością osłonięte, budzi zwykle zajęcie.

Wydając zbiór powieści i opowiadań o zbójcach, chcemy przede wszystkim wzbudzić odrazę od zbójckiego rzemiosła. Rozbójnik przestępuje często piąte a w każdym razie siódme przykazanie Boże. Cóż z tego, że wspiera nieraz biednych, religia potępia takie dobrodziejstwo, bo ukradziony i zrabowany grosz nie posiada błogosławieństwa Bożego. Nieraz słyszymy nawet legendy, że zbójcy budowali Kościoły. Czyż może być miłą Panu Bogu ofiarą, złożona rękami, które się skalały krwią i krzywdą bliźnich?

W naszym kraju jest już zbójectwo wytępione, ale w południowych krajach a mianowicie we Włoszech jeszcze po dziś dzień bandyci niepokoją spokojnych ludzi.

„Hajdamaka“ jest wyraz ruski, oznaczający zbójcę, a „hajdamaczyznę“ zwano na Rusi powstanie kozaków przeciw żywiołowi polskiemu i żydom. U Sербów słynęli zbójcy, zwani hajdukami, którzy mścili się na Turkach za popełnione bezprawia i mordy.

Polecam uwadze czytelników dwie sztuki teatralne, umieszczone w niniejszem dziełku tj. „Nawróceni zbójcy“ i „Wór pieniędzy w lesie“, które się mogą przyczynić do miłego spędzenia czasu podczas długich zimowych wieczorów.

J. Chociszewski.



ROZBÓJNICY.

Wiersz napisany przez ks. biskupa Hołowińskiego.

Trzy góry wyniosłe
Drzewami porosłe,
A rzeka u spodu gór:
Płaszczyzna za rzeką
Ciągnie się daleko
A w głębi czernieje bór.

Gdzie góra środkowa
Tam w grocie się chowa
Mnich Jan chcąc samotnie żyć;
Lecz braci niemało
Do niego przystało,
By Stwórcę w pustyni czcić.

Lud widząc wzorowe
Ich życie surowe,
Obfite jałmużny stał;
Przez niedługie lata
Świątynia bogata
I klasztor na górze stał.

Skarbami dźwignięty
Od królów gmach święty
Nie ma tyle łaski sił:
Jak ten, co postami,
Czuwaniem i łzami
I modły wzniesiony był.

Raz w północnej chwili
 Tam zbójce przybyli,
 Pragnąc zrabować ten gmach:
 Blask w oknie wciąż błyska,
 I patrzą tam z bliska,
 A nagle zdejmują ich strach.

Bo zbójce ujrzeni,
 Że krzyżem wśród celi
 Leżał i modlił się Jan:
 Lecz trudny był połów,
 Bo przy nim aniołów
 W około postawił Pan.

W niezmiernym przestachu
 Natychmiast od gmachu
 W gęstwinę ruszyli w skok;
 Strach przeszedł, i we dnie
 Już mówią: To brednie,
 Tuman omamił nam wzrok.

W noc drugą przychodzą
 Mur wielki znachodzą,
 Co w koło otaczał gmach:
 I to ich zdziwiło,
 Bo we dnie nie było,
 I znowu ogarnął strach.

Jan właśnie w tej porze
 W koło przy klasztorze
 Chodząc na modlitwie trwał:
 A szczerze te modły
 Mur wielki wywiodły,
 Co w oku tych zbójców stał.

Strach przeszedł, i we dnie
 Znów mówią: to brednie,
 Tumanem zwiódła nas noc.
 Porzucim ich cele,
 Bo tylko w kościele
 Skarbów zebrana jest moc.

I w nocnej godzinie
 Przyszli pod świątynię,

Blask widzą i słyszą śpiew;
 I mówią: znać rano,
 Nim modły ustana,
 Skryjmy się w gęstwinę drzew.

Idą do świątnicy
 Wszyscy zakonnicy,
 A zbójców ogarnie gniew
 Tfu, czy czarów siła
 Tak nas omamiła,
 Żeśmy słyszeli ten śpiew?

Obstąpmy do koła,
 Wpadniem do kościoła,
 I mnichów wytniemy w pień;
 Gmach złupim do szczętu
 Ze skarbów i sprzętu,
 Nim jeszcze zabłyśnie dzień.

Gdy kościół otoczą,
 I do drzwi przyskoczą,
 Cud straszny wstrzymał ich krok:
 Gmach wzbił się od ziemi
 I zawisł nad niemi,
 W zdumieniu podnoszą wzrok.

I żaden w kościele
 Nie czuł jak Bóg wiele
 Uczynił w modlitwy czas!
 A zbójcy w przestrachu
 Natychmiast od gmachu
 Piorunem pobiegli w las.

Lecz kilku wróciło,
 I w zakonie było,
 Gładząc pokutą swój błąd;
 A tych, których Boga
 Nie tknęła przestroga,
 Pojmanych ćwiartował sąd.



Rozbójnik w okolicy Poznania.

Powieść oparta na prawdziwym zdarzeniu.

I.

Dawnemi czasy, kiedy w naszym kraju rozległe były bory, raz po raz rozbójnicy prowadzili w nich brzydkie swoje rzemiosło. Przed 80-ciu mniej więcej laty dokazywał w samym Poznaniu i w okolicach rozbójnik, a przytem i oszust, czyli po niemiecku tak zwany »Hochstapler«, gdyż polski język nie posiada jeszcze odpowiedniego wyrazu na oznaczenie podobnego człowieka. Był to Jerzy Potocki. Oczywiście, że to było nazwisko przybrane, podobno nazywał się także Raczyńskim. Przybierał zawsze szlacheckie nazwiska, gdyż głównie polował na szlachtę i to najchętniej w Poznaniu. Rozbijał także po lasach z szajką dobranych rabusiów, ale tylko czasami, aby zatrzeć ślad po sobie, szczególnego jednak zamiłowania do niebezpiecznego i niewygodnego życia po lasach nie posiadał. Potocki znał, oprócz polskiego języka, francuzki, niemiecki i rosyjski, co mu ułatwiało wstęp w różne koła towarzyskie. Był przytem przystojny, miał salonowe wzięcie, a że służył wojskowo, nawet wspominał, jakoby walczył pod Napoleonem, przeto zawierał znajomości z wojskowymi. Oprócz wykwintnych form towarzyskich, posiadał dość gruntowne wykształcenie, przynajmniej umiał mówić gładko o wszystkim. Niezawodnie pochodził z dobrego domu szlacheckiego, ale straciwszy rychło majątek i pozbawiony zasad moralnych, oraz chęci do pracy, puścił się na lekkie życie. O tym mniemanym Jerzym Potockim, gdyż o jego rzeczy-

wistem nazwisku nikt się nigdy nie dowiedział, krążyły dawniej liczne opowiadania, z tych kilka tu przytaczam.

Potocki lubił się najchętniej przyczepiać do młodych paniczów, którzy obfitowali w pieniądze.

Służył im radą i pomocą, ułatwiał znajomość z pięknymi kobietami, sekundował w pojedynkach, a nawet sam pojedynkował się chętnie za swych znajomych, co mu łatwo przychodziło, gdyż tuż za czerwienego trafiał na 20 kroków, przytem był mistrzem w władaniu pałaszem lub szpadą. Samo przez się rozumie, że bawił także młodzików grą w karty, bo i w tym kierunku doprowadził do wielkiej biegłości. Dużemi paznogciami umiał bez zwrócenia uwagi znaczyć asy i króle, a przytem znał inne sztuki. Wygrywał dużo, to też prowadził domotwarty i wesoły.

Nieraz stracił w jednym dniu sto talarów i więcej. Używał świata, to prawda, ale wspomagał też często biednych. I tak, dowiedziawszy się przypadkiem o chorym rzemieślniku, który był bardzo pracowitym i porządnym człowiekiem, pożyczył mu zaraz 100 talarów. Powziawszy wiadomość o biednej wdowie, nie mogącej dla ciężkiego kalectwa wychodzić z domu, zaniósł jej 10 talarów. Bardzo pilny uczeń nie mógł szkolnego zapłacić. Potocki przeznaczył zaraz kilkanaście talarów na zapłacenie szkolnego. Chłop pewien pogorzał po żniwach. Byłby zapewne wyszedł z kijem żebraczym, ale nasz Jerzy pożyczył mu 300 talarów bez procentu na dłuższe lata. Podobnych dobrodziejstw wiele świadczył, a choć był to grosz nieuczciwie zarobiony, jednakże ta hojność świadczyła o dobrym sercu Potockiego, które zostało skrzywione przez złe towarzysztwa i zaniedbane wychowanie.

Blisko dwa lata przebywał Potocki w Poznaniu a nie miał dotąd nic do czynienia z policją; jednakże w końcu nie tylko zwróciła władza nań uwagę, ale wydała rozkaz, aby go uwięzić.

Wyższy urzędnik policyjny, z którym znał się dobrze Potocki, odebrał rozkaz aresztowania rzeźmiesza, który z zimną krwią oświadczył, że udaje się natychmiast do więzienia. Jakoż poszedł, rozpoczynając z towarzyszem ożywioną gawędkę. Gdy przechodzili obok winiarni, gdzie się nieraz spotykali, zwrócił Jerzy od niechcienia uwagę, że nie zaszkodziłoby wypić szklaneczkę wina. Urzędnik się zawahał, Potocki jednakże rozbroił jego wątpliwość następnemi słowy:

»Czy się pan obawiasz, abym czasem nie uciekł? Ależ te obawy zupełnie płonne, gdyż moje sumienie czyste, zatem o ucieczce ani myślę. Otóż, widzę dwóch policyantów, każ im pan stanąć u obydwóch wyjść do kamienicy, a zresztą przecież będę wciąż razem z panem radzcą, zatem o ucieczce ani mowy być nie może.«

Po tych słowach sam pierwszy wkroczył do winiarni, tak że urzędnik rad nierad poszedł za nim, wydawszy rozkaz sługom policyjnym, aby pilnie strzegli wejść do kamienicy i nie wypuścili żadną miarą tego pana, który wszedł do winiarni. Potocki kazał dawać obficie wina, przekąsek, a że się znalazło kilku znajomych, rozpoczęła się więc pijatyka w najlepsze. Nie zapomniał on nawet o policyantach, którzy także dobrze sobie podchmielili.

Kiedy już z godzinę hulano, urzędnik powstaje, żeby iść dalej. Potocki przeprasza, że tylko wyjdzie na podwórze i zaraz wróci, mówiąc:

»Niechże pan radzca tam oka nie spuści, gdzie wyjście na ulicę, za dwie minuty jestem z powrotem; a zresztą zostawiam kapelusz«.

Radzca czeka, dwie minuty upłynęły, pięć minut upłynęło, a rzezimieszka jak nie widać, tak nie widać. Urzędnik wybiega na podwórze, robi hałas, każe wszędzie szukać, ale wszystko napróżno. Potocki przepadł, jak kamień we wodę wrzucony. Sprowadzono więcej policyantów, urządzono najściślejsze poszukiwania, ale złoczyńcy jak nie ma, tak nie ma. Radzca woła wszystkich domowników, pyta się, bada, ale nikt nie wie o niczem; w końcu zapytał się stróża rąbiącego drzewo, a ten mówi dobroduszenie:

»Proszę wielmożnego pana, co prawda, wszedł tu pan, ładnie ubrany, i dał mi talara w rękę. Myślę sobie, dobry i talar na te ciężkie czasy, aż tu ów pan mówi do mnie: Macieju! bo my to się niby dobrze znamy, dobre to panisko, nieraz on człowieka złotówką poratował, a więc mówi drugi raz: Macieju oto dajcie mi prędko wasz kapelusz i sukmanę, a ja wam zostawię moje dwa surduty i jeszcze dobrze zapłacę, bo ja pójdę do mojego dobrego przyjaciela, aby mu sprawić uciechę. Za pół godziny przyjdę z powrotem. Potem dał mi jeszcze talara, a że sukmana leżała w drewniku, wdział ją prędko na siebie, włożył kapelusz na głowę i prędko wyszedł. Ogniecie się spieszył, a co mi się zdaje, to jakby i broda mu się zkądziś wzięła, nie wiem, czy tak prędko urosła, czy co? Otóż dopraszam się łaski wielmożnego pana, tak się rzeczy miały, a pierwsze słyszę, że tego pana policya szuka. O! żebym to był prędzej wiedział, nie dałbym mu kapelusza i sukmany.«

Ogromna wrzawa zrobiła się w Poznaniu. Szukano wszędzie w mieście i w okolicy, ale się tyle tylko dowiedziano, że złoczyńca udał się do swego pomieszkania, gdzie zabrał pieniądze i kosztowności, a potem jakby w ziemię zapadł.

Radzca policyjny wyszedł na tem najgorzej, gdyż został złożony z urzędu.

II.

Potocki po tej awanturze puścił się do Wrocławia, gdzie pewien czas przebywał pod przybranem nazwiskiem. Rozwinał tu taką czynność, że policya postanowiła go aresztować. Dostał o tem wiadomość, przeto wyniósł się z Wrocławia, ale poprzednio napisał kilka listów do dyrekcyi policyi w Poznaniu, opisując, że poszukiwany Potocki bawi w Wrocławiu. Podał dokładnie mieszkania, hotele, w których przebywał, a nawet osoby, z którymi miał stosunki.

Poznańska policya natychmiast wysłała zaufanego i biegłego urzędnika do Wrocławia, a Potocki udał się pod Poznań, gdzie się schronił w lesie u dobrego znajomego z lat dawnych, na którego mógł śmiało liczyć. Władza szuka go gorliwie w Wrocławiu, a że istotnie znajdowały się ślady pobytu, przeto sądzono na pewno, że go pochwyca, a złoczyńca tymczasem chodził spokojnie po ulicach Poznania, wprowadzie zawsze przebrany. Posiadał on szczególną biegłość w zmienianiu postawy. Raz przychodził jako żebrak, to znowu jako zakonnik, chłop lub żyd, a nawej i w kobiece przebierał się suknie. Zdarzyło się razu pewnego, że gdy żebrał, aresztował go jeden z tych policyantów, co nań pilnowali przed winiarnią, ale go nie poznał. Mnie-

manego żebraka skazano na kilka dni więzienia, co go wcale nie zasmuciło, gdyż poznał bliżej gmach więzienny i zaraz osnuł sobie plan, jakby najlepiej w danym razie umknąć z więzienia.

Przebywał też Potocki i w lesie, gdzie sobie wynalazł bezpieczne schronienie. W niedostępnej gęstwinie wznosił się dąb potężny, w środku wypróchniały. Tam urządził sobie wygodne legowisko ze słomy, gdzie za dnia siadywał, a w nocy spał u swego znajomego, który dawał wszelką rękojmię, że zachowa tajemnicę, gdyż sam był kandydatem do domu karnego, przeto miał wszelkie powody, aby nie zawierać bliższej znajomości z władzami.

Potocki dobrał sobie kilku odważnych ludzi, z którymi odbywał napady. Surowo zakazał swym towarzyszom, aby nikogo nie ranili, tem mniej zezwalał na zabójstwo kogokolwiek. Biednych ludzi wspierał, jak dawniej, dlatego wszędzie miał przyjaciół, którzy mu pomagali w potrzebie. Bronił nawet uciśnionych i srogo karał prześladowców i ciemiężycieli. O dwie mile od Poznania mieszkał gospodarz, Kubiaczyk nazwiskiem. Był to człowiek poczciwy, ale strasznie nieogłędny. Pożyczył on pieniędzy od żyda, Jankła Berlacha w Poznaniu, lichwiarza i obrzynacza, jakich mało. Żydów pożyczyl mu gotówką może ze 100 tal., ale że chłop był głupi i podpisywał każdy papier, przeto po trzech latach z tych 100 tal. zrobiło się 500 tal., a jeszcze Kubiaczyk dał niemało zboża, gęsi, jaj i kur, niby to za czekanie. Jankiel postanowił ostatecznie zabrać gospodarstwo, dlatego zaskarżył Kubiaczyka, a gdy tenże nie mógł oddać długu, podał hubę na subhastę.

Dowiedział się o tem wszystkiem Potocki, który w borach najczęściej przybierał nazwisko Kaspra

Rabały. Napisał zaraz groźny list do żyda, że jak w krótkim czasie nie oświadczy przed sądem, że mu się tylko 100 tal. należy, czeka go wielka kara za wszystkie oszukaństwa. Jankiel śmiał się z listu i oddał go na policję. Wkrótce odebrał drugie groźniejsze napomnienie, aby w dwóch dniach załatwił sprawę z Kubiaczykiem, inaczej dostanie 100 batów i straci dość pieniędzy. Żyd znowu się śmiał i oddał list na policję. Wtedy Kasprowi, który udawał leśniczego, przebrała się cierpliwość. Dobrawszy sobie kilku zuchów, czatował na Berlacha, kiedy wyjeżdżał z Poznania na wieś. Razu pewnego schwycił go w lesie. Kazał go ściągnąć z bryczki i zaprowadzić w głąb lasu, a bryczkę oczywiście kazał uprowadzić na stronę. Pyta się

Kasper: »Żydzie, czyś załatwił sprawę Kubiaczykiem?«

Jankiel: »Ny, co waszmościowi do tego, ja będzie takiego gałgana na policję oddać.«

Kasper: »A ty żydzie zbereźniku, oszuście, obrzynaczu, pijawko wysysająca krew biednych ludzi, ja cię nauczę rozumu. Sypnijcie mu 20 odlewanych batogów.«

Przyskoczyło trzech drabów, którzy żyda położyli na pień i wsykali mu 20 batów, aż Berlach krzyczał w niebogłosy.

Zapyta się potem

Rabała: »No i jakże, Jankielu, pójdziesz na policję. Teraz gadaj żydzie, bo cię na śmierć każe zabatożyć. Czyś Kubiaczykowi opuścił 400 talarów, bo przecież tobie należy się tylko 100 tal.?«

Jankiel: »Aj waj, to boleć. Jaśnie wielmożny panie sędzio, ja nie mieć czasu, ale ja zaraz

jechać do Kubiaczyka i te 400 tal. opuścić, ale niech jaśnie wielmożny pan hrabia odda mi bryczkę.»

R a b a ł a: »A widzisz, jak boli, to inaczej śpiewasz. Chłopcy przytrzymajcie tu żyda, a ja zrewiduję bryczkę.«

Żyd padł na kolana i prosił z płaczem, aby mu bryczkę oddać, że on już wszystko dobrze zrobi. R a b a ł a przeszukał bryczkę. Znalazł w niej 1000 tal. gotówką i różnych lichwiarskich rewersów na 1000 tal. Wszystkie rewersy niesprawiedliwe podarł na drobne sztuki, a potem tak rzekł:

»Te 1000 tal. zatrzymuję jako zastaw. Skoro odrobisz z Kubiaczykiem interes, to znaczy, że skwitujesz go z odebrania 500 talarów, wtedy oddam ci 900 tal. i bryczkę, gdyż ja sobie tylko 100 tal. za dzisiejszą fatygę liczę. Jak nie oddasz, dostaniesz 100 potężnych batów i te 1000 tal. ci przepadną, a jeszcze najmniej z 1000 talarów zapłacisz. Teraz jeszcze należy ci się 100 batów za to, żeś nie usłuchał napomnień. Połowę ci daruję, ale 50 jeszcze dostaniesz.«

Żyd pada znowu na kolana i prosi na wszystko w świecie, żeby mu te 50 batów opuszczono.

»Dobrze«, powiada R a b a ł a, »niech i tak będzie, zważ żydzie, że masz do czynienia z szlachcicem; opuszczę ci baty, ale za każdy bat talara, przystajesz czy nie?«

Jankiel chętnie przystał, a wtedy R a b a ł a odliczył z trzosa 50 tal. i rozdzielił między swych pomocników. Potem powiedział Berlachowi, jak ma zrobić z Kubiaczykiem, a 850 tal. odbierze z powrotem, i kazał wsiąść na bryczkę i odjechać.

Jankiel już na drugi dzień wystawił kwit, że od Kubiaczyka pieniądze odebrał, cofnął subhastę

i sam zawiózł kwit gospodarzowi. Nazajutrz odebrał 850 tal. od jakiegoś znakomitego pana. Berlach pokręcił głową, gdyż co prawda, nie spodziewał się, że te pieniądze odbierze.

»Ny!« pomyślał sobie, »ten pan sędzia czy zbójca wali baty, ale to jednak feiner Herr, hast du gewidziolt.«

Od tego czasu Jankiel się poprawił, jeżeli pożyczal pieniędzy, najwyżej żądał 10 procent na rok, a dawniej nie wstydził się i 100 procent brać, to jest za 100 marek kapitału, 100 marek odsetki czyli procentu. Widać, że baty czasem pomagają.

Nie dosyć na tem, Rąbała rozgłosił, że wszystkich lichwiarzy karać będzie w podobny sposób. Trwoga padła na Izraela w Poznaniu i w pobliskich miastach. Można sobie wystawić, jaką sobie Rąbała pozyskał przez to miłość u wieśniaków. Mógł być śmiało do pierwszej lepszej chaty wstąpić, a wszystko było na jego zawołanie. Razu pewnego ścigał go żandarm. Rąbała wpadł do najbliższego domu, powiedział, że jest Rąbałą, a zaraz gospodarz prędko zaprowadził go do stodoły, dał mu klucz od tylnych drzwi i kazał uciekać w zboże, a klucz miał rzucić o kilka kroków. Żandarm nadbiega, szuka, przetrząsa cały dom, wszystkie budynki, ale ani śladu nie znalazł, a zbieg był już w lesie.

Tak samo postąpił sobie Rąbała z pewnym panem, który okropnie katował swych ludzi. Upominał go dwa razy, a gdy nie pomogło, zastąpił mu drogę, kiedy ów pan jechał lasem i kazał mu na początek tylko 20 palnąć batów na kopcu, przyrzekając, że na drugi raz już 40 batów dostanie.

Srogi pan się poprawił, ludzi nietylko nie dręczył, ale owszem stał się dla nich prawdziwym ojcem.

Dowiedział się też Rąbała, że syn ojca nie szanuje. Był to młody gospodarz, któremu ojciec oddał posiadłość, a sobie wymówił tak zwany wymiar, czyli wycug. Syn nie chciał dawać wymiaru, źle się z ojcem obchodził, a nawet chciał rękę podnieść na niego. Rąbała wpadł pewnej nocy do domu, wyciągnął syna z łóżka, kazał go rozciągnąć na sнопie słomy i palnąć 25 bizunów, a potem dał mu takie napomnienie:

»Czy ty nie znasz czwartego przykazania: Czcij ojca i matkę swoją? To ty tak się odwdzięczasz staremu ojcu za wychowanie i wszelkie dobrodziejstwa? A ty trutniu jakiś, ty niegodziwcze, ja ci pokażę, co to znaczy źle się z ojcem obchodzić. Jak jeszcze raz ojcu tylko choć jedną przykrość zrobisz, dostaniesz 50 batów, pamiętaj to sobie, a teraz bądź zdrow.«

Co powiecie na to, że syn po tej bastonadzie stał się zupełnie innym człowiekiem, a ojciec codziennie modlił się za powodzenie Rąbały, gdyż odtąd miał spokojne życie. Oj, takich Rąbałów trzeba dziś kilkunastu, coby jeździli po naszym kraju i uczyli rozumu niewdzięcznych synów i niewdzięczne córki!

III.

Rąbała dokazywał w lasach około Poznania, które wówczas były daleko większe aniżeli dziś. Razu pewnego zrabował pocztę. Wtedy wszystkie urzędy zaczęły go ścigać, nawet wyznaczono kilka set talarów za jego odstawienie. Rąbała długi czas się wywijał, przecież w końcu »przyszła kreska na Matyska«. Potocki, inaczej Rąbała, został schwy-

tany i odstawiony do więzienia poznańskiego, gdzie go zakuto w kajdany i pilne nań dawano baczenie.

Potocki zachowywał się bardzo spokojnie, mówił wciąż o swej niewinności i płakał, że się z nim tak nielitościwie obchodzą. Powoli umiał sobie zyskać zaufanie dozórce, prowadził z nim długie rozmowy, a że umiał pięknie opowiadać, dozorca chętnie słuchał. Razu pewnego zapytał, ile ma dzieci?

Dozorca mówi, że sześcioro.

»Mój Boże!« powiada Potocki, »sześcioro dzieci, ciężko wychować, aleć jabym miał radę, żeby panu dopomódz uczciwym sposobem.«

Dozorca ciekawo prosi, aby mu ten sposób objawił; więzień się wzdryga, nakoniec tak się odezwał,

»Co prawda, oszczędziłem sobie parę groszy: które mam zakopane w lasku w Dębinie, niedaleko Warty. Jest tam tyle dukatów, że jakbyśmy się podzielili, i jabym miał dosyć i pan byłbyś bez kłopotu na przyszłość o dzieci.«

Dozorca pytał się, jakby te pieniądze wydobyć, ale Potocki powiedział, że sam musi być w Dębinie, bo on tylko zna dobrze miejsce, gdzie skarb zakopany. Dozorca się wahał, ale Potocki zaczął mu domawiać, że tylko pójdzie i pokaże, a potem znowu przyjdzie do więzienia, a zresztą choćby uciekł, dozorca będzie miał tyle pieniędzy, że może za urząd podziękować. Nakoniec dał się urzędnik nakłonić, rozkuł kajdany i cichaczem wyprowadził Potockiego, a potem poszedł z nim w nocy do Dębiny. Pod wielkim dębem przy wielkim kamieniu istotnie znalazła się skrzyneczka, pełna złota. Potocki podzielił się z dozorcą, ale do więzienia już iść nie chciał, gdyż mówił, że za taką ilość pieniędzy każdy dozorca wypuściłby go z więzienia. Zre-

szta wnet sprawę załatwił, gdyż gwizdnawszy prze-
rażliwie, uciekł czem prędzej w krzaki, a dozorca
ani nie gonił, złotem obładowany.

Pociągnięto później dozorcę do odpowiedzialno-
ści, a nawet złożono z urzędu, ale on nie smucił
się bardzo z tego złożenia, gdyż założył handelek,
żył sobie spokojniej, aniżeli jako dozorca, a nikt mu
nad głową nie brzęczał, jak w więzieniu, gdzie wię-
źniowie, inspektor i inni dozórцы zatruwali mu życie.

IV.

Potocki, wydobywszy się na wolność, postano-
wił przycupnąć i siedzieć cicho, bo w lasy nie miał
ochoty się udać. Serce jego zapragnęło miłości,
a nawet pragnął się ożenić, gdyby tylko nadarzyła
się sposobność. Kobiet dość na świecie, a miano-
wicie takich, któreby chciały pójść za męża, nie miał
sobie zatem nad czem głowy łamać, bo wnet się
dowiedział o ładnej wdówie, Laurze Kolnickiej,
która niecierpliwie oczekiwała na męża.

Potocki, przybrawszy sobie nazwisko kapitana
Raczyńskiego, herbu Nałęcz, kupił elegancki kocz,
parę siwych koni, i najał stangreta w krakowskiem
ubraniu. Udał się potem do owej wioski, którą
wdowa Laura posiadała. Zepsuło się coś u kocza,
zatem trzeba było prosić o gościnność we dworze
i oto znajomość gotowa.

Laura nie była brzydką, wioskę miała ładną,
a dziwnie poetycznie była usposobiona, pisywała na-
wet wiersze, które jakieś pismo poznańskie druko-
wało. Będąc zamężną nie doznała wymarzonego
szczęścia, gdyż choć małżonek był poczciwym czło-
wiekiem, przytem jednak prostak i lubownik butelki,
a Laura pragnęła małżonka, któryby z nią umiał

marzyć, wzdychać, chodzić przy świetle księżyca, choćby nazajutrz spać do południa.

Kapitan Raczyński dziwnie przypadł do serca Laury. Powierzchnowość miał przystojną, mundur kapitański dodawał mu uroku, a jak zaczął opowiadać o swych bohaterskich czynach, wtedy Laura aż drżała z radości. Kapitan opowiadał najchętniej o Hiszpanii, gdzie dokazywał cudów męstwa. Laura zapytała się, czy to prawda, że Hiszpanki są bardzo ładne.

»O pani!« zawołał Raczyński z zapalem »Hiszpanki istotnie są piękne, czarujące. O pamiętam, jak w Madrycie młoda Hiszpanka czarnemi oczyma spojrzała na mnie«

Wdowa nagle się zasmuciła, lecz kapitan jakby nigdy nic, ciągnął dalej:

»Ale trafiła na swego. Ja już wówczas przyrzekłem sobie, że jeżeli będę kiedy kochał, to tylko Polkę!« dodał, czule na nią spoglądając. Laura się zarumieniła, on schwycił ją za rączkę i pocałował, mówiąc: »Kiedy na panią spoglądam, wtedy najpiękniejsza Hiszpanka w kącie niech idzie, nie chciałbym ani na nią spojrzeć.« Tu westchnął i zaczął dumać, ale o czym, czy o Hiszpanii, czy o więzieniu poznańskim? trudno dociec.

Wdówka także zapuściła się w świat marzeń, a dopiero po jakimś czasie zapytała:

»Czyś pan nigdy nie kochał? O pan zapewne niejedną kobietę uczyniłeś nieszczęśliwą!«

»Pani!« zawołał kapitan z zapalem, »wśród szczątku broni nie było czasu myśleć o miłości, choć przyznaję, że od czasu jak panią poznałem, serce moje zaczyna tęsknić i dopominać się o swoje prawa. O tak kocham, kocham całą siłą pierwszej

miłości, kocham ciebie, Lauro najdroższa, aniele mych marzeń!«

Wdowa się niby przeraziła, zmieszała, ale gdy kapitan na klęczkach prosił choć o jedno słówko nadziei, wtedy i ona wyszeptala, że kocha, bo i jej serce uczuło próżnię, a teraz błady promyk szczęścia zaczyna rozjaśniać ciemne drogi jej życia.

Kapitan był uszczęśliwiony. Zaczęła się teraz swobodna, poufna gawędka. Zakochani sądzą, że nigdy nad nich szczęśliwszej pary nie było.

Czy Raczyński istotnie kochał Laurę? Ale wszakże on był oszustem, rozbójnikiem i więźniem. Nie zapominajmy, że jego serce nie było pozbawione uczuć szlachetnych. Słońce oświeca złych i dobrych ludzi, tak samo i słońce miłości przyświeca sprawiedliwym i zbrodniarzom; miłość jest tak potężna, że nic się jej oprzeć nie zdoła.

Po kilkunastu dniach kapitan i Laura oświadczyli sobie, że bez siebie żyć nie mogą. Zatem ślub miał połączyć dwa czułe serca, aby kosztować niezmaconego szczęścia.

Szczęścia!... zkad mi się ten wyraz wysunął z pod pióra. Czyż jest szczęście na ziemi? O zaiście, szczęśliwy, któremu choć raz w życiu uśmiechnęła się prawdziwa miłość w postaci kobiety dobrej.

Bawią się szczęśliwi kochankowie, a nieraz księżyc w ogrodzie był świadkiem czułych ich przyśiąg i westchnień. O księżycu, ileś ty widział zakochanych par błędzących, ileś słyszał wynurzeń miłosnych, zaklęć i skarg serdecznych, a tyś zawsze milczący, spokojny, poważny, zdajesz się wiecznie dumać, wiecznie marzyć i tęsknić!

Wtem niebo zakrywa się chmur całunem i powleka ciemną powłoką tarcz księżyca. I nad szczęściem dwojga kochanków zawiały chmury, z których miał błysnąć piorun, pragnący rozstrzaskać budowę ich marzeń. Czemuż dni szczęścia takie krótkie, a dni żałoby i pokuty takie długie, nieznośne, jakby wiecznie trwać miały?

Wśród łez i niedoli
Czas stąpa powoli,
Ale w szczęściu leci,
Jak orzeł do dzieci.

V.

Dzień ślubu był już naznaczony. Państwo młodzi wkrótce mają wyruszyć do kościoła, gdzie przed ołtarzem dopełnią sakramentalnej przysięgi. Zajechały pojazdy, goście wsiadać poczęli. Wtem zatętniały podkowy, a na dziedzińcu pokazało się kilku żandarmów. Zbladł kapitan, gdyż przeczuł, że po niego przyjechali. I Laura się przeraziła. Ledwie miał czas szepnąć do niej:

»Aniele najdroższy, źle zrobiłem, żem ci nie powiedział, że jestem politycznie skompromitowany. Niezawodnie będą mnie aresztowali. Ale nie rozpaczaj. Lauro najmilsza, gwiazda naszego szczęścia zaćmi się na chwilę, ale i ja z więzienia dam ci wiadomość, a szczerą miłość pokona zapory«.

Wchodzą żandarmi i pytają się o Potockiego, Rąbałę, Brzozowskiego, Brzeskiego, a wnet go poznali i zakuli w kajdany. Któż opisze rozpacz nieszczęśliwej Laury? Łamała białe dłonie, bo też to istotnie fatalny wypadek, jeżeli kobieta ma jechać do ślubu, a tu aresztują jej narzeczonego i jeszcze mianują go zbrodniarzem. Bywa to tak,

jeżeli marzenia wybiegają za daleko, jeżeli się wciąż pragnie czegoś niezwykłego.

Jabłko z ojcystego ogrodu niejednemu i niejednej wydaje się niesmaczne, nieładne. Szuka piękniejszych owoców, błyszczących cudnemi blaskami. Sciąga po nie rękę, łupina pęka, a w środku popiół.

Kapitana odstawiono już nie do Poznania, lecz do innego sądu, gdyż w Poznaniu obawiano się, aby go liczni przyjaciele czasem nie uwolnili. Sledztwo trwało bardzo długo, gdyż sprawa była niesłychanie zawikłana, a telegrafy i drogi żelazne wówczas jeszcze nie istniały.

Po pół roku utworzono celę kapitana, zdjęto mu kajdany, pozwolono mu się ubrać elegancko i zaprowadzono do sali sądowej. Tu siedziało za stołem kilkunastu sędziów, a gdy wszedł Raczyński, sędziowie powstali, witając go poważnie niskim ukłonem. Kapitan się odklonił i usiadł na krześle. Wtedy powstał prezydent i przeczytał uroczystym głosem reskrypt królewski, w którym monarcha oznajmia, że w skutek zanieśionej prośby oskarżonego o ułaskawienie i za wstawieniem się znakomitych osobistości, także ze względu na świetne czyny wojenne uwięzionego, oraz aby jego znakomite zdolności zużytkować dla państwa, udziela się łaski monarszej kapitanowi Raczyńskiemu, zarazem order orła czerwonego IV klasy, a sąd odebrał rozkaz, aby go natychmiast wypuścić na wolność i żadnych nie czynił mu przykrości.

Słońce łaski królewskiej taki wpływ wywarło na sędziów, że się zebrali na uroczyste nadzwyczajne posiedzenie, aby uwolnić oskarżonego, powinnować mu łaski monarszej i przeprosić za mimowolne uchybienia i przykrości podczas śledztwa. Po

przeczytaniu reskryptu, prezydent przemówił serdecznie, ciesząc się, że niewinność kapitana zajaśniała w całej pełni, poczem mu podał rękę i polecił się jego względem. Tak samo i inni sędziowie ściskali czule dłoń jego i prosili o łaskawą pamięć. Kapitan był aż do łez poruszony. Prosił o reskrypt monarszy; poczem zapłakał z wzruszenia, mówiąc: »Wzruszony jestem! Jest jeszcze sąd w Berlinie.« Poczem wysławiał wspaniałomyślność królewską, który umiał pokryć kilka niebaczących wybryków zapomnienia, natomiast małoznaczne zasługi podnosząc. Przemówił także pięknie do sędziów, zapewniając, że nie ma żadnej do nich urazy, gdyż przecież pełnili świętą powinność, a na znak, że się na nich nie gniewa, zaprasza ich po południu na ucztę do hotelu »Pod złotą gęsią«, gdzie wśród kieliszków nastąpi zgoda i przebaczenie uraz. Do serca poszła sędziom mowa kapitana, mianowicie gdy sobie pomyśleli, jak smacznie jeść i zapijać będą nie za swoje pieniądze. Niech się choć nadzieją pocieszają, bo rzeczywistość jest często straszna i nieubłagana.

Uczta w sali »Pod złotą gęsią« się odbywa. Kapela na chóрку gra biesiadnikom, aby im lepiej smakowało. Brzękły kielichy, a po wychyleniu zdrowia na cześć monarchy, wzniósł prezydent zdrowie na cześć kapitana, poczem go pocałował w obydwa policzki. Raczyński nie został dłużnym odpowiedzi, gdyż wezwał do spełnienia toastu na cześć prześwieznego sądu. Rozczuleni stróże prawa przyznali, że jeszcze nigdy nie zaznali tak szczęśliwego dnia, a kapitana nazwali najlepszym i najmiłym z ludzi. Wszyscy go chcieli wciąż ściskać i całować. Kapela gra na chóрку, a wino płynie potokami.

Już późno było w nocy, kiedy nareszcie nadeszła smutna chwila rozłączenia. Goście zabierają się do wyjścia, tylko czekają na kapitana, który przeprosił, że na chwilę wychodzi, ale zapewnił, że zaraz wróci. Czekają kilka minut, czekają kwadrans, czekają pół godziny, a kapitana nie widać. Goście się przestraszyli, że go może jakie nieszczęście spotkało. A tu służba zaczyna brząkać talarzami, prosząc grzecznie o zapłatę, po dwa talary za nakrycie, a wino obliczono na osobę po trzy talary. Niektórzy sędziowie z przestrachu otrzęźwieli, a zimny pot wystąpił im na czoło. Prezydent zapewnia, że kapitan ich zaprosił i zapłacił zapewne albo zapłaci wkrótce, gdyż tylko wyszedł na chwilę. Służba powiada, że goście mają płacić, bo taka była ugoda. Sędziom zaczyna majaczyć przykre widmo podejrzenia, że tu może zaszło straszne oszukaństwo. To widmo przybrało wielkie i groźne kształty, kiedy się zjawił gospodarz hotelu, który oświadczył, że kapitan Raczyński zamówił obiad i dał zadatku dwadzieścia talarów, co nawet nie starczy na muzykę, a oświadczył wyraźnie, że obiad będzie składkowy, po dwa talary na osobę, zaś wino się obliczy całą sumę ryczałtem i rozłoży się na każdą głowę po tyle, żeby cała kwota była zapłacona, otóż obliczono po trzy talary na osobę.

Któż opisze rozpacz sędziów! »Jesteśmy zgubieni!« zawołali jednomyślnie. Zapłacić pieniądze ciężko, a cóż dopiero wstyd i hańba? A jakże się rzecz ma z królewskim reskryptem? Och! co to będzie, co to będzie — zapewne płacz i zgrzytanie zębów?

Kiedy się zabierali sędziowie do płacenia, przypomnieli sobie przysłowie, że słodko pić wino, ale

gorzko za nie płacić. Większa część biesiadników nie miała nawet przy sobie pieniędzy, trzeba było prosić o kredyt.

Prezydent już poprzednio wysłał był list do Berlina, donosząc, że stósownie do woli królewskiej, kapitan Raczyński został z więzienia uwolniony, i że się ma odbyć uczta dziękczynna z powodu łaski królewskiej.

W kilka dni przysłała odpowiedź z ministerstwa tej treści, że mocno się dziwią w Berlinie z uwolnienia niebezpiecznego, jak widać zbrodniarza, a na surową zasługuje naganę ta okoliczność, że nietylko przestępcę uwolniono, ale jeszcze uczczono go wspa-
niałą biesiadą, przyczem nie obyło się zapewne bez pijatyki, co niewątpliwie podkopuje powagę sądu. Tymczasem rozkazał minister nadesłać ów mniemany reskrypt królewski, poczem nastąpi ściśle śledztwo, a winni będą surowo ukarani.

Można sobie wystawić, jak się przedłużyły sędziom nosy, gdy im przeczytano pismo ministra, tym więcej, że obawiali się kary, a może nawet złożenia z urzędu.

W kilka dni nadeszło pismo z Berlina w którym minister donosi, że istotnie podpis królewski i ministra, oraz pieczęć państwowa są tak misternie sfalszowane, że trudno je rozróżnić od prawdziwych. Król dlatego przebacza winnym, ale zaleca na przyszłość jak największą ostrożność i wypełnianie obowiązków. Sędziowie odetchnęli.

Laura i kapitan na zawsze zniknęli; co się z nimi stało? nie wiadomo. Podobno uciekli szczęśliwie do Ameryki.

Przygoda bogatego żyda na polowaniu z rozbójnikiem.

Brody, miasto w Galicyi, liczy przeszło 20,000 mieszkańców, z tych około 15,000- żydów, reszta chrześcianie tj. Polacy i Rusini. Tam niedawno żył bogaty bankier żydowski, Natan Kailer. Kiedy się dorobił milionowego majątku, zapragnął zaszczytów i honorów, a mianowicie chciał żyć brat za brat z galicyjskimi panami. Hrabia Z. był mu winien 50,000 złr., zatem rad nierad musiał okazywać bankierowi grzeczność, a że Kailer życzył sobie wziąć udział w polowaniu, zaprosił go na łowy. Natan kupił sobie ładnego wierzchowca, a zabrawszy przybory myśliwskie, pojechał kareta w cztery konie, a masztalerz jechał na wierzchowcu. Kiedy przybył do zamku hrabiowskiego, zastał około dwudziestu uczestników polowania, z tych większa połowa siedziała mu w kieszeni. Wszyscy zaczęli podziwiać kareta i konie bankiera.

»Ny moi panowie«, rzecze Kailer, »tego powóz mam dyrekt z pierwszej nadwornej fabryki, a konie od księcia Sanguszki z Sławuty, zaś tego flincie dyrekt z Paryża, a pistolecie z Londynu, przecież mnie stać na takiego wydatki«.

Myśliwcy podziwiali flintę, pistolety, a nawet torbę bankiera, co go bardzo cieszyło.

Towarzystwo wyjechało konno na łowy. Zaczęła się piekielna męka dla żyda. Siedząc najwięcej za kantorem, rzadko jeździł konno, ztąd można sobie wyobrazić jego położenie. Dwa razy go koń zrzucił. Któż opisze jego przestרח, gdy łowcy flinty przyrzadzali, strzelając na próbę i nabijając.

Smiertelne poty na bankiera biły, bo myślał sobie, że go zastrzela, lub zrania. Wjechali nareszcie w las, gdzie mieli zsiąść z koni i iść pieszo. Żyd cieszy się na tę chwilę, bo mu już jazda bokiem wychodziła. Myśliwcy przyjechali nad szeroki rów, który trzeba było przeskoczyć. Jeden po drugim spinał konia ostrogami i rów przesadzał. Gorąco zrobiło się żydowi, bo miarkował, że rowu nie przesadzi i wpadnie w wodę. Zawraca tedy konia, aby rów objechać, ale że rów był długi, zajechał w las głęboko, a nigdzie mostu nie było, aby przejechać.

W tym samym czasie kręciło się po lesie czterech żandarmów, którzy szukali sławnego rabusia Karbacza. Przejeżdżając około myśliwców, ukłonili się, a bankier, żeby im zaimponować, dał każdemu po talarze. Żandarmi pięknie podziękowali i zniknęli niedługo w lesie.

Gdy sobie żyd spokojnie jedzie nad rowem, nagle wypada z zarośli Karbacz, wyciąga pistolet i grozi, że palnie bankierowi w łeb, jak psu, jeżeli zaraz z konia nie zejdzie. Żyd trzęsąc się, zsiadł, wtedy rabuś ściągnął mu rzeczy, ubrał się w takowe, a bankierowi dał swoje łachmany i stary kapelusz na głowę. Wkrótce spotkał rabuś żandarmów, a że miał także taką brodę, jak Natan Kailer, żandarmi myśleli, że to bankier. Karbacz krzyknął na nich i rzucił im zdaleka po talarze, a nos sobie chustką ocierając, aby go nie poznali, zawołał:

»Tam pod dębem nad bagnem widziałem owego rabusia, ale przestrzegam was, że on udaje żyda, a do mnie mówił, że jest bankierem z Brodów, chciał mi nawet ukraść konia, ale ja prędko zawróciłem.«

Zandarmi zaraz puścili się na wskazane miejsce, rabuś zaś z sakiewką i z papierami bankiera pojechał do zamku, kazał prędko zaprzadzić konie do karety i odjechał, a wierzchowca przywiązał do pojazdu. Służący hrabiowski nie poznał, że to był rabuś, a stangret nie miał czasu wejrzeć na niego, bo Karbacz siedział już w karecie, zresztą trzymał chustkę na ustach, narzekając, że go zęby bołą.

Wróćmy do lasu. Zandarmi przybywają pod dąb, gdzie istotnie zobaczyli mniemanego rabusia w łachmanach, który z daleka wołał na nich:

»Aj waj, panowie zandarmi, gwałt, rabuś mnie obedrzał, zabrać konia i dać łachmany. Gońcie takiego psubrata, a ja dobrze zapłacić.«

Zandarmi mówią do siebie:

»Wszak prawda, że ta bestya udaje żyda. A dalejże go, związać tego szelmę, łotra.«

Wnet zesiedli z koni, schwycili żyda i zakuli w kajdany. Darmo bankier się szamotał, wrzeszczał. wyzywał i dowodził, że on jest kupcem z Brodów, że przyjechał na polowanie do pana hrabiego, nic to nie pomogło, owszem zandarmi, rozgniewani oporem, zaczęli go smagać batami, mówiąc:

»Pierwszy lepszy złodziej, rabuś, może tak mówić, oho! znamy cię ptaszku, a zresztą, jeżeliś bankier, pokaż papiery, aleć bankier nie chodzi piechotą po lesie w takich łachmanach«.

Żyd przysięga się, że on nie rabuś, że im przecież niedawno dał po talarze. Zandarmi mówią:

»A to psiawiara, hycel, rozbójnik widział zapewne, że nam dawał bankier pieniądze, ale widzisz, że kłamiesz zbój, bo ten pan dał nam dwa razy sutą nagrodę a tyś raz widział, przeto chcesz się wyłgać, ale czekaj, sprawimy ci mydło«.

I nuże go znowu walić batami, że żyd się ku-
łał po ziemi.

Wzięli go potem w środek, wyciągnęli pisto-
lety, odwiedli kurki i zagrozili, że jeżeli najmniejszą
okaże chęć do ucieczki, zaraz w łeb mu palną.
Żydzisko, maszerując w kajdanach do Brodów,
wzdycha sobie, myśląc: Niedawno jechałem tu ka-
retą w cztery konie, a teraz idę w kajdanach, jak
ostatni zbrodniarz.

Po dwóch godzinach marszu, podczas którego
żandarmi wstępowali do każdej karczmy, a żyda
przez ten czas do stajni lub chlewa zamykali, na-
reszcie przybyli do Brodów, gdzie mniemany rabuś
został oddany na policję i zamknięty w więzieniu.
Darmo się zarzekał i przysięgał nieborak, że on jest
bankier Natan Kailer. Posłano z zapytaniem do
kantoru, a tam powiedziano, że bankier pojechał na
polowanie do hrabiego Z. Siedział żyd przeszło dwie
godziny w więzieniu, gdy przybył posłaniec od hra-
biego Z., donosząc, że bankier gdzieś przepadł w lesie
i że skradziono jego karetę z czterema końmi. Wtedy
nareszcie dyrektor policji postanowił gruntownie
zbadać, czy czasem istotnie ów rabuś nie jest ban-
kierem. Wzywa go tedy przed siebie, wypytuje
o wszystko, posyła po żonę Kailera i zatrudnionych
w kantorze. Zona w pierwszej chwili nie poznała
męża, tak był zmieniony, a przytem w łachmanach,
dopiero poznała go po głosie. W końcu rzecz się
wyjaśniła, a dyrektor przepraszał serdecznie bankiera
za pomyłkę.

»Mniejsza o to,« mówił Kailer, »kto mi wróci
baty i hańbę, jakiej doznałem, że ja pierwszy ban-
kier w Brodach, zostałem transportowany, jak naj-
gorszy zbójca, a do tego bito mnie batami.«

»Ha!« odrzeczł dyrektor, »nie trzeba się puszcząć na polowanie, jeśli się nie umie strzelać i jeździć konno. Prawdziwy myśliwiec nie byłby się dał obrabować, ani nie objeżdżałby naokół rowu. Dobrze to powiadają: »Szewcze patrz twego kopyta! a tu możnaby dodać: bankierze, pilnuj kantoru«.

Od tego czasu Natan Kailer nie jechał na żadne polowanie, owszem kiedy słyszał o łowach, dostawał febry. Cztery tygodnie chorował po tych ciągach, które odebrał. Rabuś Karbacz, zaopatrzonego w papier bankiera, przejechał szczęśliwie granicę i przepadł bez śladu w Rosyi.

Narzeczona zbójcy.

Przenieśmy się myślą na wyspę Korsykę, na której się urodził wielki Napoleon. Zamieszkuje tę wyspę lud włoski, pełen prostoty obyczajów, który obok wielu cennych zalet odznaczał się dawniej tak zwaną »wendetą«, zwyczajem, którego początek pochodzi z pogańskich czasów.

»Wendetta« znaczy tyle co zemsta, prawo odwetu, z tym jednakże dodatkiem, że ta zemsta zawsze była krwawą. Jeżeli ktoś z rodziny był zabity, wówczas każdy krewny zamordowanego miał obowiązek do krwawej zemsty, tj. do zabójstwa nie tylko mordercy, ale nawet każdego członka rodziny. Straszny to był zwyczaj, który stał się źródłem wielkiego bezprawia i niedoli dla mieszkańców Korsyki. Na tle tego zwyczaju ułożone jest niniejsze opowiadanie.

Kilka chat składało małą wioszczynę Moreto, leżącą niedaleko miasta Ajaccio. Nie zostało dzisiaj z niej nic więcej, jak tylko jeden dom pusty; inne zniknęły zapewne wśród pożóg wojny, bo Korsyka, jak wszystkie kraje dawno podbite, ma ruiny z wszystkich wieków. Moznaby całą jej historję kreślić samemi krwawemi datami, które na niej nieszczęścia wyryły. Dom trochę wspanialszy nad inne, to jest pobielony wapnem i o dwóch piętrach, odznaczał się pomiędzy niskimi chałupami. Należał do rodziny posiadzieli w dobrem dawniej mieniu, ale których sroga wendetta trzydziestoletnia do tego stanu niedostatku źle ukrywanego przywiodła, trudniejszego nieraz do zniesienia niż prawdziwe ubóstwo. Ojciec tej rodziny i dwóch jego synów zginęło pod razami nieprzyjacielskiej familii. Dwa razy sady ich kasztanowe wycięto, kozy pozarzynano i ogień w polu śród jęczmienia założono. Lecz ostatni członek tej familii, sam tylko, który ją przeżył wraz z jedną siostrą, wszystkiną tym nieszczęściom tę jedną mógł stawić pociechę, więcej niż dostateczną, że był pomszczony. Własną ręką i bronią zamordowanego ojca zabił ojca rodziny nieprzyjaznej, mordercę swego ojca. Własną ręką założył ogień w ich domu, o kilka mil ztamtąd odległym i widział ostatnie z niego walące się szczątki. Ostatni z tej familii wraz z synem w dziecięcym wieku, musiał opuścić ojczyste siedlisko, aby schronić się przed nieubłaganym nieprzyjacielem, lecz ten go ścigał; przez całe trzy lata tropił ślad jego z siedliska do siedliska, z schronienia do schronienia, z pieczary do pieczary, zamieniając z nim od czasu do czasu kilka strzałów. Nareszcie w sam pierwszy dzień Wielkiejnocy, jak gdyby uświęcić chciał tę rocznicę zemsty, dosięgnął

go nie z daleka, nie ukryty za krzewem jak zbójca wypuszczający kulę na wiatr, zostawując jej staranie pomszczenia go, ale wśród jasnego dnia przy wnijściu do wsi utopił po trzy razy sztylet swój w pierśsiach mordercy swego ojca, powtarzając mu trzy razy grzmiącym głosem:

»To ja, twój nieprzyjaciół, Nicolo Ghisoni, cię zabija!«

Od dnia tego Ghisoni żył spokojnie. Sumienie jego było zadowolone, dopełnił obowiązku, jako syn i jako Korsykanin; wymiół z całej ziemi ród swych nieprzyjaciół; ostatni, który był w stanie nosić broń, padł pod jego razami. Jeden przeżył wprawdzie zemstę jego, ale było to tylko dziecko, które jeszcze rozróżnić nie umiało, gdzie w lewo i w prawo. Wzgardził nim i nie zabił, a potem od dziesięciu lat nie było nic o nim słyhać.

Mikołaj Ghisoni zaś żył w zaciszu z siostrą młodszą od siebie, którą kochał tak, jak dusza podobnego usposobienia kochać może. Po własnej broni i koszuli skrwawionej po zabitym ojcu, była to istota na świecie, do której najbardziej był przywiązany, ale nie dał tego poznać. Przywiązanie jego miało coś surowego, zamiast przyciągać, odpychało. Jedynie zatrudniony staraniem podniesienia swojego domu, dopiął prawie swego celu przez siedm lat oszczędnością i pracą nieustanną, rzadką w tym kraju. Winnice jego były na nowo zasadzone, bydło zakupione, dom ojcowski o piętro podniesiony. Już nawet wymawiano nazwisko Ghisoni z sekretnym przydatkiem »bogaty«. Mikołaj w głębi duszy nie gniewał się o to, ale twarz jego nigdy tego nie wyjawiała. Suknia narodowa górala, czapka śpiczasta, kurpie z koziej skóry składały jego ubiór,

a w swej ławie w kościele w Vivario zostawiał próżne miejsce, gdzie ojciec siadywał.

Smutne to było życie dla młodej i wesołej dziewczyny z oczami błyszczącemi przenikliwością i życiem, tak żwawej i smukłej jak owca w górach korsykańskich, ten wieczny pobyt sam na sam z posepną twarzą Mikołaja i z jego okropną flintą. Pracowite zabiegi gospodarskie zatrudniały wprawdzie młodą dziewczynę przez część dnia; czytanie atoli różnych książek zapełniało część drugą; bo jej brat uczeńszy niż to zwykle pod burką z koziej skóry bywa, nie zostawiał jej bez książek, ni bez nauki; ale wieczory były bardzo długie, gdy w pięknej porze roku dziewczyny wioski stroiły sobie swe brunatne włosy białym woalem i szły przypatrywać się pasterzom z okolicy, grającym lub strzelającym do celu pod sosnami góry. Mikołaj nie pozwalał siostrze uczęszczać na podobne zabawy. Biedna dziewczyna prawie zawsze zamknięta w swojej prostej chatce, w całym tygodniu tylko w niedzielę była nieco szczęśliwą.

W towarzystwie brata, częściej starej krewnej, którą brat w domu cierpiał, jak cierpiał starego służącego, któremu zasług nie płacą, chodziła do Vivario słuchać mszy św. w kościele. Tam, w długiej przestrzeni, która dzieli te dwie wsi, biedna Angiolina czyli Aniela czuła się szczęśliwszą niż kiedykolwiek, nie wiedząc sama przyczyny; a to dla tego, że się czuła wolną. Duszące powietrze chaty nie ciążyło jej; twarz surowa straszego jej brata i pana nie znajdowała się przy niej, by powściągnąć wszystkie naiwne wylania się duszy niewinnej. Jakkolwiek szczerą chęć miała go kochać, nie śmiała się przyznać, że była szczęśliwą, gdy mu z oczu zesza,

a że się to raz tylko w tydzień zdarzało, brdysała sobie jak młody koziołek na łące.

Czasem nawet, kiedy była bardzo pewna, że jej nikt nie słyszy, wesoła piosneczka brzmiała na jej usteczkach. Ta wesołość młodej dziewczyny, zawsze przytłumiana, objawiała się dopiero całkowicie na jej twarzy, w jej chodzie, w całym istnieniu; czarne jej oczy zwykle w ziemię spuszczone, podnosiły się, błyszcząc żarem młodości i rozkosznej swawoli; ten charakter zawsze tłumiony całym oddychał ciałem. Wtenczas, wtenczas Aniela prawdziwie piękną była. Wyraz tej lękliwej podległości, który ciążył jednostajnie na twarzach wszystkich kobiet Korsyki, zniknął z jej twarzy. Bojaźń, wpojona tym biednym istotom przez mężczyzn, ustąpiła miejsca słodszyemu wrażeniu; i Ghisoni, sam surowy Ghisoni, zdawał się mięknać na widok twarzy młodej uśmiechającej się siostry, która tak sprzeczna była z posępną, zamyśloną twarzą jego, jak powój młody, który obwija się około pnia omszonego starej sosny.

W piękną niedzielę kwietniową młoda dziewczyna wracała bez brata z kościoła Vivario w towarzystwie starej swej krewnej. Szczęśliwa z swej wolności, z tego dnia pięknego, z jasnego nieba, z tej przyrody zieleniejącej się i świeżej jak ona, spoglądała z zadowoleniem dziecinnem na te zaczątki wiosny, zawsze późne na tych wyniosłych płaszczynach. Znudzona ścieżką i powolnym krokiem starej Łucyi, opuszczała ją co chwile, to aby szukać cienia pod rozsochatymi bzami, to aby zrywać białawe i kragłe kwiaty ciemierzycy, albo łodygi wyniosłe i wysokie złotogłowiu, po chwili wracała skacząc, około ponurej matrony, przemawiała do niej słów kilka, z których stara śmiała się, nie rozumiejąc ich nawet

i znów puszczała się na wesołe wycieczki, nie troszcząc się ani o słońce, ani o godzinę, ani o udeptaną ścieżkę.

Przy skrócie drogi ładny wąż z rodzaju nieszkodliwych, z którymi korsykańskie dzieci się bawia, zwrócił na siebie baczność Anieli; ścigała go bez namysłu, przypatrując się temu ciału smukłemu i giętkiemu, ślizgającemu się po murawie, jak łódź, która przerzyna bałwany. Wąż ścigany schronił się w gęstą zarośl, a Aniela, która się nikogo na świecie nie lękała, prócz swego brata, pobiegła za nim bez żadnej obawy. Wtem krzyk przeraźliwy, pochodzący z zarośli, zwrócił uwagę starej Łucyi w ową stronę. Aniela blada jak mara, z przestachem biegła ku niej, wyciągając ręce jakby błagała pomocy. Oczy błyszczące, nieporuszone, wśród zarośli nabawiły ją tego przestachu, i Łucya przerażona się widokiem młodego górala, uzbrojonego od stóp do głów. Był to ostatni potomek owego rodu nieprzyjaznego, który Ghisoni wytepił; był on tem samem dzieckiem, nierozważnie oszczędzonym, ową młodą żmiją, której Mikołaj darował życie. Po uderzającym podobieństwie do ojca zamordowanego, którego Łucya знаła, nie wątpiła na chwilę, a wreszcie wąż, chroniący się do zarośli, dowodził tego najlepiej kobiecie przesadnej i łatwowiernej.

Krzyk przerażenia skonał na ustach starej Łucyi. Bez przytomności wyciągnęła ręce ku swej towarzysze; ta biegła, by się w nie rzucić, w tem gałąź ciernia przytrzymała jej suknię — upadła. Góral jednym rzutem już był przy niej. Starej Łucyi zaćmiło się w oczach; rozumiejąc, że młoda dziewczyna nie żyje, porwała się nagle i poczęła co tchu uciekać, wydając krzyk przeraźliwy, który echa

gór powtórzyły. W przeciągu kilku minut już zniknęła z oczu; nikt zresztą jej nie ścigał.

Aniela leżała jak nieżywa na ziemi, przy niej stał góral straszliwy, równie zdziwiony nadzwyczajnem spotkaniem. Dziewczyna, straciwszy przytomność, nie dawała znaku życia. Góral pomieszany przestraczem Anieli, którego był sprawcą, ukląkł przy niej, starając się przywrócić ją do przytomności. Wszystkie jego zabiegi dosyć niezgrabne, jak człowieka, który nigdy tem się nie trudnił, były daremne. Młoda dziewczyna zostawała w omdleniu, ale tak piękna, piękniejsza, niż kiedykolwiek, bo bladość nie szkodzi twarzy kobiecej. Młodzieniec obejrzał się wkoło; stara kobieta, z której mimowoli się śmiał, widząc ją tak silnie uciekającą, nareszcie zniknęła mu z oczu i nie patrzył za nią, dokąd się uda.

Aniela leżała ciągle blada, jak trup, piękne jej białe ręce podnoszone do góry opadały, jak ciało życia pozbawione. Nagle wpadła mu nowa myśl ratowania, pochwycił w ramiona zemdlalą z taką ostrożnością, jak gdyby obawiał się ją złamać, zaniósł o kilkanaście kroków ztamtąd w las do małego źródła, płynącego na dnie wąwozu.

Chłód cienia i wody przywróciły niezadługo młodej dziewczynie przytomność, która na szczęście nie czuła, że była podniesioną rękoma dzikiego opiekuna. Byłaby niezawodnie umarła, widząc się zupełnie opuszczoną w tej głębokiej puszczy, w mocy człowieka, nie mogącego być czem innem, jak rozbójnikiem. Niewypowiedziany strach ją opanował. Bliska powtórnego omdlenia, wyteżyła wszystkie swoje siły, by go uprzedzić, jeżeli miał złe zamiary i rzucając się przed nim na kolana z załamanemi

rękoma wzniesionemi ku niebu, nie śmiać na górą spojrzeć:

»Nie zabijaj mnie!« rzekła do niego głosem tak przenikającym, że uczuł go w głębi duszy jeszcze brzmiającym, »jestem tylko biedną dziewczyną bez obrony, która nie zrobiła nigdy w życiu krzywdy żadnej żyjącej istocie; pozwól mi wrócić do moich krewnych, a Najświętsza Panna ci to nagrodzi! Nie będzie dnia, żebym jej za ciebie nie prosiła.«

W czasie tej przemowy młodzieniec wlepił w nią oczy, słuchał, nie rozumiejąc nawet jej słów, cały wzruszony tą prawdziwą muzyką głosu młodej dziewczyny, tak nowej, tak miłej dla niego, dla biednego wygnańca, który dotąd przysłuchiwał się tylko dziłkim szmerom strumieni, lub nawałnicom, przemykającym się po wierzchołkach sosen.

»Kto ty jesteś?« rzekł jej górą, podnosząc ją łagodnie.

Zadrżała tylko, gdy się uczuła dotkniętą ręką jego; cofnął się o krok przez wrodzoną delikatność. To Aniela rozczuliło. Powstała w tej chwili pewna wspólność między nimi, pewne uczucia, które jedne drugim odpowiadały.

»Kto ty jesteś?« powtórzył drugi raz, łagodząc głos swej mowy.

»Aniela Ghisoni, siostra Mikołaja«, odpowiedziała po prostu, »mieszkam tu niedaleko w Moreto.«

Nie pozwolił jej dokończyć.

»Mikołaj Ghisoni!« zawrzasnął, jak zwierzę dziki, »ty jesteś siostrą zabójcy mego ojca! Poprzysiągłem śmierć ostatniemu z twojej rodziny; dotrzymam mej przysięgi. Wyrzekłem ją przy ciele mego ojca. Prowadź mnie do twego brata, muszę go zabić!«

Nieszczęśliwa Aniela znów na kolana upadła z załamaniem rękoma, wyciągając je ku nieprzyjacielowi swej rodziny.

»Przebaczenia! miłosierdzia!«

Góral cofnął się przed tą słabą istotą, której się wzajem obawiał, przed tym głosem błagającym, którego już całej doznał potęgi. Rysy jego twarzy, wściekłym ściągnięte gniewem, powoli złagodniały. Karabin wypadł mu mimowolnie z ręki, bo w pierwszej chwili uniesienia za niego pochwycił. Uspokoił się nareszcie, wstydził się sam siebie, iż mógł, jak dziki zwierz, zapomnieć się i nabawić strachu młodą dziewczynę.

»Słuchaj!« rzekł jej, »opowiem ci przygody życia mego od lat dziesięciu; zrozumiesz potem, czemu pałam żądzą zabicia brata twego. Widziałem go, byłem wtenczas jeszcze dzieckiem, ale przypominam sobie, jakby to wczoraj było, widziałem go topiącego po trzykroć z zimną krwią sztylet w sercu mego ojca. Byłem bez broni, rzuciłem się na mego nieprzyjaciela jak młody lis, któremu wzięto matkę, ugryzłem go w nogę tak silnie, że krew trysnęła z rany i jej się napiłem. Kopnął mnie nogą, jak robaka kłusającego, nie sądząc mnie godnym wejrzenia lub zgnięcia na miazgę. Źle uczynił, ja go zabiję. Poprzysiągłem to, dotykając ręką krwi jeszcze ciepłej biednego mego ojca. Od owego czasu nie wiem czy żyłem; ten karabin, jedyna własność moja na świecie, nie dał mi umrzeć z głodu. Kilku poczciwych ludzi dawało mi ochronę i od czasu do czasu cokolwiek chleba. Przez dziesięć lat, czy sobie wyobrażasz życie tak długie bez strzechy i pewności wyżywienia, błąkałem się od jednego do drugiego końca Korsyki, nie znając prawie człowieka, prócz

mego nieprzyjaciela. Wszystkich pasterzy, których napotkałem, pytałem się: A znacie wy Mikołaja Ghisoni? Powiedźcie mi, gdzie mieszka, bym go zabił! Szydzili ze mnie, bo byłem tylko dzieckiem, lecz teraz dorosłem, już ze mnie nie szydzą...»

»Miłosierdzia! przebaczenia dla mego brata!« przerwała dziewczyna »nie zabraknie ci chleba przez całe życie. Ja ci wyżywię, ja ci przyniosę pożywienia, jeżeli tego wymagać będziesz«.

Zdawało się, że ta myśl uderzyła górala, uśmiech dziki poruszył jego ustami; wlepił w Anielę wzrok, który prawie był wzrokiem szaleńca.

»Słuchaj!« rzekł jej przybliżając się do niej i głos łagodząc słodyczą, połączoną z smutkiem tak głębokim, że się uczuła wzruszoną do głębi duszy, »jestem jak zwierz drapieżny, nieoswojony; młoda dziewczico, powiedz mi, chcesz ty się mną zająć? chcesz się ulitować nad biednym wygnańcem, któremu nie rzucono nigdy jeszcze kawałka chleba bez połajania, chcesz ty mi wrócić rodzinę, strzechę, ojczyznę, wszystko, co mi twój brat odjął? chcesz ty być dla mnie wszystkiem w tem życiu, ratunkiem dla przyszłego? chcesz ty, żebym czcił Najświętszą Maryą Pannę, do której się modliłem dzieckiem jeszcze, gdyż wierzyłem w Boga, gdyż miałem matkę, która składała mi ręce i uczyła świętych słów, które za nią powtarzałem. Dzisiaj jestem dzikim zwierzem, a jak mną się zajmiesz, młoda dziewczyno, stanę się znów człowiekiem.«

»Ty nie odpowiadasz?« dodał smutno, zrozumiawszy milczenie Anieli. »Czujesz zapewne wstręt do mnie i odrazę, widzę to dobrze, ty tylko życzysz sobie oddalić się odemnie; a więc idź, jesteś wolną, nie zatrzymuję cię.«

Aniela głęboko wzruszona wahała się jeszcze co odpowiedzieć, wilgotne zaś oko wygnańca błagało i nagięło ją o odpowiedź. Głos wewnętrzny jej serca radził, żeby jeszcze raz prosiła o przebaczenie dla brata.

»Ty nie zabijesz mego brata!« rzekła do niego z ufnością.

»Chcesz dowodów mego ku tobie przywiązania?« rzekł do niej, wstrzymując się z każdym słowem, »zrzekam się dla ciebie mej przysięgi, nie pomszczę się, nie zabiję twego brata, ale tylko w nadziei, że serce moje, które rozgorzało miłością ku tobie, znajdzie u ciebie wzajemność.«

»Ależ pierwszy raz cię widzę,« przerwała Aniela.

»Tak, w istocie,« odparł młodzieniec nieco zmieszany, lecz po chwili dodał:

»Namysł się, daję ci trzy dni do namysłu. Rozważ wszystko dobrze. Jeżeli po trzech dniach nie dasz znać o sobie, ostrzegam cię, iż wnijdę do twego domu, a wtenczas albo twój brat mnie, albo ja jego zabiję.«

Aniela nie odrzekłszy nic, oddaliła się. O kilkaset kroków od miejsca przygody spotkała starą Łucyę, klęczącą pod krzyżem, na pół umarłą ze strachu. Jakaż była jej radość, gdy Anielę ujrzała całą i zdrową.

Napróżno jednak pytała Anieli o szczegóły przygody; nic jej nie powiedziała a nadto prosiła ją usilnie o zachowanie wszystkiego w tajemnicy przed bratem. Aniela zamyślona wróciła do domu, gdzie ją niespodzianka czekała.

Brat bowiem rzekł do niej po wieczery:

»Anielo! przyszedł czas wydania cię za mąż; poznaję to od niejakiemu czasu po twojem roztar-

gnieniu i uciekaniu do samotności. Zatrudniłem się tobą. Pietro Ricardi z Vivario prosił mnie o twą rękę i przyrzekł, że zmieni swoje nazwisko na Ghisoni, aby nazwisko mojej rodziny nie wygasło. Podobne przedstawienie nader mi się podoba, przystałem na nie; jesteś narzeczoną! Ślub odbędzie się za dwa tygodnie, a zatem bądź gotową!«

I wyszedł, nie czekając odpowiedzi, nie przypuszczając nawet, ażeby mogła być nieposłuszną; w takim razie milczenie stało mu za odpowiedź.

Dziewczyna, zaskoczona tak nagle stanowczem rozporządzeniem brata, przeraziła się wielce tem więcej, że narzeczonego swego prawie wcale nie знаła. Rozpacz ją ogarnęła. Zamknawszy się w swojej izdebce, płakała rzewnie. I w tej chwili przyszedł jej na myśl ów wróg jej brata, młody, odważny a o miłość ją proszący. Im więcej o nim myślała, tem jej się więcej podobał i nagle uczuła, że go pokochała. Groźba przymusowego narzeczonego ze strony brata odegrała przy tem ważną rolę. Aniela postanowiła nazajutrz porozumieć się z wrogiem brata.

Lecz brat Mikołaj nie oddalał się z domu i Aniela nie mogła wyjść z chaty bez zwrócenia na to jego uwagi. Zaczęła się niecierpliwić. Z nadejściem nocy pomyślała wprawdzie o wykradzeniu się z domu, zaraz jednak od tej myśli odstąpiła, gdy sobie przypomniała, że brat jej lekki miewa sen i z pewnością by się zbudził. Prawie wcale nie śpiąc, przebyła noc. Rano wstała z silnym bólem głowy i gorączką. I nazajutrz brat, jakby wiedział, że pilnować jej należy, pozostał w domu i przeszkodził oddaleniu się Anieli. Skutkiem tego gdy wieczór nadszedł, Aniela czuła się chorą i prawie na nogach utrzymać się nie mogła. Drżąc przebyła trzeci dzień, a gdy i

podczas niego sposobności upragnionej nie było, cała zrozpaczona z trwogą oczekiwała nocy.

»Trzy dni minęły,« myślała; »on powiedział, że wtedy przyjdzie tu do chaty. Boże, co się stanie? Jeżeli brat go zobaczy, zabije go bez litości; lecz i on może zamordować brata, skoro nie dam mu życzliwego słowa. Boże, ratuj mnie!...«

Dreńczona okropnemi myślami, wstała mimo swej słabości i zbliżyła się do okna, aby ochłodzić świeżem, nocnem powietrzem ogień, który czuła w swych piersiach. Nie było księżyca na niebie, ale niebo było tak czyste, powietrze tak przejrzyste, noc tak spokojna, że samo światło gwiazd dostateczne było, aby rzucić na wszystkie przedmioty rodzaj pomroczonej jasności, która dozwalała uchwycić ich kształty. Tyśiące świecących robaków błyszczało na murawie, a wietrzyk wieczorny był tak lekki, że wielki cyprys, który przed jej oknem rósł, rzucał na nią swój cień nieporuszony. Była to jedna z tych nocy rozkosznych ciepłych krajów, gdzie wszystko jest razem życiem i spoczynkiem w naturze; gdzie po długim dniu wszystkie istoty dopiero z wieczorem zdają się zbudzać do życia, gdzie słowik nuci pod cieniem, jelen jęczy pod krzewiną, a młoda dziewczyna pod kwitnącemi migdałami, gdzie nie ma ani jednej istoty, liścia nawet, któryby nie oddychał, nie upajał się tą wonią i nie był wzruszony tą świeżością przyrody.

Lekki łoskot przerwał marzenia młodej dziewczyny i spokój, którego zaczęła używać. Cień się rozdzielił na stronie narożnej cyprysu. Zadrżała, głos jej wewnętrzny rzekł: »to wygnaniec!«

I on to był w rzeczy samej. Poznał ją jeszcze prędzej po jej białym woalu. Słaby krzyk wydo-

był się z ust Anieli, ale go nie skończyła, brat jej mógłby usłyszeć. Chwilę potem wygnaniec stanął przy oknie.

»Czy namyśliłaś się, Anielo?« zapytał szeptem.

»Na Boga,« odrzekła, »uchodź, nieszczęśliwy, jeśli brat mój cię ujrzy, śmierć cię czeka.«

»Dopóki nie powiesz, że mogę mieć nadzieję pozyskania twej miłości, nie odejdę.«

»Uciekaj...«

»Czekam na twoje słowo.«

Aniela zawahała się chwilę, spuściła oczy i rzekła cicho:

»Miej nadzieję!«

»Anielo!«

»Uchodź! Zaklinam cię, uchodź.«

»Kiedyż cię zobaczę?«

»Jutro, pojutrze... nie wiem, lecz uciekaj, błagam cię, uciekaj!«

»Odchodzę szczęśliwy! Do widzenia.«

I odszedł. Wygięta prawie całkowicie na dwór z okna Aniela, ścigała go póty oczami, póki się ziemi nie dotknął, i póki go cień czarny cyprysu nie zakrył. W chwili, gdy wchodził w tę masę, cień drugi zarysował się na czarnym obwodzie cyprysu. Było to zapewne złudzenie, które sobie w ciemności igraszkę robi z najwprawniejszego oka; jednakowoż strach ścisnął boleśnie serce Anieli.

»Angelo!« rzekła półgłosem do banity. Nie odpowiedział, ale usłyszała upadnięcie ciężkiego ciała, jak się zważyło całym ciężarem na ziemię; to przeraziło wskroś Anielę. Była to jedyna odpowiedź młodzieńca. Głos, który nie był jego, wydał okrzyk śmiechu, krótki, konwulsyjny i dziki; a potem wszystko wróciło do dawnego milczenia. Aniela poznała

głos swego brata, lubo to był pierwszy jego śmiech, który w życiu słyszała.

Opuścić okno, wybiedz z pokoju i przesadzić z niebezpieczeństwem życia kręte i wąskie schody po cztery stopnie na raz, stanąć na miejscu, z którego wyszedł ten śmiech piekielny, wszystko to w mgnieniu oka się stało. Księżyc właśnie wschodził na niebie krwawo-czerwony i górę Vivario miedziastym połyskiem ubarwił. Światło jego niepewne, żarzące się, oświecało tylko na wpół scenę morderstwa. Człowiek stał nad ciałem wyciągnionem na ziemi, z którego szeroką raną krew obficie się lała. Było to ciało zamordowanego jej przyjaciela; człowiekiem nad nim stojącym, był jej brat.

Mikołaj obudzony szelestem, wyszedł zapewne z domu śledzić przyczyny i odgadł tajemne widzenie się, a usłyszawszy kilka słów niebacznych, poznał, że to był syn jego nieprzyjaciela i — pomścił się. Powinienby teraz być szczęśliwym, nie miał już na świecie nikogo do nienawidzenia, nikogo do zamordowania.

Mikołaj oczekiwał przybycia siostry, lecz cofnął się przed wyrazem wściekłości, którym była ożywiona twarz młodej dziewczyny, dawniej tak spokojna i łagodna. Gorączka powiększyła jej błysk oczu; ogień gniewu wrócił kolor jej licom bladym i wychudłym; długie jej włosy, spływające w nieładzie na plecy, ramiona i piersi, dodawały jej piękności coś straszliwego.

»Oddaj mi mego oblubieńca, którego zabiłeś, morderco!« krzyknęła, rzucając się na swego brata z wyrazem nienawiści i gniewu tak okropnym, iż Mikołaj, jakkolwiek odważny, cały zadrżał i cofnął się, nie wiedząc co robić. »Dlaczego go zabiłeś?«

mówiła tym samym głosem, a on zamiast odpowiadać, jąkał się niezrozumiale; »ponieważ go kochałam, nie prawdaż?«

»Zabiłem go,« odrzekł Mikołaj, unosząc się złością, »ponieważ to był nieprzyjaciel naszego rodu.«

»Tak, zabiłeś go«, rzekła tonem najpogardliwszym i najobelżywszym, »jako podły morderca i tchórz, którym jesteś, z tyłu i w nocy, z obawy, żeby cię on nie zabił wśród dnia z przodu, jak przystoi mężnemu!«

»Aniello, miej się na baczności!« zakrzyknął Korsykanin głosem przytłumionym; w tej chwili ujrzała błyszczący jego sztylet.

»Ty mnie także zamordujesz! spodziewam się!« zawołała prawie z radością. »Jestem tylko kobietą, nie będziesz mnie się lękał; zabijesz mnie, nie prawdaż?« i tak blisko do niego przystąpiła, że ostrze sztyletu już zadzierało jej pierś białą. Gdyby ręka Mikołaja nie była się umknęła, oszczędziłaby mu pracy wepchnięcia sztyletu; ale on nie miał serca.

Wtem naraz gniew ten kobiecy rozbił się, jak się burzliwy wał rozbija i w pianę rozpryska. Nie zważając nawet na brata, rzuciła się gwałtownie na tego trupa nieczułego, który chwilę przedtem cały tchnął miłością i życiem, i gniew ten zbyt mocny na słabe serce młodej dziewczyny wylał się w strumienie łez i łkania głębokiego, przerywanego, które zdawało się jej pierś rozdzierać. Tak twarzym, jak był Mikołaj, przez chwilę litował się nad nią, bo chciał ją zamordować. Lecz na występna była to kara za łagodna; wreszcie pamiętał o słowie, które dał narzeczonemu, i dla tego nie należała już do niego.

»Zostawiam cię tu na odprawienie wigilii nad ciałem twego oblubieńca!« rzekł wydając drugi okrzyk tego piekielnego śmiechu, który dał poznać Anieli, co ją czeka. »Idę do Vivario, przyprowadzę tu twego narzeczonego, aby mu pokazać, jak mu wiary dotrzymuje jego narzeczona i uwolnić go z danego słowa. Zostawiam ci tego trupa w zakład, odpowiesz mi, gdy powrócę!«

Aniela nie słyszała jego odejścia, i nie wiedziała, czy stoi przy niej, lub nie. Zostawała długo w tem położeniu, nie starała się nawet przywołać do życia tego ciała, które stygło w jej rękach. Ogarneło ją przerażenie, którego zwyciężyć nie mogła, wstała nagle i odrzucając w tył warkocze, powiodła wokoło obląkanem okiem. Księżyc, wybiwszy się w górę ponad chmurami, żeglował spokojny i jasny na niebie, jak okręt wśród błękitnego morza; promień bladego światła padał na blade czoło młodzieńca i łagodził jeszcze ten uśmiech smutny i spokojny, który zwykle śmierć nagle bez konwulsyi zostawia na twarzy. Aniela patrzyła na niego długo ze smutkiem niemym, głębokim, pomieszanym, z tajemnym przestraczem. Trzeba było cośkolwiek przedsięwziąć; dzień nadchodził, a z nim przyszedłby brat jej, narieczony i świadkowie — i hańba i ciekawe oczy i dzień biały wskazywałyby ją palcem. Wszystko to nie do zniesienia; trzeba było umrzeć. Trup nie mógł tam pozostać na ich zniewagi, ścigany nawet po śmierci przez nienawiść brata. Jedno przyszło jej na myśl; spojrzała na swoje słabe wychudłe ręce, które nigdy jeszcze większego nie nosiły ciężaru nad młode jagnię, jeżeli za matką zdążyć nie mogło. Z gorzkim uśmiechem rzekła sobie: »mniejsza o to, jeżeli padnę po drodze, to umrę przy nim, ściska-

jąc go tak mocno rękoma, że nas nikt nie rozdzieli.«

Potem wstała i porywając z siłą nadzwyczajną tego trupa, którego by w innej chwili podnieść nawet nie mogła, i unosząc go tak w swoich rękach, jak matka małe dziecko, puściła się odważnie w drogę.

Pośród tego milczenia nocy, szmer gałęzi, o które w drodze zawadzała, chłodny wietrzyk poruszający ciemne, długo opadające włosy Angela, wszystko to powiększało jej przerażenie i przejmowało jakąś zabobonną bojaźnią; ale tyle było jeszcze odwagi w tem złamanem sercu, tyle wysilenia w tych słabych członkach, tyle siły w tem wiotkiem ciele, iż te wszystkie przeszkody pokonała.

Lubo szła długo bez myśli, dokąd zajdzie, tajemny instynkt wiódł ją jednakże tam, gdzie go raz pierwszy spotkała. Tam doszedłszy, złożyła martwe ciało na mchu, a siadłszy przy nim, zaczęła płakać. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo to trwało. Wreszcie powstała; w oczach zamigotał jej błysk postanowienia okropnego.

Sięgnęła ręką pod suknię Angela i wydobyła sztylet długi, świecący, trójgraniasty; uśmiechnęła się do niego. A potem rzuciła się na trupa i pożegnała go długim, gorącym uściskiem, uklękła nad nim i poleciła go Bogu, a wreszcie, wzniosłszy ręce do nieba, zawołała:

»Boże! Ty, co wskroś moją duszę przenikasz, Boże, przebacz mi!«

I wstała silna nadzwyczajną odwagą, obróciła sztylet trzonkiem do dębu, a ostrzem do piersi, trzonek przyparła do kory chropowatej, a ostrze skierowała ku piersi, usunawszy suknie, a potem z konwulsyjnem wysileniem objęła rękoma dąb i za-



— Zabiłem go — odrzekł Mikołaj — ponieważ to był nieprzyjaciół naszego rodu. (Strona 46).

topiła sztylet aż pod samą rękojęść. Długo trzymała w objęciu dąb, ale powoli ramiona słabły, ręce owisły, opadły, ciało jej zaczęło się chwiać i nareszcie padło w znak, i czy to z przypadku czy z namysłu powziętego w największej rozpacz — twarz Anieli legła obok twarzy Angela!

Ślad krwi doprowadził Mikołaja i innych świadków do tegoż miejsca. Mściwy góral był na ten widok, tak jak zawsze, nieczuły; przytomność poległego nieprzyjaciela odjęła mu czucie dla współwinnej Anieli. Reszta ludzi poświęciła kilka łez, kilka westchnień, kilka pacierzy dla wielkich w ich oczach grzeszników. Mieli przynajmniej tyle litości, iż nie rozdzielili dwojga kochanków po śmierci, ale ich razem na tem samem miejscu pogrzebali. Krzyż dębowy jakaś pobożna dusza na oznaczenie tego miejsca później postawiła.



Dwie powieści ludowe o zbójcy Madeju.



I.

Był sobie kmiotek, poczciwy, pracowity, wstrzeźmieliwy, i wiódł żywot tak pobożny, że żaden uczynek zdrożny nie plamił jego sumienia; choć zaś był szczupłego mienia, co dzień skrycie i otwarcie, jak gdyby to już z nałogu, cząstkę poświęcał na wsparcie uboższej swej braci w Bogu.

Za to też go Pan miłował, w świętej łasce Swojej chował, wlał weń w uczynkach miłości czucie szczęścia i błogości, i chociaż był kміeć w zgrzebnej koszuli, miał dlań po śmierci w niebiesiech wieczne z Sobą królowanie.

Raz o późnym już wieczorze, zbił się kmiotek z drogi w borze, i błądząc wśród nocy cichej, przybył do karczemki lichej.

Nie znalazłszy w niej nikogo, przejął się był z razu trwoga, lecz wkrótce się uspokoił, znakiem się krzyża uzbroił, i już śmielej stawiał kroki, wlaź sobie na piec wysoki »Kto się w opiekę« odmówił, położył się i zasnął.

O samej północy, ktoś do karczemki przybył, ognia wskrzesił, i oto koło stołu na ławach dwunastu zbójców zasiadło, każdy niezwyklej urody, zbrojny, barczysty, niemłody, a tak groźnej postawy, że bez trwogi i obawy niktyby ujrzeć ich nie mógł.

Jeden z nich, widać przywódzca, z workiem złota w jednej dłoni, w drugiej z buławą z jabłoni, złoto na stół sypnął i w dwanaście kupek układa.

W ciszy, po szumnym wprzód gwarze, jedenastu zbójców twarze połyskujące od potu, obróciły się ku złotu, i wrząc dzikim ogniem szał, czekają równego działu, by krwią zboczony nabytek, wziąć i roztrwonić na zbytek.

Wtem na piecu tuż przy ścianie, śpiącego kmiotka sapanie nagle doszło zbójców uszu. Przywódzca buławę chwycił, jednym susem na piec wskoczył, i śpiącego grzmotnął! Lecz o cudo! choć w samo czoło wymierzył, choć z całej siły uderzył, zamiast zdruzgotać od razu, jakby od twardego głazu odskoczyła buława, a kmiotek śpi spokojnie. Zbójca wprzód się był przeląkł, ale widząc, że się podróżny nie obudza, przynosi ku niemu światło i widzi, że kmieć cały od stóp do głowy, okryty w zbroję stalową, i to w zbroję nie zwyczajną: ciało najszczelniej osłaniającą, a od razów chroniącą, że go żadna ludzka siła, ranićby nie potrafiła.

Zdziwieni zbójcy chwilę podumali, potem złotem się podzielili i spać się pokładli, i jeden tylko przywódca z buławą na straży pozostał, i na spokojnie śpiącego kmiotka ciekawie spogląda.

Nazajutrz gdy wszyscy wstali, ocknął się też i kmiotek, ale równo z ocknieniem, zniknęła na nim zbroja cudowna, i był w zwykłym kmiecem ubraniu.

To bardziej jeszcze dowódcę zbójców zdziwiło, postanowił zbadać, co by to było, i w tym celu prosi go, by do jutra pozostał z nimi.

Przez cały dzień karmią go i bawia, a pod wieczór prawie gwałtem tak podpoili, że gdy do snu się udawał, ledwie do połowy »Kto się w opiekę« zmówił, i zasnął.

Zbójcy wnet go oskoczyli i chcą zabić, gdyż zbroją do połowy tylko był okryty, lecz herszt nie pozwolił, do jutra zaczekać kazał, i wszyscy tak jak stali, na ziemię pokotem runęli, i mocnym snem zasnęli.

Gdy się kmiotek ocknął o świcie, na rozkaz dowódcy zbójcy go otoczyli, tak błagali i prosili, że jeszcze na jeden dzień z nimi został. Przez cały go dzień bawia, przysmakami karmią, a wieczorem tak winem uraczono, że nie tylko »Kto się w opiekę« nie zmówił, lecz ani się przeżegnał, na ławę runął i zasnął.

Wnet zbójcy go okrzyżyli i chcą zabić, gdyż już całkiem zbroi na nim nie było, ale starszy zbój buławą swoją od razów go osłonił, sam aż do świtu stał przy nim na straży i gdy się obudził, rzecze:

»Powiedz, kmiotku, czyś nie czarownik, bo gdy pierwszej nocy miałem cię zabić, jakąś cudowną

zbroją byłeś okryty, od której moja buława, jak plewa odskoczyła, a uderzenie nawet cię ze snu nie obudziło; na drugą noc byłeś tą zbroją do połowy okryty, a dzisiejszej całkiem bez niej... jeśliś czarownik, naucz mnie czarów, a dam ci za to wór złota.«

»Nie jestem czarownikiem, lecz widać Bóg łaskaw na mnie, gdyż owa zbroja, której widocznie nie mam, była zapewne skutkiem nabożnego odmówienia: »Kto się w opiekę poda Panu swemu«; zawczoraj połowę tylko tego psalmu odmówiłem, do połowy też tylko okryty nią byłem, a wczoraj podobnom wcale go nie odmówił.«

»Widać, kmiotku, żeś szczęśliwy u Boga! pomódl się czasem do Niego, za mnie zbójcę niegodnego, bo ja sam modlić się nie umiem i nie śmiem, a za to daruję ci życie... uchodź tylko ztąd spiesznie, by cię żaden z moich towarzyszy nie ujrzał, gdyż jesteś pierwszy, co z rąk naszych cało wychodzisz.

Kmiotek uklonił się, wyszedł, westchnął szczerze, i gdy już był w polu, ukląkł pod krzyżem i za ocalenie Boga dziękował.

W rok czy we dwa potem, kmiotek był już żonaty, i w gospodarce Bóg mu szczęścił; raz więc naładowawszy wóz pszenicą, do odległego miasta pojechał.

Jedzie, jedzie, wtem o zmroku zbił się z drogi, wjechał do lasu, i gdy z dala światelko ujrzał, ruszył nań prosto, i oto nagle koń zapadł do błota, i wóz ugrzązł po osie.

Kmiotek skoczył do konia, rzuca się do wozu, wydobywa go, konie ratuje, ale nic nie mógł wskórać, zmógł się tylko i zawołał:

»Co jeden pocznę! — tu sam djabeł nie da rady.«

»Dam!« wrzasnął tuż przy nim kusy i kulawy fircyk, »darmo jednak nie pomogę, a bez mojej pomocy, koń, wóz i pszenica pozostaną w bagnie, w mojem siedlisku, zkad na przejezdnych czatuję.«

Chciał się kmiotek przeżegnać, ale słowa święte znikły mu z pamięci, i ręki ku czołu podnieść nie może; po chwili więc drżąc zapytał:

»Cóżbyś chciał za ratunek? może duszy!«

»Duszy twej bronią od nas twe uczynki miłosierne, za ocalenie dasz mi lada fraszkę.«

»Cóż przecie?«

»Ot, choćby i to nawet, coś w domu zostawił, a o czem jednak nie wiesz i czego się znaleźć nie spodziewasz.«

Kmiotek pomyślił chwilkę i rzecze:

»Jakże ci dam rzecz taką, o której sam nie wiem?«

»Odstapisz mi ją na piśmie... oto ja napiszę umowę, a ty ją podpiszesz.«

To mówiąc, wydobył z zanadrza pergamin, herbem djabelskiej godności opatrzone, wziął do ręki pióro, którem przedajni sędziowie swe wyroki, a przewrotni politycy swe układy piszą, ukłął serdeczny palec lewej ręki kmiotka, napisał kilka wyrazów krwawych i daje mu do podpisu.

Kmiotek umowę podpisał, djabeł ją chwycił, w zanadrze schował i jak się zawinał, natychmiast konia i wóz z bagna wydobył, na drogę wyprowadził i zniknął chichocząc.

Po jego dopiero zniknięciu, uczuł kmiotek władzę w prawej ręce, przeżegnał się, jedzie dalej, a jadąc ubolewa, że zamiast wezwania Boga na pomoc, zamiast polecenia się Jego opiece świętej, w roztargnieniu jakoś djabła wywołał, i któż to wie, jakiego mu ten figla wypłatał?...

W mieście korzystnie pszenicę sprzedał, połowę pieniędzy do trzosa schował, a za resztę nakupował obrazków świętych, szkaplerzy, krzyżyków, medali-ków, książek do nabożeństwa, kantyczek i ewangieliczek, i z tym towarem pojechał od miasteczka do miasteczka, od wioski do wioski, od chaty do chaty, i kiedy już wszystko wyprzedał, w ośm miesięcy po swoim wyjeździe, do domu powrócił.

Żona z okna go spostrzegła, chwyciła miesięczne dziecko na rękę, i z synkiem spotyka na ganku.

Uradował się kmiotek i za tak drogą mu niespodziankę gorąco Bogu dziękował, ale gdy później rozważać zaczął, domyślił się, że przed wyjazdem swym w drogę, syna właśnie w domu zostawił, o którym nie wiedział i którego znaleźć nie spodziewał się, i że go zatem przed jego jeszcze urodzeniem djabłu zapisał.

Ubolewa skrycie, płacze w cichości, żonie jednak nic nie mówi, i w tydzień po powrocie, nowonarodzony syn został ochrzczony i Niespodziankiem nazwany.

Niespodzianek rośnie a rośnie, z niemowlęcia stał się pacholęciem, z pacholęcia chłopakiem, z chłopaka młodzieńcem.

Cichy, łagodny, pokorny, posłuszny, pilny i rozum ma nad laty, tak że mu się wszyscy a wszyscy dziwią, a w szkółce klasztornej tak się uczy przykładnie, że go do nowicyatu wzięto, i za kilka miesięcy miał się już na kapłana wyświęcić.

W miarę zbliżania się tej uroczystości, kmiotek ojciec Niespodzianka, stawał się coraz smutniejszym, zamyślał się głęboko, i często zapłakane oczy miewał.

Zauważyła to matka, powiedziała synowi, a syn przystąpiwszy do ojca sam na sam, ucałował mu ręce, i tak go ze łzami błagał, tak na wszystko zaklinał, by mu się z przyczyny swego smutku zwierzył, że kmięć zapiakawszy rzewnie, rzecze:

»Jakże, mój synu, nie mam płakać, jakże się nie mam smucić, kiedy wkrótce zbliża się czas twego wyświęcenia, a ta chwila pewnie nie nadejdzie dla ciebie, bo czyż poświęcić się Bogu dopuści ten, któremu cię przed twem jeszcze urodzeniem zapisałem?«

I opowiedział wszystko.

»To więc jest przyczyną twojego smutku, ojcze!« zawołał Niespodzianek, »ufaj zatem w miłosierdzie Boga i módl się za mnie, a ja, nim jeszcze czas moich wyświęcin nadejdzie, pójdę do piekła, i ów zapis niewinnej mojej duszy, do rąk ci, ojcze, przyniosę!«

To rzekłszy, pożegnał się z ojcem i matką, otrzymał rodzicielskie ich błogosławieństwo, uzyskał pozwolenie zwierzchności klasztornej, wziął z sobą kropidło, wodę i kredę święconą, przeżegnał się, »Kto się w opiekę« zanucił, i wielkim gościńcem na zachód ruszył.

Idzie Niespodzianek dzień, idzie drugi, na trzeci dzień wchodzi do puszczy głębokiej, i widzi, że tu na pniu dębowym siedzi starzec z ogromną buławą, głowę ku ziemi zwiesił i myśli.

»Stój! młodziku«, potrząsając buławą starzec zawołał, »coś za jeden, że śmiesz iść tędy, gdzie już od dwudziestu lat żywa noga wędrowca nie powstała?«

»Z urodzenia jestem kmiotek, z nazwiska Niespodzianek, a z powołania przyszły sługa Boży.«

»Dokądże zmierzasz?«

»Idę do piekła, po zapis mojej duszy.«

»Usiądź więc, młodzieńcze, i posłuchaj, co ci nieszczęśliwy starzec powie.«

Niespodzianek usiadł na kamieniu przeciwległym, a starzec wzniesioną buławę na ziemi postawił, powiodł naokoło oczyma, siadł na pniu dębowym, pomyślił, westchnął i rzecze:

»Opowiem krótko, bo na cóż zbrodniami, które mnie samego zgrozą przejmują, mam razić młode uszy twoje!... Jestem rozbójnik, Madej!... siedmdziesiąt pięć lat już ubiega, jak w tych lasach, z jedenastu rodzonymi braćmi puściłem się na grabieże, rozboje i mordy!... Ile jest włosów na głowie, gwiazd na niebie, liścia na drzewie, piasku w morzu, tyle grzechów ciąży na mojej duszy, tylu łez, krwi i nieszczęść byłem przyczyną!... spójrz na moje bogactwa.«

To mówiąc wstał, zaprowadził nieco w bok gościńca, i ukazał trzy ogromne jamy; jedna była pełna pieniędzy miedzianych, druga srebrnych, trzecia, samem złotem napelniona.

»Widzisz więc młodzieńcze«, mówił dalej Madej do Niespodzianka, »że żaden może panujący tyle bogactw nie posiada, a jednak cóż mi po nich?... jak najlichszy robak czołgam się w prochu moich wspomnień, a każde jak ognistym sztyletem przeżywa!... bracia moi wszyscy wyginęli, jednych ścięto, drugich powieszono, inni polegli i przynajmniej nie czują okropności życia, przeciążonego tylu zbrodniami; ja jeden tylko żyję, i zawsze na próżno śmierci wzywam, ale śmierć wzdryga się widać spojrzeć mi w oczy!... Od ludzi strach mnie goni, a pamięć życia tak okropne zadaje katusze,

że poniesieniem tysiąca śmierci chciałbym się wykupić od nich, gdyby te śmierci-śmiercią sprawiedliwego być mogły!... Są to zapewne skutki przeczcucia kary wiecznej, jaka mnie czeka po zgonie... kiedy więc będziesz w piekle, zapytaj się, co mnie tam czeka, i idąc tędy napowrót, opowiesz mi to na tem samem miejscu, gdzie niecierpliwie na ciebie czekać będę.«

Ze zwieszoną w dół głową Madej pozostał, a Niespodzianek dalej poszedł.

Przybywszy do bram piekła, Niespodzianek uderza w nie trzykroć kropidłem, otwierają się z łoskotem, wchodzi wewnątrz i na środku staje.

Do dwunastu żelaznych łańcuchów przykuty, stoi tam w wiecznych płomieniach gorejąc mocarz duchów piekielnych, władzca ciemności, Lucyper. Dwunastu szatanów stoi obok niego ze stalowemi piłami, każdy piłuje jeden łańcuch żelazny, i przez cały rok nieustannie piłując, już już ma go przepiłować i mocarz piekieł z więzówby się uwolnił, by potem panowanie swoje nad światem rozciągnąć, gdy oto na Zmartwychwstanie Pańskie rozlegnie się uroczysty głos pierwszego Alleluja! i łańcuchy znowu się zrosną, a dwunastu biesów z jękiem i ze zgrzytaniem zębów, nigdy nieskończoną swą pracę znowu rozpoczynają.

Od miejsca, gdzie stoi Lucyper przykuty, do dalszych otchłani piekielnych prowadzą trzy bramy z napisem: nad pierwszą, karanie za ciemieństwo kmiotków, nad drugą, męczarnie za łzy ludzkie, nad trzecią, katusze za krew niewinną.

Niespodzianek rzuciwszy okiem po piekło, zakreśla koło święconą kredą, staje na środku, który krzyżem świętym przeżegnał, i w lewej ręce trzy-

mając kropielnicę z wodą święconą, umaczał w nie kropidło i zaczął Lucypera i jego diabłów kropić!

Zaruszyli się szatani, zasykali jak węże, rzucili się ku przybyszowi, lecz nie mogąc zakreślonego koła przekroczyć, z krzykiem i wrzaskiem rozpierzchli się w różne strony.

Niespodzianek wciąż kropsi a kropsi, i gdy na czoło Lucypera spadła kropla wody święconej, mocarz ciemności jęknął i ogromnym głosem zawołał:

»Czego chcesz od nas?«

»Zwróćcie mi zapis na moją duszę!«

Lucyfer chwycił za trąbę miedzianą, którą dźwigali na sobie pierwsi czterej szatani, i zatrąbił do bramy pierwszej.

Wyleciało ztamtąd mnóstwo diabłów, i na rozkaz swego władcy, by wnet oddali zapis na duszę Niespodzianka, odpowiedzieli, że go nie mają.

Niespodzianek znowu zaczął kropić wodą święconą, a Lucyfer chwyciwszy za trąbę srebrną, którą drudzy czterej szatani dźwigali, zatrąbił do bramy drugiej.

Zbiegła się wielka moc innych czartów i oświadczają, że także oni o tym zapisie nic nie wiedzą.

Znowu zanurzył Niespodzianek kropidło do kropielnicy i zaczął Lucypera i nieczyste duchy kropić.

Rozległ się krzyk wielki, aż piekło zadrżało a Lucyfer chwyciwszy trąbę złotą, którą dźwigali czterej ostatni szatani, zatrąbił do bramy trzeciej.

Wielkim pędem przylatuje ćma czartów zaspanych, i czekają rozkazu Lucypera.

»Oddajcie zapis na duszę Niespodzianka!«

Wszyscy spojrzeli po sobie i zaczęli się wymawiać, iż takiego zapisu nie mają.

Niespodzianek brał się znowu do kropienia, a Lucyper zatrąbił we wszystkie trzy trąby razem, i z najgłębszych zapadlin piekła przybiega djabeł kulawy, zezowaty i łysy, i stanął przed Lucyperem.

»Zwróć Niespodziankowi zapis na jego duszę!«

Djabeł kulawy zaczął się krztusić, majacząc, rudym ogonem po piekle wybijać, aż Lucyper z gniewem zawołał:

»Oddaj!«

Skrzywił się djabeł, jak gdyby pianie koguta posłyszał, lub kół osinowy na grzbiecie poczuł, sięgnął rękę za cholewę, dostaje zwitek pergaminu, rozwinał, okazał i oddał. Niespodzianek wziął swój zapis i uradowany już miał odchodzić, gdy Lucyper rzekł do kulawego biesa, zwanego Asmodeuszem:

»Masz szczęście, żeś się dłużej z oddaniem zapisu nie ociagał, gdyż kazałbym cię zaprowadzić na Madejowe łoże.

Niespodzianek całkiem był zapomniał o Madeju, obróciwszy się więc znowu do Lucypera, jeszcze raz kropnął wodą święconą i rzecze:

»Każ mi to łoże pokazać.«

Na dany rozkaz, djabeł kulawy poszedł w głąb piekła, Niespodzianek udał się za nim i ujrzał straszne łoże Madejowe.

Całe z żelaza i na szrubach, u jednego końca wiszą klamry dla ujęcia głowy, a u drugiego dla skrępowania nóg, i to się skraca do rozmiarów kolebki, to się na kilkanaście łokci rozciąga; spód i boki najeżone nożami, brzytwami, sztyletami, nożycami, obcęgami, kleszczami, szydlami i hakami; wszystko rwie, rznie i kole, szarpie, kraje i nacina; z dołu buchają płomienie nieustanne, a z góry rozpalona siarka ognistym dżdżem spada.

Zawrócił się prędko Niespodzianek, i progi piekielne jak najprędzej opuścił.

Idąc ciągle na wschód słońca, Niespodzianek przybywa do puszczy, zastaje Madeja na pniu dębowym, opowiada mu wszystko, opisał przygotowane dla niego łoże, i już miał odejść, gdy Madej powstał, zadrżał i rzecze:

»Cóż mi teraz pozostaje? mamże oddać się rozpaczy?... wszakże to do was kapłanów powiedziano, że co tu rozwiążecie, i tam będzie rozwiązano, wypowiadaj więc mnie i rozgrzesz!«

Na to Niespodzianek:

»Rozpaczać nie powinienes, bo większe jest miłosierdzie Boga, niżeli grzechy całego świata; a spowiadać i rozgrzeszać nie mogę bom jeszcze święcenia nie otrzymał.«

»Radź więc, co mam czynić?... albo wypowiadaj, zostaw mi nadzieję i odejdz, albo cię tą buławą zabiję!«

Cóż Niespodzianek miał począć?

Na wzgórku, między trzema jamami, w których bogactwa Madeja były, wbija do ziemi jabłonową jego buławę, każe mu uklęknąć przy niej, i rzecze:

»Kiedyś, gdy kapłanem zostanę przyjdę cię wypowiadać, a teraz uczynkami miłosierdzia, modlitwą, skruchą i pokutą możesz o odpuszczenie swych grzechów błagać; co dzień napełniaj sakwy pieniędzmi, które posiadasz, pełnij na klęczkach do płynącego w tej dolinie strumienia, czerpaj wody tą oto łuską orzechową i na klęczkach do buławy, narzędzia twoich grzechów, powracaj, i przez całe dni ją polewaj; jak tve skarby tym sposobem przechodniom rozdasz, a ta buława przyjmie się, puści ga-

łązki, okryje się liściem, zakwitnie i owoce wyda, wesel się i raduj się naówczas, bo grzechy twoje Pan ci odpuścił!

To rzekł i odszedł.

Madej przeżegnał się, ukląkł; i zadaną sobie pokutę ściśle wypełniać zaczął.

Co dzień wśród gorących modłów i szczerego żalu za grzechy, napełnia sakwy pieniędzmi, pełźnie na klęczkach do strumienia w dolinie, powraca tymże sposobem z wodą w łusce orzechowej do buławy, polewa ją, i po drodze pieniądze biednym przechodniom i ubogim rozdaje.

Niespodzianek zaś rad, że zapis swej duszy odzyskał, życie swoje ocalił, i Madeja na drogę skruczy, pokuty i miłosiernych uczynków naprowadził, powrócił wkrótce do domu i strapionych rodziców tak pocieszył, że jakby się na nowy świat narodzili.

W tydzień czy w miesiąc potem, Niespodzianek był wyświęcony na kapłana, a że wiódł żywot świątobliwy i z wielkiej mądrości słynął, w lat kilkanaście biskupem został. Raz biskup, Niespodzianek, objeżdżając parafie powierzonej sobie dyecezyi, jechał przez puszcę głęboką, i nagle tak nadzwyczajny zapach, jakby rajszych jabłek, uczuł, że kilku towarzyszących mu kapłanów w różne strony rozesłał, żeby jabłoń z wonnemi jabłkami wyszukali.

Jeden z szukających księży wkrótce powraca i oznajmuje, że na wzgórku niedaleko strumienia, pomiędzy trzema głębokimi jamami, rośnie jabłoń, rumianemi jabłkami obsypana, których woń tak miła i silna, że z trudnością tylko mógł się oderwać od nich, a gdy sięgnął ręką do zerwania, jakby żywe pomknęły się w górę i nie dały się zerwać; pod ową zaś jabłonią klęczy staruszek stuletni, siwy jak

gołąb, z białą jak śnieg brodą, z próżnemi po bokach sakwami, i tak się szczerze do Boga modli, że jakby był w zachwyceniu.

Słuchając tego opowiadania, biskup niezmiernie się zdziwił i przypomniał swą niegdyś przygodę z Madejem, spiesźnie zatem udaje się ku klęczącemu starcowi pod cudowną jabłonią.

Przyszedłszy pod drzewo wonnemi jabłkami obsypane, ujrzał modlącego się starca, w którym Madeja poznaje, i gdy mu pasterskie dał błogosławieństwo, starzec jakby ze snu zbudzony, spojrzał na biskupa, wznosił ręce ku niebu, ujął go za kraj szaty a ucałowawszy z pokorą rzece:

»Ojcie przewielebny! przybywasz więc wreszcie, wszystko coś mi zalecił, wypełniłem: pieniądze biednym przechodniom i ubogim rozdane; buławę, którąś tu wbił do ziemi, we dnie i w nocy na klęczkach wodą ze strumienia łuską orzechową polewałem, i stało się jakoś rzekł, przyjęła się, puściła gałązki, pokryła się liściem, zakwitła, i patrz, ile i jakie owoce wydała!... Bóg mi śnać odpuszcza, tylko ty, ojcie wypowiadaj mnie i rozgrzesz na drogę ku Niemu.«

Biskup usiadł, i zaczął go spowiadać.

Jak tylko Madej grzech wymieni, za każdym razem jabłko upadnie, i oto spadłemi jabłkami była już ziemia usłana, na jabłoni dwa jeszcze jabłka, a Madej więcej grzechów przypomnieć sobie nie może.

»Przypominaj, staruszkule... jeszcze dwa grzechy być muszą«, rzece biskup.

»Nie przypominam, ojcie! zdaje się żem wszystkie wyznał.«

»Może to więc są dwa dobre uczynki twoje... czy w czasie twojego zbłąkania nie wyświadczyłeś komu co dobrego?«

»Raz tylko, będzie już temu przeszło lat czterdzieści, nie dopuściłem zabić podróżnego w karczmie i ucieczkę mu ułatwiłem; był to jakiś kmiotek szczęśliwy u Boga, bo gdy ujrzawszy go na piecu uderzyłem moją buławą, nietylko nic mu to nie szkodziło, ale nawet ze snu się nie obudził, a była na nim jakaś zbroja cudowna, która go pokrywała, jak się pokazało później, za każdym nabożnem odmówieniem psalmu: »Kto się w opiekę...« Od owej to chwili, zaczęło mnie złe moje życie przerażać, i poczułem straszne zgryzoty sumienia!...«

»Ów kmiotek, któremuś życie darował, był to mój ojciec«, zawołał biskup, »bo o tej przygodzie swojej, która mu się zdarzyła, kiedy jeszcze był niezonały, nieraz sam opowiadał.«

»Twój ojciec!... a syn jego później narodzony, naprowadził mnie na drogę zbawienia, o wielkie zrzą-dzenie Boga!... ależ i ja miałem ojca... ach, kapłanie! najpierwszą i najokropniejszą zbrodnię teraz sobie przypominam oto ojca zabiłem!...«

W tej chwili spadły ostatnie jabłka, a gdy biskup korzącego się starca rozgrzeszył, nagle zwię-dłe starca ciało w marny się proch rozsypało, dusza zaś skrucłą zbawiona, z więzów ciała uwolniona, jako gołębicą białą, wprost do nieba poleciała.

II.

Był to dzień pochmurny jesiennej pory, gdy pewien kupiec, powracając z dalekiej podróży, wjeżdżał wypakowaną bryką nad wieczorem do gęstego lasu, z zakupionemi w odległym mieście towa-

rami. Woźnica radził, choć było nieco zawcześnie, w poprzedzającej wiosce na nocleg pozostać; wiedział bowiem, że bór na trzy mile szeroki, a przytem spadłe deszcze utrudzały drogę i nie prędsze, jak około północy, do najbliższego noclegu rokowały przybycie. Lecz niecierpliwy kupiec, pragnąc po dwumiesięcznem oddaleniu, jak najprędzej oglądać dom własny, a nade wszystko swoją ukochaną żonę, naglił koniecznie do dalszej podróży. Na nieszczęście droga była coraz gorsza, a gruba ciemność tak dalece przeszkadzała podróży, iż niedługo pan szczerze żałować począł, że mądrej rady swego sługi nie usłuchał. Z tem wszystkiem w obecnem położeniu nie pozostawało nic więcej, jak zdawszy się na Opatrzność Boską, jechać dalej. Już się byli z wielkim mozołem do połowy lasu dobili, gdy naraz bryka w błocie ugrzęzła. Na próżno gorliwy woźnica wśród natężonych krzyków wiu! wiu! siekł biczem zmęczone konie, które zataczając się coraz bardziej w bezdennym roztopie, same nareszcie w błocie zagrzęzły, tak, iż bez obcej pomocy nie podobna było z miejsca wyruszyć. Cóż tu robić? Biedny kupiec znajdował się istotnie w opłakanym stanie. Zmęczony, zadyszany od natężonej pracy około wydobywania bryki, a przytem przemokły, zachodził prawie w głowę i ostatniej podawał się rozpacz, przeklinając drogę i swój nieszczęsny upór, że się o tej dobie w ten las zapuścił; gdy naraz przy błasie światła księżyca, który z za chmury był wyjrzał, zobaczył koło siebie stojącą postać. Na pierwszy rzut oka wziął ją z kusej kurtki za borowego tej kniei; lecz twarz wykrzywiona, oczy jaskrawe, cieńkie i w kurzą stopę zakończone nóżki, na których zdawał się płynąć, zdradzały posłańca z piekła.

Aby się więc tem lepiej przekonać o charakterze przybysza, przeżegnał się nieznacznie. Syknał, choć zdala od niego stał i skrzywił się mniemany myśliwiec, wołając na kupca:

»Precz z tą motaniną! przyszedłem cię ocalić, jeżeli nie chcesz użyć mej pomocy i wolisz przepaść w tem bagnie, mniejsza o to, ty nie jesteś pierwszy, co tu w tem topielisku kark skrzywił«.

Gdy kupiec nic mu na to nie odpowiedział, dyabeł biorąc jego milczenie za zezwolenie, dodał:

»No! widzę, bracie, masz rozum, że nie chcesz czekać aż koniom łbów widać nie będzie i wolisz mniej stracić, niż wszystko. Lecz śpiewać darmo, boli gardło; nie jestem zbyt interesowany, jeżeli mi dasz to, co masz w domu, a o czem nie wiesz, wydobędę cię z tego błota«.

Kupiec rozumiejąc, że zna na palcach dokładnie cały inwentarz swego majątku, pomyślał sobie: to zapewne nowicyusz, mało widzę ma znajomości świata: nie wie, że teraz ludzie, a zwłaszcza kupcy są bardzo obrachowani; korzystajmy z jego głupoty.

Dyabeł widząc jego gotowość, rzekł:

»Ostrożność wszędzie potrzebna, musisz mi wystawić mały rewersik, bo wiesz dobrze, że teraz na gołe słowo spuścić się nie można«.

W okamgnieniu wy dobył z zanadrza kawał byczej skóry i ostrym scyzorykiem utoczywszy kupcowi krwi z serdecznego palca, wystawił żądany zapis. Poczem podskoczywszy z radości, wy dobył niepojętym sposobem brykę i wyprowadził na suche miejsce. Nagle okropny wicher zaszumiał po gałęziach gęstego lasu, znikła czartowska postać, blady tylko płomyk, jak gdyby błędnego światła, mignął

w gęstwinie, a w odległości dał się słyszeć przeraźliwy świst i piekielny śmiech: »ha, ha, ha!«

Wystraszone złowieszcze sowy, puszczyki i kruki huczały i krakały nad głową strwożonego kupca. Włosy stanęły mu dębem na głowie, a biedne zsięczone nawet konie, dobywając ostatniej siły, parskając i chrapiąc, w największym pędzie uchodziły z tego okropnego miejsca. Jakoż po jakimś czasie wyjechał przecie na otwarte pole, gdzie dopiero z przestachu ochłonał i biednym zwierzętom wytnąć pozwolił.

Pogodny i uśmiechający się poranek zatarł w nim niedługo pamięć tej nocnej zgrozy; a zdala wynurzone na widnokręgu znajome wieże ojcystego miasta, do blizkiego domu całą jego zwróciły uwagę. Gdy ładowna bryka już przed domem stanęła, uradowana żona z utęsknieniem wyglądając przybycia męża, porywa swego synka na ręce, którym ją łaskawe nieba w czasie tak długiego oddalenia mężowskiego udarować raczyły, i bieży skwapliwie z uczuciem najżywszej radości na jego spotkanie. Rozczulony ojciec przyciska do swych piersi matkę i syna, którego tak pragnął, roniąc łzy radości; lecz jak gdyby piorunem uderzony, przypomina sobie swoją nieszczęsną z dyabłem ugodę:

»Ach! biada mnie nieszczęśliwemu, biada! cóżem najgorszego uczynił! biedna ty niewinna istoto!«

Potem zakrywszy sobie twarz obiema rękoma, rzucił się na ławę i w największej rozpaczyci jęczał żałośnie. Zdziwiona kupcowa tysiączne czyniła pytania, aby wybać przyczynę smutku mężowskiego; lecz czyli to że boleść jego przechodziła wszelkie wyrazy, czyli też, że chciał czulej małżonce oszczę-

dzie tak wielkiego strapienia, nic z niego wydobyć nie mogła.

Nieszczęśliwy kupiec wylawszy łez strumienie, ulżył sobie wprawdzie nieco; jednakże bez przestanku wewnętrzną zgryzotą dręczony, w ciągłym był pograżony smutku; nigdy od tej okropnej przygody nie osiadł wesóły uśmiech na jego ustach. Czarujące nawet pieśzcoty lubej dziecińy zdawały się w nim podwajać srogie męczarnie. Tymczasem wzrastało małe dziecię. Troskliwa matka cała wychowaniem jego zajęta, wpajała weni wcześniej zarody cnoty i bogobożności; a nawet i ojciec, gdy się smutek jego nieco ukoił, najbardziej lubił z dzieckiem rozmawiać o boskich wyrokach religii, zwracając wcześniej jego uwagę na duszne zbawienie. Nie dziwnego zatem, iż synek, gdy już w naukach znacznie postąpił, stósownie do życzenia rodziców duchownemu się poświęcił stanowi. Odwieziony do seminaryum, nietylko pilnością i gruntowną nauką, ale też i pięknem postępowaniem stał się wkrótce wzorem dla swych współuczniów i był zupełnie szczęśliwy; ta go tylko okoliczność martwiła, że ile razy do domu na wakacye przyjechał, zamiast wyczytać radość z twarzy swego ukochanego ojca, zawsze widział jego udręczenie. Nareszcie, gdy już został dyakonem i był blizkim święceń kapłańskich, przyjechawszy po raz ostatni do domu na święta, upatrzył sposobną porę i tak czule wyraził ojcu potrzebę odkrycia mu powodu ciągłego kłopotu, iż tenże nie mógł się dłużej opierać i wyjawil synowi fatalne o duszę jego z djabłem frymarki.

Kleryk, wysłuchawszy spokojnie rzeczy całej, bynajmniej się nie uląkl, owszem natychmiast przedsięwziął odwiedzić czartowską stolicę i wyrwać pie-

kłu zapis swej duszy. Opatrzony w relikwie, które go od napaści szatańskiej obronić miały, wziął z sobą kropidło i święconej wody kociołek. Trzeciego dnia samotnej wędrówki wszedł w gęsty las; im dalej postępuje, tem dziksza i posepniejsza otacza go knieja. Już słońce schyliło się ku zachodowi, już i gruby zmrok zapadł, a nasz kleryk, zbłąkany w lesie, sam nie wie, dokąd idzie.

Położenie jego było smutne; wtem naraz ujrzał z dala pomiędzy gęstą zarośłą słabe światelko. Ucieszony, spieszenie kroki swoje w tę stronę skierował i spostrzegł wkrótce przed sobą nędznie skleconą lepiankę. Chociaż odludność ukrytego i do łotrowskiej jaskini podobnego miejsca nie radziła w niem szukać gościny, jednak potrzeba, głód i utrudzenie przemogły. Kilkakrotne stukanie do drzwi sprowadziło nareszcie do niego zgrzybiałą babę, która naszego wędrowca do izby wpuściła. Tu gdy mu się lepiej przypatrzyła, ulitowała się nad jego młodością i rzekła:

»Kochane dziecko, uciekaj czempredzej, bo cię tu niechybna śmierć czeka! Mój syn jest rozbójnikiem, wyglądam go co chwila, a jeżeli cię tu zastanie, życiem twojem swą śmiałość przypłacisz; uciekaj dla Boga! on jeszcze nikogo żywcem z rąk nie puścił.«

Ale kleryk tak był zmęczony, tak łaknący posiłku, tak przemokły do nitki, iż wolał pozostać w ciepłej chacie, niż na nowe w lesie narażać się niebezpieczeństwa; błagał przeto miłosierdzia staruszki, aby go posiliła i ukryła w bezpiecznem miejscu. Ledwo lichą strawą pokrzepił się cokolwiek, gdy nagle dał się słyszeć gwałtowny kołat u drzwi. Przełęczniona kobieta z trudnością zdążyła ukryć go

za piecem, przyrzuciwszy łuczywem i pobiegła drzwi otworzyć. Zniecierpliwiony zbójca wkroczył do izby popędliwym krokiem, mruczac groźnie pod nosem, że mu tak długo za drzwiami stać kazala, a potem strzeliwszy po izbie jastrzębim wzrokiem i wachając jak wyżeł, gdy zwierza trop poczuje:

»Ha, matko!« zawolał, »czuję świeże człowiecze cielsko, gdzie jest? albo czy chcesz, abym i tobie moją maczugą łeb zgruchotał?«

Nim struchlała niewiasta zdołała ruszyć się z miejsca, odważny kleryk nie czekając ostateczności, wyskoczył z zapieca i w pokornej postawie błagał litości.

»Co, litości?« zagrzmiął straszliwym głosem rozjuszony rabuś, »litości? ja nie znam tego słowa! jak się twój mózg pod grzmotem mojej pałki rozprysnie, to będzie moja litość; klękaj i gotuj się na śmierć! lecz krótko, bo ja nie lubię długich ceremonii!«

Nieszczęsny młodzieniec, widząc się tak nagle przed bramą wieczności, przed wydobyciem z paszczy piekielnej duszy swojej zapisu, tak przenikliwym, tak rozdzierającym głosem błagał twardego zbójcę o życie, iż ten zmięczony spuścił podniesioną pałkę i ciekawie o bliższe przyczyny jego piekielnej wędrówki dopytywać się począł. Wymowny kleryk obszernie opowiedział rzecz całą, ponawiając swą prośbę, aby duszy jego nie wystawił na niechybną zgubę, oddając ją w moc czartowską. Rozbójnik stał długo zamyślony; nakoniec odezwał się ponurym głosem:

»Dobrze, daruję ci życie, ale jedynie pod tym warunkiem, że za powrotem wstąpisz do mnie i opowiesz mi, coś w piekle widział i słyszał.«

Zjadłszy w milczeniu zgotowaną wieczerzę, udali się obaj na spoczynek.

Nazajutrz skoro świt już kleryk nucąc pobożną piosenkę, puścił się w dalszą podróż. Idzie przez pola, góry, lasy, pustynie, aż naraz prędzej niżeli się spodziewał, ujrzał się przed bramami piekła. Opalone czeluści, z których niekiedy grube kłęby dymu wybuchały, oznaczały stolicę Lucypera. Szum płomienistych bałwanów, przeraźliwy świst wiatrów, okropne jak gdyby obracających się kół młyńskich łoskoty, syk węzów, przeraźliwy ryk katowanych, wszystko to czyniło okropny widok i budziło odrazę w duszy. Ale mężny kleryk, ufny w moc świętości, a nadewszystko w czystość swego sumienia, ochoczo się do zapasów z piekłem sposobił. Wydobył święconą wodę trzech króli, szkaplerze i relikwie świętych, zanurzył po trzykroć kropidło w wodzie święconej, potem zaśpiewawszy pieśń: »Kto się w opiekę poda Panu swemu«, odważnym krokiem pogrążył się w głąb piekła.

Co tam oko jego widziało, co ucho słyszało, tego żadna ręka ludzka skreślić nie zdoła. Tu straszna poczwara wiję się w kłęby, syczy żądłem i straszliwe kłęby nad nim roztacza; tam inna rozwiera paszczę, klaszcze kłem ostrym i bucha płomieniem. Tu kipi płomienista fala, tam otwiera czarna otchłań bezdenną przepaść; ówdzie, jak gdyby w hucie, wyziewają piece ogniste żary, przy których biesy przypiekają w kleszczach biedne duszyczki, a potem kują ogromnym młotem na rozpalonem kowadle. Lecz nieulekniony kleryk śmiało naprzód postępował, i kropiąc kropidłem, i run sobie czyniąc, walił prosto do Lucypera, jako najwyższego władzcy piekła. Gdy się do niego zbliżył, oświadczył mu

wręcz, że przychodzi po swój cyrograf, który tak nieuczciwym sposobem jeden z czartów na ojcu jego wyłudził; a gdy Lucyfer nie wiele pokazywał ochoty przychylenia się do jego słusznego żądania, aby dodać więcej wagi swym słowom, tak gorącą, svojem kropidłem, sprawił mu łaźnię, że biedné djablisko, rycząc z bólu, rzucało się jak wściekle na wszystkie strony, i ledwo się nie urwało z łańcucha, którym do swego żelaznego tronu było przykute. Tak więc nie pozostało mu nic więcej, jak przychylić się do prośby natarczywego młodzieńca, kazał przeto zawołać posiadacza zapisu o duszę. Był to osławiony duszołowca Asmodeusz, kulawy na jedną nogę, wywiedły, a nade wszystko nieużyty jak sknera, kiedy ma powrócić grosz już schowany do szkatuły. Zacięcie więc wzbraniał się wydać w sporze będący cyrograf. To uchybienie przeciw posłuszeństwu porciagnęło za sobą porządkową karę; Asmodeusz porwany został na męczarnie, aby na nim wydanie cyrografu wymusić; lecz on znosił cierpliwie najsroższe męki, któremi go piekielni oprawcy stopniowo dręczyli. Kleryk nie widząc skutku z podwójną natarczywością uderza na Lucypera, i już to kropidłem, już nareszcie, gdy wody przybrało, samym poświęconym kociołkiem tak mu dojmować zaczął, że tenże wśród najokropniejszych bólów zagrzmiał straszliwie:

»Bierzcie go na Madejowe łoże!«

Na te słowa Asmodeusz rzuca z największą wściekłością klerykowi cyrograf pod nogi. Była to bowiem najstraszniejsza piekielna męczarnia, usłana z samych ostrych brzytw, które ciało w najdrobniejsze siekąc kawałki, w jednej chwili na miazgę ścierały.

Ułatwiwszy tedy kleryk swoją sprawę w piekle, myślał o odwrocie. Lubo odważnym umysłem tej wyprawy dokonał, jednakże gdy już opuścił piekło i ujrzał promienie słońca, westchnął sobie głęboko: »Bogu chwała!« a padłszy na kolana, dziękował niebu za tak potężną opiekę; poczem uradowany powracał tą samą drogą. Przechodząc przez ów las przypomniawszy sobie dane słowo; zboczył więc do chaty rozbójnika, któremu wszystko co do joty opowiedział, dodając, że dopiero męczarnia na Madejowem łożu zniewoliła czarta do wydania cyrografu. Na te słowa zbladł zakamieniały morderca, a potem w największej rozpaczycy załamując ręce, przeraźliwym głosem zawołał:

»Ja jestem Madej, dla mnie te męczarnie zgotowane; biada mi, ach biada! Zbrodni moich miara jest tak wielka, że żadnej już dla mnie nie masz nadziei!«

To rzekłszy, z rozpaczycy w prochu po ziemi się tarzał. Wzruszony kleryk jego żalem chciał go pocieszyć, mówiąc: iż miłosierdzie boskie jest nieograniczone; że nie masz tak wielkiego grzechu, któregoby Bóg nie odpuścił, jeżeli tylko grzesznik z prawdziwą skruchą do niego się nawraca. Te uwagi uspokoiły nieco złoczyńcę i miały zbawienny skutek; gdyż w tej chwili uroczystą wykonał przysięgę, że porzuci okrutne rzemiosło, a pozostałe jeszcze życia chwile choćby w najtwardszej pokucie przepędzić pragnie. Co większa, padłszy klerykowi do nóg, zaklinał go ze łzami, żeby mu dopomógł usprawiedliwić się przed Bogiem.

Wziął więc tenże jego pałkę, zatknął w ziemi i rozkazawszy uklęknąć przy niej Madejowi, wysłu-

chał go długiej, straszliwej spowiedzi, poczem rzekł do niego:

»Grzeszna duszo! rozgrzeszenia dać ci nie mogę, choćby nawet mniejsze były winy twoje, bom jeszcze kapłańskich nie odebrał święceń; jednakże nie rozpaczaj, miej ufność w Bogu, żałuj z całego serca za grzechy, skrapiając łzami tę ziemię, a niebo prośb twoich wysłucha i ześle ci kapłana, który ci da rozgrzeszenie, a jeżeliby to nie nastąpiło, to ja do ciebie przybędę, skoro tylko uzyskam moc odpuszczania grzechów.«

To rzekłszy, polecił go gorącą modlitwą miłosierdziu boskiemu, w dalszą puścił się drogę i wkrótce z wielką radością rodziców w rodzinne zawitał progi.

Niedługo młody kleryk odebrał z rąk biskupa kapłańskie święcenie, został księdzem, a postępując dla swej głębokiej nauki i bogoboju na coraz wyższe stopnie, po śmierci biskupa na tę godność wyniesiony został. Zdarzyło się, że gdy razu pewnego w sprawie powierzonej sobie dyecezyi, dość daleką odbywał podróż i przez gęsty las przejeżdżał, zaleciał go zapach wonnych jabłek, które z niezbyt odległej jabłoni błyszcząc szkarłatem i złotem uśmiechać się do niego zdawały. Kazał więc stanąć swemu słudze i pójść urwać kilka tych pięknych jabłek, lecz gdy się ten do jabłoni zbliżył i rękę skwapliwie po owoc ściągnął, odbiły się o jego uszy słowa:

»Kto mnie sadził, ten tylko rwać może!«

Przelekły sługa przybiega do swego pana z oznajmieniem tak dziwnego zjawiska. Te niepojęte wyrazy odnowiły w nim pamięć dawniejszej przygody, przypomniawszy sobie dane przyrzeczenie roz-

grzeszenia, o którym dla ważnych obowiązków swoich był zapomniął; przywdział więc kapłańskie szaty i pospieszył do jabłoni. Tu pod drzewem widzi klęczącego ku ziemi pochylonego starca, którego siwa broda aż do kolan spływała. Poznał w nim Madeja, wzniósłszy zatem umysł do Boga, czyni nad nim znak krzyża św. i wymawia odpuszczenie grzechów. Lecz o cudo! gdy go palcem dotknął, ciało jego w proch się rozsypało, a złote jabłuszka zamienione w błogosławione duszyczki do nieba uleciały.

O MADEJU ROZBÓJNIKU.

Był las czarny, a w tym lesie Madej, zbój był srogi
Z straszną pałką jabłoniową siadał wedle drogi;
Kto w las jechał, już nie wracał, śmiałość płacił drogo:
Madej ojca, matkę zabił, nie bał się nikogo.

Rok za rokiem siła ludzi potraciło życie,
Nikt nie wiedział, gdzie zniknęli, tak ginęli skrycie;
A w jaskini, w wielkiej skrzyni, Madej składa gości,
Są tam białe, są i stare pobutwiałe kości.

Szumia lasy, ciemne bory i ryczą niedźwiedzie,
Dzwonki dzwonią u wózcзка, ktoś tam lasem jedzie;
Słyszy Madej, waży pałkę, na palce się wspina,
Aż tu jedzie krętą drogą jakiś ksiądz chudzina.

Trwoga padła na Madeja, rzucił pałkę skrycie,
Skoczył z krzaków: »Słuchaj księże, jeźlić miłe życie!
Jestem Madej, zbój nad zbójce, już mi w piekle łoże,
Już mi czarci wyściełają w same brzytwy, noże.

Chcę się tobie wypowiadać: ciężkie moje grzechy!
 Bardzo smutnie straszne życie pędzę bez pociechy,
 Tak mi tęskno, tak mi duszno za tym młodym wiekiem,
 Gdy w krwi ludzkiej jeszcze nie piłem, »kiedyś był
 człowiekiem.«

I zapłakał gorzko Madej, po raz pierwszy może,
 I ze skruchą w sercu klęknął i mówił w pokorze,
 Mówił, mówił długie sprawy, zbrodnie straszne, krwawe,
 A ksiądz słuchał zatrwożony i oczy miał łzawe.

Skoro skończył spowiedź onę, rzekł ksiądz: ciężkie grze-
 I pokuty wielkiej trzeba dla dusznej pociechy; [chy
 Rozgrzeszenia dać nie mogę, może kapłan inny,
 Opuści ci z Bogiem zbrodnie, których jesteś winny.

Zaś pokuta będzie taka: za tą skałą w lesie,
 Potok leci po dolinie, czyste wody niesie,
 Z niego w ustach, na kolanach, będziesz nosił wodę,
 Aż ta zeschła pałka twoja puści listki młode.

Gdy okwitnie białym kwiatem i jabłka urodzi,
 Wtedy módl się, a już wielki Bóg cię oswobodzi,
 Rzekł i zatknął pałkę w ziemię i pojechał dalej;
 I bezpiecznie odtąd ludzie przez ów las chadzali.

Rok za rokiem, długie lata, Madej wodę nosił,
 W ustach swoich, na kolanach Pana Boga prosił;
 Po pas broda mu urosła, wyschły ręce, nogi,
 I zakwitła jabłoń biała, dała owoc drogi.

Szumia lasy, ciemne bory i ryczą niedźwiedzie,
 W złotym wozie przez las gęsty stary biskup jedzie,
 Jedzie biskup, a tu skwarno, wody ni kropelki,
 Wtem go z lasu gdzieś doleci jabłek zapach wielki.

Szle ksiądz biskup w las woźnicę: »Przynieś jabłek parę.«
 Szedł woźnica, wraca z niczem, dziwi oczy stare:
 Cuda, prawi, jest tam jabłoń złota jako żywo,
 Pod jabłonią klęczy dziaduś z brodą po pas siwą.

Nic nie mówi, w niebo patrzy, dziaduś jakiś święty;
 Jakby miał być dzisiaj jeszcze żywcem w niebo wzięty,
 Nad nim jabłka, śliczne jabłka, a gdym rwać się wadził,
 Głos z jabłoni do mnie mówi: »ten urwie, co sadił.«

Zadumał się biskup stary, schylił głowę siwą,
 Jakby młodość chciał przypomnieć, co ubiegła żywo.
 I zawołał: Wielki Boże! toć w tem ręka Twoja!
 Ja sadiłem jabłoń złotą, więc to jabłoń moja!

I przystąpił do jabłoni, pod nią dziadek klęczy,
 Broda po pas, wyschły ręce, ale wzrok młodzieńczy,
 Patrzył w niebo, nic nie mówił, taki zdał się święty,
 Jakby jeszcze o tej porze miał być w niebo wzięty.

Śliczna jabłoń rośnie przed nim; w górze na jabłoni,
 Miejsce w miejsce złote jabłka o przedziwnej woni,
 Oj nie jabłka ci to złote, to duszyczki owe,
 Co je z ciała wypłoszyły ręce Madejowe.

Stanął biskup i do starca wyrzekł klęczącego:
 »Miłosierny Bóg na niebie, tajne sądy Jego!
 Największemu grzesznikowi przebłagać się daje,
 Jeżeli przed nim z szczerą skruchą i pokutą staje.

Znać przebaczył, widzę jasno, gdy wysłuchał ciebie,
 Czas rozwiązać i na ziemi, co rozwiązał w niebie!
 Więc odpuszczam!« Rzekł i ręką gdy tknął starca lica,
 W proch go rozwiął, leci w niebo biała gołębicą.

A ze wszystkich złotych jabłek białe dusze gonia,
 Dwie jak gwiazdy rozetlały w górze nad jabłonią;

Ojca matki to duszyczki, co tak jasno świecą,
Razem z czystą duszą syna, w śliczne niebo lecą.

Ułożył Władysław Anczyc.

Kilka uwag do powieści o „Madeju“.

Powieść o Madeju rozbójniku należała niegdyś do najulubieńszych powieści w ziemiach polskich i ruskich. Gdy wieczorem zapłonął ogień na kominie, a prządki usiadły naokół, wtedy stary kmieć lub częściej jeszcze wieśniaczka, okryta siwizną, zaczęła opowiadać prześliczne gadki o zaczarowanych księżniczkach i królewnach, o sobotnej górze, o dwóch mądrych braciach i trzecim głupim i różne inne, a już najczęściej była mowa o Madeju. Utworzyło się z czasem kilkanaście wariantów, tj. różniących się nieco od siebie opowiadań, jak oto wyżej umieściliśmy trzy podania o Madeju, a każde nieco inne.

Powieść o Madeju zawiera piękną naukę, że Bóg przebacza największemu grzesznikowi, jeżeli szczerze pokutuje za popełnione grzechy, a że przeto lud chętnie słuchał tej powieści podczas zimowych zebrań przy kominku.

Podania, powieści, gadki i pieśni ludowe nikną coraz więcej, to też opowieść o Madeju już jest mniej znaną obecnemu pokoleniu, dlatego podajemy ten jeden z najstarszych pomników literatury niepiśmiennej w trzech odmianach.

Dodajemy, że utwórca niniejszego dziełka na tle owego prawnego opowiadania opracował dramat ludowy pod nazwą: „Pałka Madeja w 5-ciu

odsłonach“. Grano tę sztukę kilkadziesiąt razy, a wszędzie powszechnie się podobała.*)

Zbójectwo we Włoszech.

Zawód zbójcki nie uchodzi w Włoszech za tak podły i hańbiący, jakby to nam się zdawać mogło. Owszem, ludność gdziekolwiek otacza zbójców pewną czcią. Oto do pewnej wsi powracał pewien herszt bandytów z więzienia, w którym przesiedział 27 lat za swe sprawki. Ludność pod okiem władz urządziła mu owacy, jak jakiemu bohaterowi. Na ostatniej stacyi kolejowej oczekiwano na niego, wsadzono go do wozu pocztowego, który otaczały powózki włościańskie, wiozące orszak honorowy. Po drodze setki cisnęły się do bandyty, aby mu dłoń uścisnąć i pozdrowić go. Długi czas drzwi chaty, w której zamieszkał, nie zamykały się, tyle mu składano odwiedzin.

Włosi, oddający się zbójczemu rzemiosłu, nie uważają się za złoczyńców, ale raczej za dobroczyńców ludności, za pewnego rodzaju cyrulików, którzy celem zapobieżenia chorobie społecznej, spieszą upuścić krwi ze złotodajnych żył ciała społecznego. A nadzwyczaj grzecznie i delikatnie obchodzą się przy tej operacyi ze swoim pacjentem. Tak np. przed niedawnym czasem podróżowali z Polski do Włoch pewni zamożni państwo z dwiema córkami.

*) „Pałka Madeja“ przez J. Chociszewskiego kosztuje 1,50 mk., a jest do nabycia u autora lub też w księgarni „Katolika“ w Bytomiu.“

Przez góry Apenińskie nie było kolei żelaznej, więc jechali powozem. Za dnia jechali bezpiecznie, ale wieczorem nagle z lasu wyskoczyli rozbójnicy i zastąpili im drogę. Zatrzymawszy powóz, bardzo grzecznie się uklonili, prosili tylko o pieniądze, a następnie o wyjście z powozu, aby, jak mówili, oczyścić karetę ze znajdujących się tam, a niepotrzebnie ciężaru przysparzających rupieci, obiecując podróżnym, że potem będą mogli wygodniej wsiąść i lżej a spokojnie i bezpiecznie odjechać. Jakoż na takie oświadczenie nie było co odpowiedzieć; chcąc niechcąc wysiedli pan, pani i obie panienki. Rabusie zabrali z powozu wszystko, co się zabrać dało, wytrzęśli go, wyczyścili, poczem poprosili grzecznie o zegarki. Jedna z panienek przy zdejmowaniu zegarka w pośpiechu zahaczyła o medal „Dzieci Maryi“, który pod spodem nosiła na szyi, wówczas zbójca, spostrzegłszy to, i o ten medal poprosił. A że medalu zdjąć przez głowę nie było można, bo sznurek był za krótki, ani rozerwać też nie było można, bo za mocno był skrecony, więc rozbójnik nie namyślając się długo, przyłożył swój brodaty pysk do gładkiej szyi panienki, przegryzł sznurek, poczem na podziękowanie poklepał ją po ramieniu, mówiąc: „brava figla, brava!“ (brawo córko, brawo) i wśród grzecznych komplementów do powozu ją odprowadził i wsiąść jej dopomógł.

Tak grzecznie się obchodzą zbójce za naszych czasów. Widać, że i na nich błogi wpływ cywilizacji XIX i XX stulecia nieźle podziałał, bo w dawniejszych wiekach nie tak dobrze się obchodzili z podróżnymi. Oto np. jak sobie postąpili XVI-tym wieku z księciem Radziwiłłem, zwanym Sierotką. Wracał on wraz ze swoim orszakiem z Palestyny

przez Włochy do Polski (wstąpił do piekieł po drodze mu było). Z okrętu wysiadł w południowych Włoszech koło Brindisi i z tamtąd już jechał lądem wzdłuż wybrzeża Adryatyckiego, bo choć wiedział, że zbóje błakają się po lądzie, to jednak z powodu ustawicznych a gwałtownych wichrów więcej się obawiał rozbicia na morzu. Z dwojga tedy złego postanowił wybrać mniejsze. Otoczony licznym dworzan swoich poczem, ciągnął przez góry i doliny, przez lasy i wertepy, przez rowy i parowy, przez rzeki i trzęsawiska. Ale posłuchajmy jego własnego opisu:

»Najprzód«, powiada, »umówiłem się z dworzanami, aby wszyscy jedno gadali, gdy będą przez zbójców osaczeni, iż pana między nimi nie ma żadnego, ale że są cudzoziemcami, co Wenetom służyli a teraz z Korfu wracają do Wenecyi. Dobrą milę ujechawszy za Pescarę, miasteczko nadmorskie, koło Monte silvano, nad małą rzeczką zastąpili nam drogę zbójcy. Każdy z nich miał rusznicę długą a dwie za pasem krótkie (tj. pistolety), a przynajmniej jedną, pugiwał długi (sztylet) i nóż nie krótki, a przytem wisi skórka barania przezeń, jako tajstra, w którą kładzie chleb, ser, sól i co do żywności unieść sobie może... Zbójców wszystkich było 80, a z nich ze 20 postavili wokoło na straży. Każdego z naszych podróżnych obkoczyło po kilku zbójców, każdego stojąc badali, noże do boków przykładali, pytając wiele każdy ma pieniędzy; każdego przetrzęśli dobrze i co tylko znaleźli, zabrali. Abraham Dolna, jeden z dworzan, miał na sobie łosiowy kabat, który zbójcy tak na nim opatrywali, iż wszystkie „knefliki“ (tj. guziki) poobrywali a na koniec i koszulę z niego zdarli. Potem tak samo ogra-



Wtem nadbiegł Marek z latarką w jednej, a szturmakiem w drugiej ręce. (Str. 88).

bili Jerzego Kosa i Jędrzeja Skorulskiego. Następnie kazali otworzyć skrzynkę i z niej wzięli cekiny (pieniądze) i zabrali pamiątki kosztowne, jakie z Palestyny wieźliśmy.

Jeden ze zbójców porwał koronkę, jaką Radziwiłł nosił u pasa, a na którą papież Grzegorz XIII nadał mu był wielkie odpusty, lecz gdy u niej ujrzał trupa główkę rznietą z kości słoniowej, pluł ze złości i rzucił ją. Gdy im już wszystko zabrali, prosił Radziwiłł, aby co na strawę zostawili; wtedy hetman zbójceki kazał Sierotce dać 10 cekinów do ręki. Następnie zbójcy powsiadali na konie naszych pielgrzymów i odjechali precz, a nam ograbionym zostawili tylko dwa chude muły i dwie szkapę chrome, co rzeczy niosły».

Szczęście Radziwiłła, że się nie wydało, kto on był, bo zbójce byliby go pewnie w góry ze sobą uprowadzili i kazali ogromny okup złożyć. Na wieść o napadzie zbiegła się ludność z bronią i zjawił się też gubernator, który »wytrzęśnionych« zabrał ze sobą do pałacu na wieczerzę i na nocleg. Później dowiedzieli się, że herszt rozbójników był sławny naówczas zbój Jakób de Monte Brando. Na złe mu jednak wyszło obrabowanie Radziwiłła, bo Grzegorz XIII papież, który Sierotkę bardzo lubił, dowiedziawszy się, że go zbójce złupili, napisał zaraz do księcia Piotra Ossuna, wicekróla neapolitańskiego, aby łotrów ścigał. Dochodzono ich po »lica« (wyglądzie) rzeczy zabranych, które Radziwiłł opisał, dając wszędy listami znać, co się było przydarzyło. Usłyszawszy co się święci, herszt ów drapnął przez morze do Dalmacyi, ale go i tam pojmano, a następnie wraz z 14 towarzyszami stracono.

Hajdamaka.

Przez Kazimierza Wł. Wojcickiego.

Przy łożu umierającego Nałęczu, właściciela wioski, klęczała zapłakana małżonka i pięcioro drobnych dzieci. Nałęcz, w sile jeszcze wieku, powalony chorobą na łożu, w którym krótkiego snu tylko, a nie wygody używał; w drżącej i wychudłej ręce, trzymał zapaloną gromnicę, i wlepił omdlałe oczy, to w wizerunek na niej Chrystusa na krzyżu, to w jasny płomień migający. Szanowny kapłan, przyjawszy spowiedź i skrucę umierającego, pospieszył wezwany, nieść drugiemu słowo pociechy i zbawienia. Dziaćki bojaźnią przejęte, wpatrywały się w oblicze ukochanego ojca znędnione, wybladłe: płakały, widząc łzy matki swojej.

Chory wezwał najstarszego syna, będącego w ósmym roku, który drząc, zbliżył się do łoża ojca.

»Janku!« rzekł przerywanym głosem, gdyż mu tchu brakowało, »gdy dorośniesz, będziesz się opiekował matką i swemi siostrami, ty jeden tylko, powinienes mieć odwagę! Patrz! to wszystko słabe, jak małe pisklęta w gnieździe. Wszystko com posiadał: zbroję, konie, i szaty moje, tobie oddaję a teraz zbliż się.«

I położył rękę na jego głowie.

»Błogosławię ci synu mój jedyny, niech Bóg zlewa wszystko dobre na ciebie, matkę i całą rodzinę; a strzeżcie się pilno hajdamaków, bo już was ta dłoń nie obroni.«

Ledwie tych słów domówił, chciał unieść rękę, ale z martwej dłoni, gromnica wypadła, zgasła, zgasło i życie Nałęczu! Kiedy rozpaczającą małżonkę

oderwano od zwłok martwych, zatętnił podwórzec, i pan Maciej, rotmistrz pancernej chorągwi, a brat niebożczyka, stanął w progu komnaty.

»Już go nie ma! nie ma mego Jabóba miłego,« wołała nieszczęśliwa wdowa, a pan rotmistrz, stał z wąsów szpakowatych dwie łyzy, słone i gorzkie.

»Stań się święta Jego woła!« rzekł bolesnym głosem, a zbliżywszy się do łoża, gdzie zwłoki leżały, zapalił upuszczoną gromnicę, i zaświecił nad trupem: »Miły Boże!« mówił żałośnie, »takiż tobie bracie mój przyszedł koniec, że na łożu jako białogłowa trwożliwa skończyłeś. A słuchając naszych dumek, pragnąłeś, by w stepie mogiła cię pokryła, by miasto płaczu w izbie, wilcy zawyli, i kruk zakrakał. Czegoś się bał, toć cię spotkało! Niesławna śmierć na pościeli, i tak długo w niemocy leżeć! Jakiesz ta silna dłoń ci wychudła, ty! coś tak dzielnie kopją i szablą władał; ale wyroki Twoje, nieodgadnione mój Boże.«

Zwiesił głowę na piersi, stał chwilę w zadumie, poczem ukląkł przy łożu, odmówił cichą modlitwę i powstał, aby pocieszyć sieroty i wdowę. Pan Marek, daleki pokrewniak pani Nałęczowej, człowiek wiekowy, opowiadał mu o całej chorobie zmarłego i ostatnich słowach, umierającego do syna.

»Jako!« zawołał rotmistrz, »to świętej pamięci pan brat, jeszcze się trwożył hajdamakami i w ostatniej godzinie żywota?«

»Tak jest, mościwy panie rotmistrzu, bo już z nimi nieraz miał gorącą łaźnię, a najprzód przed rokiem, było to jakoś w późnej jesieni gdy wcześniej ostrzeżony, przygotował się na ich przyjęcie.«

»Czeladź i domownicy uzbrojeni czekali, mnie przeznaczył, abym w las do znajomej kryjówki od-

prowadził panią z dziećmi. Dopełniłem święcie zlecenia, i wróciłem z nabitym siekańcami szturmakiem. W pół godziny, 50 konnych hajdamaków, wpadło na dziedziniec, z dowódcą najstraszniejszym, bo chłopsko półtóry głowy nad wszystkich, straszliwy, z opuszczonym wąsem na piersi i iskrzącym, zakrwawionym wzrokiem. Było nas we dworze piętnastu z pacholikami, każdy zajął przeznaczone miejsce, ja jakimś przeczuciem tknięty, ukryłem się w kącie, co wprost drzwi głównych był. Hajdamacy pewni, że śpią wszyscy, rzucili się z koni, i drzwi z zawias wyważyli, sypnęliśmy do nich ognia, ale chociaż padło kilku, reszta wściekle szła naprzód. Wówczas, straciwszy dwóch czeladzi i pacholika, śp. pan Jakób cofnął się z resztą do izby bocznej; chciał drzwi zatarasować, ale nie zdołał. Wtedy rozpoczęła się bójka pojedyncza. O! byliby zaprawdę wszyscy zginęli, żeby nie mój szturmak, bo kiedy się tam z sobą rwali na ręce, reszta hajdamaków, a byłoć przeszło dwudziestu, poczęła pchać się przez drzwi wywalone. Wówczas do siekańców, wpuściłem dwie kule potarte o święty szkaplerz, i wymierzyłem. Jak plunę, tak zagrzmiało, jakoby ze szmigownicy szwedzkiej, i siedmiu hajdamaków plackiem padło na progu, a reszta uciekła na podwórze. Nabiliem co rychlej, gdy na huk ten przerażeni rozbójnicy, co już do izby wpadli, poczęli się cofać. Plunałem raz drugi i rozbiłem całą czeredę. Aleć to nie wiele, śp. panu Jakóbowi, pomogło, gdyż on straszny dowódzca hajdamaków, nie dał mu spoczynku, i począł go dusić. Opatrznością Bożą, strach jakiś padł na tego wielkoluda, po drugim wystrzale szturmaka, puścił leżącego na ziemi pana Jakóba, i wyszedł za swymi. Wprawdzie, pochwy-

ciłem go na cel z swojej kryjówki, ale jakem spoj-
rzał w jego ślepie, strzelba mi omal z rąk nie wy-
leciała. Odtąd to ś. p. pan Jakób poczuł niemoc,
leżał tydzień cały, krwią spluwał. Już mu nie sma-
kowały łowy na grubego zwierza, konie wierzchowe
rżały w stajni daremnie, nie miał kto na nich prze-
jechać jako dawniej, gdy po stepie z ptakami biegł
na wygon. Łuk, strzelba i szabla, kurzem się
okryły, a on tęsknił ciągle. Wyjechał do puszczy,
to zaraz wracał do dworu, ledwie wszedł do izby
znowu duszno mu było. Tak długo bywało, aż
w ostatku, jak się położył, już więcej nie wstał
z łoża; pamiętał więc dobrze hajdamaków, i nie
dziwota, że w ostatniej godzinie, swemu Jankowi
o nich mu prawił. Ten piekielny hajdamaka, po-
zbawił go żywota, a ja nie mogłem się pomścić,
musiałem być zaprawdę przez niego oczarowany,
alboli też tuman na oczy mi puścił.«

Pan rotmistrz słuchał starego krewniaka uwa-
żnie, a gdy skończył wyrzekł:

»Jadąc, słyszałem o bandzie hajdamaków, co
się zjawić miała w sąsiednim lesie przy stepach,
już kilka dworów pobliskich złupili.«

Wymówił to ciszej, aby zapłakana nie sły-
szała wdowa.

»Święty Marku, mój patronie!« wykrzyknął
Marek, »i Waszmość pan dopiero nam o tem mó-
wisz, a onić wpaść mogą dzisiejszej nocy, gdy się
dowiedzą, że pan Jakób Bogu ducha oddał.«

»Co gadacie? czyżby to się stać mogło?« rzekł
zadziwiony rotmistrz.

»To jak Amen w pacierzu, że jeżeli nie dziś,
to jutro zobaczym gości. Moja rada,« prawił cicho
do ucha rotmistrza, »wyprawić ztąd wcześniej panią

z dziećmi, już ja ich bezpiecznie umieszczę, pogrzeb przyspieszyć, a samym czekać, co Bóg zdarzy.«

»A wieleż macie czeladzi?«

»Owóż, przypomniałem mościwy panie,« oddychając wolniej odrzekł pan Marek, »że i połowy nie mamy tego co bywało. Strzelcy, jak pan zachorzał poszli w inną służbę, dwóch czeladzi i pacholika w on czas hajdamacy zabili, dwóch chorych, nie zostało jak sześciu jeno, czy siedmiu wszystkiego, a na tych pomoc, niewiele liczyć można.«

»Gdybym miał z swojej chorągwi sześciu towarzyszków, sprawiłbym tu tym hultajom gorące wesele,« zawołał z zapalem rotmistrz, »każdy z nich poleżałby z ruski miesiąc, ale z tymi, trudna obrona dworu, gdzie tyle okien i drzwi niemało; bronisz jednych, to drugimi włączą i za kark wyciągną.«

»Oj! co prawda to nie grzech, ale cóż robić.«

»Bóg wielki i Jego Opatrzność święta. Waszeć panie Marku, każ zwłoki mego brata do kościoła wynieść za dnia, a gdy się zmierzchnie, wyprowadzisz panią bratową z dziećmi i droższymi sprzęty do znajomej kryjówki; zabierz wszystką czeladź z sobą, uzbrój dobrze, a mnie zostaw z moim pacholikiem we dworze.«

»Jako! samego jeno?« zapytał zdziwiony Marek.

»To broń najlepsza,« odrzekł pan Maciej, dobywając staroświecką dzidę, z za szaty, »jeno trzeba ją poostrzyć.«

»Ja waszmość pana samego mam zostawić?« powtórzył znowu, »nie, tego nie zrobię.«

»Tak chcę, i tak być musi,« odrzekł z gniewem pan rotmistrz, »czyż nie dosyć dla mnie, że mam zdrowe ręce, kawałek siły, serce niezające, przy Opatrzności Boskiej?«

Uchylił głowę Marek na ostatnie słowa i uskutecznił wszystko wedle polecenia. Gdy zmrok zapadł, już tylko sam był pan rotmistrz ze swoim pacholikiem. Kazał więc drzwi dobrze pozamykać, światło zagasić, sam zdjawszy żupan, został jeno w spodniach i kaftanie łosim, nóż potężny ukrywszy za cholewą, uzbrojony dzidą poszedł do ostatniej małej alkowy, i tam oczekiwał, co Bóg zdarzy.

O północy zagrzmiał dziedziniec od licznych jeźdźców. Rotmistrz słyszał jak drzwi jedne po drugich wyłamane upadają. Wyrżał nieznacznie, i ujrzał olbrzyma, co szedł naprzód, poznał, że musi być ten sam, co stał się przyczyną śmierci brata Jakóba. Pomodlił się z cicha, prosząc Boga o pomoc, aby się na nim mógł pomścić. Hajdamaka znalazłszy pusty dworzec, przeszedł wszystkie izby, już miał wychodzić, gdy dojrzał za piecem drżącego pacholika rotmistrza. Porwał go za kark, a gdy go pociągnął przez plecy nahajką, pytając gdzie pan? Strwożony pacholik, ukazał alkowę kędy się pan Maciej ukrył. W on czas poskoczył tam hajdamaka, i już miał próg przestąpić, gdy uczuł silne dzidą pchnięcie. Rzuca się więc naprzód, pan Maciej widzi, że mu w żywocie ugrzęzła broń jedyna, a hajdamaka jakby nie czuł, porywa go w silne dłonie, przyciska do ziemi, aż ukląkł zgnieciony. Krew mu uderzyła do głowy, gdy przypomina sobie o nożu za cholewą, dobywa go ostatnią siłą, ugadza hajdamaka w piersi. Zachwiał się olbrzym i na wznak pada. Zwycięzca zaczyna zwoływać niby liczną po imieniu czeladź, kiedy strwożeni śmiercią wodza hajdamacy, poczynają się z obawą cofać z dworu, nagle z sieni zagrzmiało kilka wystrzałów, a jeden górował nad wszystkimi;

był to strzał ze szturmaka Marka pocziwego, hajdamacy uciekają, zostawując kilka koni.

Pan Maciej w on czas nogą nastąpiwszy na piersi rannego śmiertelnie olbrzyma, który począł silnie oddychać, z podniesionym nożem, patrzył na poruszenie każde, aby nowym ciosem, uwolnić okolicę całą od klęski, gdy Marek z latarką w jednej, a szturmakiem w drugiej ręce nadbiegł. Kiedy ujrzał hajdamakę leżącego we krwi, cofnął się przerażony, latarnią postawił na stole, wymierzając szturmak.

»Bóg wielki i Jego Opatrzność święta!« wyrzekł rotmistrz, »Bóg mi dodał siły! pomściłem śmierć brata! A jutro gdy uczcim zwłoki należnym pogrzebem, spać już we dworze spokojnie wszyscy będą.«

»Tak, to ten sam,« zawołał Marek, »patrz, te oczy krwiste, błyszczące, jak okropnie przewrócił, Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.«

A hajdamaka raz jęknął, i zamknął oczy na zawsze.

Wtedy rotmistrz kazał drzwi powstawiać, wprowadzono wdowę z dziećmi, i odtąd cała okolica, długo używała błogiego spokoju.

Rozbójnicy w Tatrach.

Od niepamiętnych czasów istniały w górach tatrzańskich różne bandy rozbójnicze, które swobodnie napadały za-tatrzańskie dworki węgierskie, lub plądrowały podgórskie powiaty galicyjskie, jako to: Nowotarski, Sądecki i inne.

Bandy te miały bardzo bezpieczne miejsca ukrycia w górach. Są tu jaskinie podziemne, ciągnące się w rozmaitych kierunkach, może i parę mil, jak utrzymują, (o czem wszelakoż wątpić można) a chociaż je rok rocznie wiele osób przybywających zwiedza, przecież trafiają się jeszcze takie ciemnice, w których nigdy noga ludzka nie powstała.

Mając sposobność po temu, sam byłem ciekawy poznać niektóre miejsca najnieprzystępniejsze. Udałem się zatem pewnego pięknego dnia w towarzystwie kilku przybyłych gości, wzięwszy z sobą przewodnika, najlepiej obeznanego z miejscowością. Zapusciliśmy się więc w dziurę podziemną. Szliśmy może z półtorej godziny ciągle pod ziemią, chcąc dotrzeć do końca jaskini. Droga była bardzo utrudzająca, bo poniekąd musieliśmy się na czworakach czołgać. Światło nasze stanowiły szczepy smolne, w które przewodnik był zaopatrzony. Nareszcie jeden z nas lekarz K.... krzyknął, że mu noga gdzieś wpadła.

Przybiega natychmiast w to miejsce przewodnik ze światłem, i z niemałym przerażeniem spostrzegamy małą dziurę, z której jeszcze p. K. swej nogi nie wydobył, a obok tej znów wielką otchłani, której dna nie można było dopatrzeć. Powyżej zaś obok tej otchłani, po bystrych schódkach, które znać natura sama wykuła, można było wejść do drugiego lochu, który wyglądał jakby jakaś tajemnica odwieczna. Próbowaliśmy tam wejść, pomagając jeden drugiemu; wtem chłodny wiatr z podziemnej jaskini zawiał nagle i zagasił nam palące się szczepy. Każdy z nas miał przy sobie zapalki, to też wszyscy naraz sięgnęliśmy do kieszeni, który pierwaj zapali. Ale pośpiech był zbyteczny. Wszyst-

kie zapalki były zwilgnięte; ognia nie można było żadną miarą zrobić. Wtedy mimowolnie przyszło mi na myśl:

»I czemuż są te nowe utwory wobec naszego niezawodnego krzesiwa z krzemieniem,« w które to materyały w tej chwili niestety! nie byliśmy zaopatrzeni. Gdyśmy już wszystkie zapalki bezkorzystnie wypsuli, ogarnęła nas czarna rozpacz. Przewodnik zaczął bez światła odwagę tracić i ciągle z bolesnym jękiem wzywał pomocy Opatrzności.

Rzeczywiście nie był to żart, gdyśmy się zobaczyli w grobowej ciemności, dokąd nigdy promyk najmniejszego światelka nie dochodził, zwłaszcza, że dwóch naszych towarzyszy prawie wisiało na owych bystrych schódkach nad przepaścią. Nareszcie uradziliśmy na prędce, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko ich powoli sprowadzić i wracać mniej więcej w tym samym kierunku na ślepy los szczęścia lub nieszczęścia. Ja byłem pierwszy, obok mnie postępował przewodnik, a następnie szli tamci panowie, trzymając się jeden drugiego za suknie. Postępując naprzód, macałem przed sobą i obok siebie ciągle laską, bojąc się ażebym do jakiego możebnego lochu naraz nie wpadł. Idąc tak już mniej więcej przeszło godzinę, namacałem nagle wodę. Zimny dreszcz przeleciał po mnie i czułem, że na całym ciele dygotam. Nagle jakby od widocznej śmierci, odskoczyłem kilka kroków w tył, krzyknąwszy »woda!«

»Co, woda?« zapytali mnie tamci panowie, »wszakżeż tu żadnej wody nie było, gdyśmy tam szli.«

»Tem gorzej«, odrzekłem, »że jej nie było, bo znać pobłądziliśmy, co tu teraz robić?«

Kilka bolesnych jęków dobyło się naraz z piersi.
»Ach! co tu teraz począć?«

Przewodnik znów swoje modły zasyłał do nieba, a my na wpół martwi, milczeliśmy wszyscy chwilę.

Była to w istocie chwila okropna, gdyśmy pomyśleli, że może już więcej z tych dziur nieszczęsnych nie wyjdziemy, a właściwie nie trafimy do prawdziwej. Ratunku nie można się tam było żadnego spodziewać, bo od dawna zapewne ludzka noga tam nie powstała, a zresztą nikt nie wiedział, do której groty się wybraliśmy. Dosyć długo panowało między nami grobowe milczenie i każdy z nas był przykrem uczuciem do żywego przejęty. Mnie przynajmniej czarne myśli ciągle szeptały złowrogie słowa do ucha:

»Ach! twoja ostatnia godzina już może wybiła, jeszcze w tak okropny sposób!!«

Nareszcie bądź co bądź, kilku słowami porozumieliśmy się, ażebyśmy się mniej więcej po dwóch rozeszli w moźebne dziury; a może być, że któren z nas dojdzie do prawdziwego otworu, a następnie będzie się starał wszelkimi możliwymi sposobami wybawić drugich, najprzód odgłosem; a gdyby to nie skutkowało, a raczej nie było możliwem pod ziemią do usłyszenia, lub gdyby podług tego nie można się było sprawować, natenczas miał dać znak w pobliskich hałach zamieszkałym góralom, którychby wezwał do pomocy za wielkiem wynagrodzeniem. Taką umowę zawarliśmy w kilku minutach, gdy wtem radośne wykrzyknienie naszego przewodnika »światło!« wlało w nasze serca wszelką otuchę ocalenia naszego. I rzeczywiście biedaczysko przestraczem zdjęty, począł macać i szukać nowego otworu mniej więcej w kierunku prawdziwym,

a uszedłszy tak kilkanaście kroków, zaczęło mu się przed oczami rozwidniać. Uradowani do nieopisania, dostaliśmy się na wierzch jakby na nowo odrodzeni. Każdy z nas wyglądał blady jak ściana i trząsł się na całym ciele, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie z tak wielkiego przerażenia.

Przytoczyłem tutaj powyższe zdarzenie dla tego, ażeby dać czytelnikowi pojęcie o podziemnych jaskiniach i chodnikach tatrzańskich, które prawdopodobnie służyły przez długie wieki rozbójniczym bandom za kryjówki. Dziwić się tedy nie należy, że tak często uchodzili opryszki ręki sprawiedliwości. Do dziś dnia znajdują się w tutejszych jaskiniach podziemnych rozmaite kości; jedni utrzymują, że te kości pochodzą od zamordowanych ludzi, których obdarłszy ze wszystkiego, rzucali rabusie do podziemnych lochów; drudzy znów mówią, że kości znajdywane w tych czasach, pochodzą ze zwierząt, jako to: wołów, krów i t. p., któremi rozbójnicy ukrywając się w lochach zwykle żyli, mając tam do gotowania stósowne piece i kominy wychodzące na zewnątrz, których wszelakoż odszukać nam się nie udało. My jednak pierwszym i drugim możemy dać wiarę pomnąc na przeszłość okropną.

Dziwny charakter cechował tych tatrzańskich opryszków. Byli to po największej części dość zamożni włościanie z podtatrzańskich wiosek; wzrostu wysokiego, smukli, zwinni, odznaczający się przytem olbrzymią siłą. Byli oni przeważnie połączeni związkami małżeńskimi. Żony ich i rodziny pozostawały w domu i gospodarowały. Kiedy ręka mężczyzny przy gospodarstwie była niezbędnie potrzebną, jako to na wiosnę do uprawy gruntu, lub w czasie zbiorów, pojawiali się wtenczas w domu

i pomagali swym żonom w robocie. Nie wstydzili oni się zupełnie przed sąsiadami swojego rzemiosła; owszem przeciwnie, było to dla nich niejako chluba nazwę zbójcy nosić (albowiem tak opryszków tatrzańskich dawniej po wsiach zwali i do dziś dnia zwią.)

Gdy taki zbójca przyszedł do karczmy, opowiadają starzy ludzie dzisiaj, nie miał on w sakiewce lub w kieszeni pieniędzy, jak każdy inny chłop, ale przyniósł albo pełen kapelusz, albo też pełen rękaw guni zawiązany u dołu. Nie była to zaś miedź, lecz same cwancygiery, lub też innego rodzaju srebro.

Przyszedłszy do karczmy, wysypał wszystkie pieniądze na stół i zaczął pić, hulać i bawić się zwykle noc całą. Nie śmiał się tam nikt dotknąć jego pieniędzy, bo by go na miejscu uśmiercił. Pić zaś dawał każdemu obecnemu w karczmie, ile sam chciał i ile znieść mógł.

Rozbójnicze bandy w Tatrach przeciągnęły się w późne czasy; dłużej może jak w każdym innym kraju, albowiem jeszcze przed kilkunastu laty istniały tego rodzaju drużyny. Niektórzy z nich do dziś dnia żyją jeszcze po części w domach w gospodarstwie svojem, po części zaś po kryminałach. Wielu z nich utraciło życie przez powieszenie, przeważnie na Węgrzech.

Było to niezdolnie zamieszkiwać dawniej te okolice. Każdej nocy niemal trzeba się było obawiać rozbójników. Po większych obszarach dworskich, jak np. przy zakładzie hutniczo-górnicy w Zakopanem, odbywano noc w noc straż, składającą się z kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi w dubeltówki, a poniekąd także i pałasze. Robotnicy pełnili służbę żołnierzy, rzemieślnicy podoficerów,

a urzędnicy oficerów. Każdy z urzędników musiał z kolei przez całą noc odbywać patrole. Straż była porozstawiana w kilku miejscach, a co godzinę zmieniano ją, zaczawszy od dziesiątej z wieczora, aż do czwartej nad ranem. Hasło było pojedyncze; kto pierwszy dostrzegł zbliżających się opryszków, miał nakaz najsurowszy wystrzelić natychmiast. Na odgłos wystrzału komenderujący urzędnik oficer musiał natychmiast na czele całej załogi udać się w miejsce, w którym strzał padł.

Wspomniałem, że żyją jeszcze do dziś dnia po wsiach niektórzy z dawniejszych opryszków. Nie na próżno też używają oni swej wolności. Zdają się być na pozór potulni, spokojni, z wszelkiem uszanowaniem dla dostojniejszych osób; ale trzeba mieć na uwadze, że pozór bardzo łudzi. Chociaż są skromni, jednak im zaufać żadną miarą nie można. Są chwile w ich życiu, gdzie się w momencie porozumieją, (choć jednego od drugiego znaczna przestrzeń rozdziela) i nawet utworzą bandę, składającą się z kilku lub kilkunastu ludzi, i w takiej sile napadają dworki lub plebanie, szczególnie z tamtej strony Tatrów, to jest na Węgrzech; a jeżeli napotykają na opór, w takim razie nie szczędzą swej broni (noża długiego i pistoletu, w które to przybory zwykle są zaopatrzeni). Jeżeli wyprawa dobrze im się powiodła, to jest udało im się zrabować wiele pieniędzy, wtedy wracają do swych zagród domowych w cichości, i gospodarują sobie dalej. Jeżeli się im zaś napad poniekąd nie uda, idą gdzieindziej; dosyć że mniej więcej cel ich wyprawy najczęściej dobrym skutkiem jest uwięziony. Wróciwszy do domu, są znów nadal uprzejmi i uniżeni; tylko widok patrolującego żandarma sprawia na

nich niemiłe wrażenie. Położenie tego ostatniego jest poniekąd bardzo przykre. Rozbójnik tatrzański nie da się tak prędko schwycić, a jeżeli już jakim fatalnym trafem wpadnie w ręce żandarmów, naten-
czas broni się do ostatniego, i taka bójka zwykle tragicznie się kończy, gdyż albo jedna albo druga strona często bardzo padnie ofiarą.

Przybywszy w te strony i dowiedziawszy się o tych szczegółach, zapytałem, dlaczego cierpią jeszcze po dziś dzień po wsiach tych rozbójników? Odpowiedziano mi całkiem naturalnie, że chcąc ich zdać przed władzę, trzeba mieć jawne dowody w rękę, a o takowe nie tak łatwo się postarać, bo trzeba chyba sprawcę złapać na gorącym uczynku. Jest to pierwsza przyczyna. Drugi zaś powód jest ten, że każdy obawia się zemsty, jeżeli taki rozbójnik po kilku miesiącach lub wreszcie i latach powróci z więzienia. Czyż może być co łatwiejszego dla takiego człowieka, jak podłożyć kawałek zapalanej hubki owiniętej w szmatę pod strzechę, i puścić całe mienie swego przeciwnika z dymem? To też jeśli sama władza nie zdoła sprawcy wyśledzić, nie dopomoże jej w tem nikt, bo każdy się obawia.

Wspomniałem powyżej, że ci zbójcy zwykli udawać się najchętniej na stronę węgierską, jeżeli zamierzają przedsięwziąć jakiś rabunek; wszelakoż i nasza okolica nie jest od podobnych napadów zawsze wolna. Udowodnia to kilka przypadków z ostatnich lat.

W czasie odpustu u jednego proboszcza w tu-
tejszej okolicy, zmówiło się kilku zbójców, ażeby gdy goście plebanią opuszczają, napaść na samotnego i śpiącego proboszcza i zabrać wszystko, a wrazie gdyby się chciał bronić, nawet zamordować go. Ja-

kiś poczwiiec, który tę naradę podsłyszał, dał znać droboszczowi około godziny dziesiątej w nocy, gdy jeszcze prawie wszyscy goście bawili. Przełęknięty proboszcz nie mówiąc nic nikomu, poczynił na prędce przygotowania do odporu, a gości poprosił, aby zabawili u niego do rana. Zbójcy nie przybyli, ale to pewna, że długo w nocy czekali na odjazd biesiadujących.

Jechałem niedawno, przed paru tygodniami do pobliskiego miasteczka Nowego Targu. W przejeździe przez wieś Biały Dunajec, spostrzegam przed jednym z wieśniaczych domów wielką ilość ludzi i dwóch żandarmów. Domyśliłem się zaraz, że niezawodnie zaszło tu jakieś ważne zdarzenie. Zapytuję żandarma o powód tej masy ludzi, a ten mi odpowiada, że tej nocy zabili w tym domu gospodarza. Powiedziano mi dalej, że dwóch jakichś górali nieznajomych przybyło do izby około drugiej godziny po północy, i żądali coś od tegoż gospodarza a jako każdy góral nadzwyczaj skąpy, tak też i ten wolał życiem przyplacić, a swego nie popuścił. Dostał kilka silnych uderzeń narzędziem żelaznem w głowę i żył jeszcze trzy godziny, to jest tak długo ile czasu potrzeba było do przybycia księdza i przygotowania się na tamten świat. Zbójców nie udało się jednak zaraz wysledzić, i nie słyszałem jeszcze czy ich już schwytano.

Tyle o rozbójniczych drużynach i pojedynczych zbójcach podtatrzańskich, z dawniejszych czasów i ostatnich lat. Wypada mi jeszcze wspomnieć o świeżo utworzonej tego rodzaju bandzie, składającej się z kilkunastu jak jedni mówią, lub też z kilkadziesięciu ludzi jak drudzy twierdzą z wszelką pewnością.

Przed kilkunastu dniami gruchnęła przerażająca wieść, że w lasach ostrowskich (w pobliżu Nowego Targu) utworzyła się banda zbójcka w dość znacznej sile, składająca się najmniej z kilkunastu ludzi. Wieśniacy, w pobliżu wspomnianych lasów zamieszkali, którzy ich przypadkowo pojedynczo widzieli, opowiadają, że mają na twarzach maski, a na piersiach noszą blachy. O ich zbójckich napadach jednak niewiele słyszeliśmy, a to co naszych uszu dotąd doszło, nie jest tak przerażającym, jak to na początku wnosić można było. Ich obejście się z napadniętymi cechuje nawet niejakie współczucie.

Przed kilku dniami, przybyli oni po północy do pewnego obywatela mniejszej posiadłości, zamieszkałego w pobliżu Nowego Targu. Kazali sobie zgotować mięsa i zażądali do tego trunków. Przestraszony obywatel niezwłocznie ich życzeniom zaśluszczył, a rozbójnicy podjadłszy sobie dobrze i podpiwszy, zdawali się być zupełnie z tak gościnnego przyjęcia zadowoleni. Kiedy już mieli odchodzić, zażądali pieniędzy; na co ów obywatel chciał im wręczyć kilkanaście reńskich, mówiąc, że więcej w całym domu nie posiada.

»Kiedy pan więcej pieniędzy nie masz«, ozwie się na to przywódzca, »to my od niego nic nie żądamy; i bądź pan pewny, że już więcej do jego domu w gościnę nie przybędziemy«.

Odchodząc, kazali sobie dać na drogę różnego rodzaju żywności, a pożegnawszy się z gospodarzem dość uprzejmie, odeszli w cichości.

W drugim miejscu również późno w nocy, przybyli do wieśniaka (nie przypominam sobie w tej chwili nazwiska wsi) i zażądali pieniędzy; a gdy ten uniewinniał się, że żadnych pieniędzy nie po-

siada, kazali mu sobie pożyczyć. Rad nierad chłop musiał w nocy pójść do sąsiadów o pożyczanie pieniędzy. Z biedą dostał podobno dziesięć reńskich, i wręczył napastnikom, którzy niezwłocznie dom jego opuścili.

W kilka dni przybyli (najniezawodniej ci sami) do dworu o dwie mile od Zakopanego we wsi S.....; lecz snadź tam dobrze czuwano, bo zaledwie zbliżyli się pod okna, padło kilka strzałów z wnętrza mieszkania. Rozbójnicy również odpowiedzieli wystrzałami, ale widząc, że tam dla nich interesu nie będzie, wieś opuścili.

Jechał żyd jednym koniem z Nowego Targu do Czarnego Dunajca pewnego dnia, już około wieczora. W drodze spostrzega najprzód jednego człowieka, wzrostu wysokiego, w zwyczajnem ubraniu góralskiem; dalej o kilkadziesiąt kroków widzi drugiego, a następnie w takim samym oddaleniu trzeciego. Ten ostatni przyskakuje naraz do konia, chwytą go za cugle, i wstrzymuje nagle, mówiąc:

»Daj mi żydzie ognia do fajki!«

Wyrzekłszy te słowa, gwizdnął na palcu, a natychmiast kilku podejrzanych ludzi zaczęło do wózka przybiegać. Przełęczony żyd, z całej siły podciął konia batem, a ten ponieważ był tegi, młody, wyskoczył nagle do góry, poderwał napastnika, potem powalił go na ziemię, i tym sposobem uwolnił się żyd od grożącego mu niebezpieczeństwa. Przybywszy pomimo znacznej przestrzeni do Czarnego Dunajca nader prędko, żyd dopiero w ćwierć godziny zaledwie mógł wyrzec słowo: »zbójcy!«

Bardzo wczas z rana szedł chłop na jarmark i niósł skórę na sprzedaż. Przechodząc około krza-

ków rozpoczynających las, spotkał dwóch ludzi, którzy zastąpili mu drogę, żądając pieniędzy.

»Nie mam żadnych pieniędzy,« odpowie dość obojętnie chłopak, »i właśnie skórę na sprzedaż niosę, ażeby zarobić jakie pieniądze.«

»Nie wierzcie mu!« ozwie się kilka głosów z krzaków, »poszukajcie w pasie!«

I rzeczywiście odpasawszy z niego pas, znaleźli tam dwadzieścia reńskich samemi papierkami, które mu natychmiast wzięli, a odchodząc rzekli:

»Idź teraz i zarabiaj na inne, bo się może znowu kiedy spotkamy, a nam pieniędzy potrzeba.«

Do powyższego opowiadania, pisanego 1850 r., dodajemy, że w naszych czasach zbójectwo w Tatrach jest zupełnie wytepione.

O dwóch ostatnich rozbójnikach tatrzańskich.

Karpaty są to góry pomiędzy Galicyą a Węgrami. Część tych gór środkowa zwie się Tatrami, wznoszące się o 14 mil od Krakowa. Do wsi tatrzańskiej Zakopane, połączonej z Krakowem koleją żelazną, zjeżdżają się goście z krain polskich, bo tam piękne widoki, czyste powietrze i prześliczne góry.

Dawnemi czasy przebywali tam tak liczni rozbójnicy, że za panowania Zygmunta III, króla polskiego, w jednym dniu powieszono za karę 500 zbójców, zwanych w Tatrach opryszkami. Jeszcze przed 30 laty pojawiali się zbójcy w pobliżu Zakopanego, a nawet mieszkali w samem Zakopanem. Ostatnim niejako rozbójnikiem zakopiańskim był Mateja. Wie-

dział on o skarbie zbójckim, zakopanym w pewnem miejscu niedaleko wsi Witawa, gdzie się łączą trzy potoki. Mateja szukając tego miejsca, zapytywał się pewnego pasterza o te trzy potoki. Pasterz odrzekł, że nie zna, ale gdy odszedł zbójnik zaczął szukać i rzeczywiście znalazł skrzyneczkę z dukatami, a chcąc je wysuszyć, wystawił w kopance na słońce. Widział to żyd i doniósł o tem Matei. Pasterz, przeczuwając, że go zbój napadnie, opuścił szalas i wyniósł się nocą do dalekiej szopy. Mateja przyszedł istotnie z towarzyszami, a znalazłszy tylko służącą zaczął ją męczyć, aby powiedziała, gdzie są dukaty, a gdy dziewczyna go poznała, zabił ją opryszek, gdyż obawiał się, żeby go nie wydała. Zbrodnia się jednakże nie ukryła. Mateję osadzono w więzieniu, a sąd skazał go na całe życie do kaźni. Mateja zakończył życie około 1875 r. w Wiśniczu, gdzie się znajduje wielki gmach więzienny.

Niedaleko Zakopanego leży wieś Olcza, w której mieszkał Wojtek Gal, właściciel gruntu i młyna, który w wolnych chwilach trudnił się także zbójctwem. Napadał on najchętniej pasterzy w Tatrach, zabierając owce i sery, czasem też zastępował drogę kupcom, prowadzącym barany. Skoro kupiec oddał mu kilka owiec, nie czynił mu krzywdy. Był to spokojny zbójca, bo nikogo nie zabił i chyba w obronie własnego życia zranił przeciwnika. Razu pewnego napadło go dwunastu pasterzy, zwanych w Tatrach juhasami, gdyż Gal ich oszukał. Opryszek posiadając ogromną siłę, rozpedził pasterzy i poranił. Gal ufając w swą wielką moc, chciał zatrzymać w biegu koło młyńskie, ale koło urwało mu rękę i o śmierć go przypawiło.

Mateja i Gal byli ostatnimi opryszkami w Tatrach.

Święty Jan Kanty pomiędzy zbójcami.

Szedł dawnemi czasy ubogi pątnik, czyli pielgrzym, do Rzymu. W lesie napadli go zbójcy:

»Oddaj pieniądze, jakie masz,« krzyknęli, »bo jeżeli nie oddasz, śmierć cię czeka.«

Pielgrzym sięgnął ręką do kieszeni i podał im nieco pieniędzy, mówiąc, że nie ma więcej. Gdy się rozbójnicy oddalili, przypomniał sobie podróżny, że ma kilka dukatów zaszytych w sukni, o których zupełnie zapomniał. W tej chwili zaczął gonić zbójców, wołając, że ma jeszcze pieniądze. Oskarża się o mimowolne kłamstwo i oddaje im dukaty. To zamięlowanie prawdy tak zmiękczyło zbójców, że nie tylko mu oddali zabrane pieniądze, ale czyniąc pokutę i żałując za grzechy, nawrócili się do Boga.

Tym miłośnikiem prawdy jest nasz rodak św. Jan Kanty, Patron Królestwa Polskiego i uczącej się młodzieży. Był on kapłanem i profesorem przy akademii, tj. najwyższej polskiej szkole w Krakowie.

Urodził się Jan Kanty w miasteczku Kętach 1397 r. za panowania Władysława Jagiełły, króla polskiego. W dziecięcych latach był bardzo pobożnym i uczył się pilnie. Wyświęcony na kapłana, jaśniał niezwykłemi cnotami. Był tak miłosiernym, że widząc ubogiego bez ubioru, darował mu nieraz własną szatę lub obuwie. Mąż boży miłował nade wszystko Pana Jezusa i Matkę Najświętszą, ich też słodkie imiona miał zawsze na ustach. Pokora Świętego Jana była tak wielką, że gdy kto rzucał nań potwarze, mawiał:

»Dzięki Bogu!«

Jeżeli mu się zdawało, że kogo nieumyślnie obraził, błagał o przebaczenie. Przez całe życie nie splamił cnoty czystości i nie skałał swych ust kłamstwem.

W swojej celi na ścianie napisał własną ręką następujące słowa:

»Strzeż się bliźniego obrazić, bo niełatwo przebłagać; strzeż się kogo zniesławić, gdyż trudno odwołać.«

Niechby sobie te słowa ci pamiętali, którzy trudnią się plotkami i obmową bliźnich.

Zakończył życie św. Jan Kanty w Krakowie 1473 r., pochowany w kościele św. Anny. Stolica Ogłosiła Jana Kantego świętym 1767 r.

Na tle zdarzenia świętego Jana z rozbójnikami ułożony jest dyalog, który niżej podajemy. Utwór ten łatwo odegrać, bo zachodzą tylko męskie role*).

Nawróceni zbójcy.

Igra z życia ś. Jana Kantego, ułożona p. J. Chociszewskiego.

OSOBY:

Jan Kęt, pielgrzym, Abelino, dowódzca zbójców,
Grzegórz, jego towarzysz, Marek i Sylwis, zbójcy.

SCENA I.

Marek, później Sylwio.

Marek. Wystawiałem sobie inaczej zbójectwo, sądząc, że będzie można zawsze dobrze jeść, spać

*) Polecamy książkę: „Święty Jan Kanty“, Patron Królestwa Polskiego, przez ks. Hil. Koszutskiego. Bytom, nakładem wydawnictwa Katolika 1889. Stron 230. Cena 30 fen. z przesyłką 40 fen. Jest to najobszerniejszy żywot św. Jana Kantego.

i bawić się. Już dzisiaj piąty dzień żyję suchym chlebem i wodą, a wina ani kropelki. Co to będzie? Widzę, że idzie Sylwio, może rozweseli dobrą nowiną (*wchodzi Sylwio*).

Sylwio. Cóż tak dumasz, bracie kolego?

Marek. Nad znikomością rzeczy ludzkich, a mianowicie, że zbrojstwo już dziś nie popłaca.

Sylwio. Czemu?

Marek. Pytasz się czemu? Oto patrz na moje dziurawe buty i odzież. Aleć i twoje obuwie i suknia bardzo liche. Od kilku dni jadam tylko suchy chleb, a pić trzeba wodę. Niech przepadnie takie zbrojstwo. Lepiej świnię paść, niż rozbijać.

Sylwio. Oj, przydałaby nam się tłusta świnia. Porzuć, kolego, niewczesne żale. Raz się jest na wozie, drugi raz pod wozem. Skoro nam wpadnie gruba zdobycz w ręce, to zapanuje wesołość. Przyjdą dziewczęta, bo one lubią młodych zbrojców, a wtedy tańczyć będziemy na zabój. Wszystko to nasze, co użyjem.

Marek. Raz się to przecież skończy.

Sylwio. Ha, zapewne, to też trzeba używać świata, póki służy lata.

Marek. Ale, co będzie, jak śmierć nadejdzie?

Sylwio. Ktoby się kłopotał o takie rzeczy. Powieszają cię na szubienicy, albo głowę utną mieczem, to i cóż takiego.

Marek. Ale wieczność, piekło, czarty...

Sylwio. Jakoś dzisiaj jesteś usposobiony bardzo płaczliwie.

Marek. Jestem starszy o dwadzieścia lat od ciebie, a nie mogę nigdy zapomnieć, co mi matka mówiła.

Sylwio. I cóż ci mówiła?

Marek. Umierając, rzekła do mnie te słowa: »Marku, pamiętaj, że Bóg jest sprawiedliwy sędzia i że trzeba umierać, dlatego czyn pokutę!« (*zakrywa sobie twarz rękami*). O matko! matko! czyś przypuszczała, że syn twój będzie zbójcą? O ja nieszczęśliwy człowiek!

Sylwio. Jakżeż nam się zbójcom poprawić. Pójdę gdzie do kościoła, aby się wypowiadać, a tu pochwycą mnie i zaprowadzą do więzienia. A jakie tu więzienie? Cella pełna robactwa, kajdany na rękach i nogach, nędzne jedzenie, dozórcy przeklinają, katują.

Marek. Gorzej będzie w piekle.

Sylwio. Co ty mi wciąż piekło przypominasz. Nie lubię o tem myśleć i mówić. Na szczęście idzie dowódzca, zatem przerwie się ta niemiła rozmowa. Dowódzca coś wesoły, może się obłowimy. Co tam, nie smuć się kolego (*wchodzi Abelino*).

SCENA II.

Ciż i Abelino.

Abelino. Cieszcie się, dzisiaj w nocy urządzamy wyprawę. Doniósł mi wieśniak, Beppo, że hrabia dziś wyjeżdża z zamku. Skończy się nasza bieda!

Sylwio. Hura, niech żyje nasz dowódzca!

Abelino. Przyniósł mi Beppo, butelkę wina. Wypijemy na pomyślność wyprawy. Do ciebie, Marku! (*odtyka butelkę i pije*). Uważam, że jesteś smutny.

Marek (*pije z butelki*). Do ciebie, Sylwio!

Sylwio (*pijąc*). A tak, tak, Marek dziś bardzo płaczliwy. Już dawno nie był taki strapiiony.

A b e l i n o. Widzę, że tam na dolinie idzie dwóch mnichów, czy pielgrzymów. Może się co znajdzie u nich.

M a r e k. Przecież nie będziemy łupili osób duchownych.

A b e l i n o. Rozbójnik nie pyta: ksiądz, czy chłop lub szlachcic. Życie trzeba i to wesoło. Wyśączmy do dna butelkę, a smutek ustąpi. Wezmę skrzypcę i zagram prześliczną pieśń żeglarzy na cześć św. Łucyi (*gra, Marek i Sylwio tańczą*).

W morzu przegląda się gwiazdka srebrzysta,
Jak lustro gładka, toń przezroczysta.
Płyni barko moja, pogoda sprzyja,
Niech cię prowadzi święta Łucya.

Burza w noc cichą, gdy nie zagraża,
Wolniej oddycha pieśń marynarza;
Z wesołą piosnką skały omija,
Bo go prowadzi święta Łucya.

O Neapolu, prześliczny kraju!
Kto cię nie widział, nie doznał raju.
Jako dziewczica, świeża radosna,
Tak się uśmiecha wieczysta wiosna.

Czego się spieszysz w noc cichą, jasną?
Gwiazdy ukażą brzeg, zanim zgasną,
Natura swoje wdzięki rozwija.
Żeglarzy wspiera, święta Łucya!

S y l w i o. Pieśń prześliczna.

A b e l i n o. Pielgrzymi nadchodzą, oni niezawodnie spoczną na chwilę, bo męczy bardzo kroczenie pod górę. Gdy sobie odpoczną, wtedy do nich przystąpimy. Może będzie u nich złoto, gdyż kto idzie do Rzymu powinien przede wszystkim zaopatrzyć się w pieniądze.

S y l w i o. Słusznie.

Marek. Czyż matka moja myślała, piastując mnie na ręku, że targnę się na księży?

Abelino. Sylwio ma słuszość, że ty, Marku, wciąż byś płakał jak baba. Trudna rzecz, trzeba rozbijać, kiedy się jest zbójcą.

Sylwio. Ja też tak mówię.

Abelino. Teraz pójdźmy za skałę i posłuchajmy, o czem będą ci zakonnicy mówili *(odchodzą)*.

SCENA III.

Jan z Kęt, Grzegórz, na krótko Abelino i Marek.

Jan. Droga była bardzo uciążliwa, zatem trochę odpoczniemy, a może się tu znajdzie trochę wody, bom bardzo spragniony.

Grzegórz *(ogląda się)*. Widzę tam źródelko. Pójdę i zaczerpnę świeżej wody.

Jan. Zaczekaj, najprzód niech wyjdzie z nas gorączka. Człowiek zgrzany nie powinien zaraz pić wody. Trzeba umieć zapanować nad sobą. Siądźmy tu trochę *(siadają)*.

Grzegórz. Zdaje mi się, że tam daleko widać wieżyce kościołów. To Rzym niezawodnie.

Jan *(klękając)*. Ukłknijmy i pomódlmy się. *(Grzegórz klęka, obydwaj modlą się po cichu, pokazuje się głowa Abelina)*.

Abelin. Te mnichy się modlą. Ciężko mi będzie ich odrzeć. To połoźni ludzie, u nas mało takich. Uważam, że zbójectwo ma bardzo ujemne strony *(znika)*.

Jan *(wstaje i patrzy w dal)*. Tak, tak, to Rzym, miasto bardzo starożytne, niegdyś stolica rzymskich cesarzy, a dziś tam przebywa głowa naszego Kościoła świętego. Witaj, Rzymie, skropiony

świętą krwią męczeńską. Św. Piotr, św. Paweł, św. Wawrzyniec, św. Cecylia, św. Agnieszka i tysiące innych tu ponieśli męki straszliwe, a nie zaparli się Chrystusa i wiary świętej. Naśladujmy te wielkie wzory.

Grzegórz. Szkoda, że nie jestem taki uczony, jak przewielebny ksiądz Jan, jam tylko biedny lajek.

Jan. Nie nazywaj mnie księdzem, bo jeszcze nie odebrałem święceń duchownych. Dopiero po powrocie z Rzymu, jeżeli Bóg pozwoli, przyjmę święty Sakrament kapłaństwa. Drzę na tę myśl, bo to jest taki ciężki i odpowiedzialny urząd, że nawet aniołowie lękają się tego zaszczytu.

Grzegórz. Słicznie mówicie, bracie Janie.

Jan. Otóż, tak mnie nazywaj. Pociesz się, Grzegorzu. Wobec Boga jesteśmy wszyscy równi, a nieraz biedny prostaczek na drugim świecie bierze pierwszeństwo przed królem, a choćby nawet papieżem, jeżeli tenże nie spełniał wiernie swego powołania (*ukazuje się Marek*).

Marek. Słowa te przenikają moje serce, niby miecz obosieczny (*znika*).

Grzegórz. Pocieszające to słowa.

Jan. Tam na północ położona Polska, moja ukochana ojczysta ziemia. Raduję się, że wkrótce zobaczę Rzym, Ojca św. i liczne świątynie, a jednak rwie się serce moje do ziemi ojców, gdzie ujrzałem pierwszy raz światło dzienne, gdzie mieszkają moi rodacy.

Grzegórz. Co prawda, że i ja tęsknię za rodzinnym krajem, tylko bałem się o tem mówić. Niby to we Włoszech jest pięknie, ale ja jednak wolę nasze góry, równiny, wody i lud polski, a już

nad nasz Kraków nie ma w świecie piękniejszego miasta.

Jan. Prawdę mówisz. Krakowskie kościoły, chociaż mniejsze zapewne aniżeli rzymskie, ale polskiemu sercu są niezawodnie droższe. A ta nasza szkoła najwyższa czyli uniwersytet, założona przez Kazimierza Wielkiego, Jadwigę i Jagiełłę — to nasza chluba ojczysta.

Grzegórz. Mnie się wszystko zdaje, że brat Jan będzie w tej szkole profesorem, boć trudno o uczeńszego i pobożniejszego meża.

Jan. Zaprzestań takiej mowy. Jam niegodny tej łaski. Ochłonęliśmy z gorączki. Idź teraz po wodę (*Grzegórz chce odchodzić, wpadają zbójcy*).

SCENA IV.

Ciż i zbójcy.

Abelino. Stójcie! Coście za jedni, dokąd idziecie?

Jan. Jesteśmy biedni pielgrzymi z Polski, a dążymy do Rzymu.

Abelino. Polska? Gdzie ten kraj leży, to pewnie daleko?

Grzegórz. Tam na północ leży kraj polski. Panowie zbójcy, nie odbierajcie nam życia.

Abelino. Coby nam przyszło z waszego życia? Ale wiecie co, my pieniędzy potrzebujemy, boć rozbójnik żyć musi. Dlatego dawajcie wasze grosze, a prędko.

Jan. Nie mamy wiele, ale chętnie wam ofiarujemy nasz mały zapas (*wyjmuje z kieszeni pieniądze i oddaje*).

Grzegórz (*przewraca kieszenie*). Nic, nic, oto chyba figa w kieszeni (*robi ręką figę*). To są nasze figi, we Włoszech są lepsze.

Abelino (*przypatruje się monecie*). Tak mało i wy z tą małą ilością pieniędzy puściliście się w tak daleką podróż.

Sylwio. Nie podobna, aby nie mieli więcej grosiwa.

Marek. Dajcie pokój, z pewnością nie mają, bo jako ludzie pobożni nie kłamaliby.

Jan. Tak jest, brzydzimy się kłamstwem. Nie, nie, nie mam więcej pieniędzy, ani mój towarzysz. Proszę nam wierzyć.

Sylwio. Byłoby dobrze przeszukać lepiej kieszenie i obuwie, nawet wogóle cały ubiór przetrząsnąć.

Abelino. Czy macie jeszcze ukryte pieniądze?

Jan i Grzegórz. Nie, nie mamy.

Jan. Jakem prawowierny katolik, jak pragnę zbawienia mej duszy, nie mam ani grosza.

Grzegórz. Ja tak samo.

Abelino. Widać, że poczciwy naród ci Polacy. Idźcie z Bogiem, a pomódlcie się w Rzymie na naszą intencję.

Jan. Pomodlimy się o wasze nawrócenie.

Sylwio. Tego nie potrzeba.

Marek. Ale ja potrzebuję, proszę zatem o modlitwę.

Abelino. Żegnamy was, polscy pielgrzymi. Przepraszamy za nasze natręctwo (*wychodzą*).

Jan. Bóg z wami!

SCENA V.

Jan i Grzegórz.

Jan. Teraz idź wreszcie po wodę, Grzegorzu, bo mi więcej pragnienie dokucza, aniżeli głód.

Grzegórz. Dobrze, pójdę i przyniosę w kubku podróżnym (*wychodzi*).

Jan (*klęka*). Dzięki Ci, Ojcie Przedwieczny za ocalenie życia. Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu, jak była na początku teraz i zawsze na wieki wieków. Amen.

Grzegórz. Niosę wodę, wyborna, bo przyznam się, że najprzód spróbowałem, chcąc wywnioskować, czy dobra do picia.

Jan (*odbierając kubek*). Istotnie, że chłodna i czysta woda (*czyni nad nią znak Krzyża św. i pije*). Dobrze smakuje (*odstawia kubek i strzepuje z habitu krople wody*). Cóż to? Wszakżeż tu mam zaszyte dwa dukaty. Och! skłamałem niecniący, bo przysiągłem na zbawienie duszy, że nie mam więcej pieniędzy. To grzech bardzo ciężki. Boże odpuść mi grzesznemu!

Grzegórz. A sprawiedliwie, że były zaszyte dukaty, boć co prawda nawet sam je zaszyłem. I ja także w pień zapomniałem ze strachu przed złodziejami. Co to teraz będzie?

Jan. Co będzie? Oto leć czempredzej i zawołaj złodziei, niech przyjdą i wezmą te nieszczęsne dukaty.

Grzegórz. Panowie złodziei, wróćcie się, bo znalazły się pieniądze, hej! hej! (*wiewa kapeluszem*) chodźcie a prędko. Oglądają się z niedowierzaniem. Pójdę po nich, bo gotowi nie przyjść (*wybiega*).

SCENA VI.

Jan, później Grzegórz i złodziei.

Jan (*klęka i modli się*). Panie Boże Wszechmogący, odpuść mi grzech kłamstwa, który wprawdzie popełniłem nieumyślnie, ale grzech mimo to

jest grzechem. Boże! Boże! zmiłuj się nademną grzesznym człowiekiem (*wchodzą zbójcy i Grzegórz*).

Abelino. Co się tu dzieje? Dlaczego nas wołacie?

Sylwio. A to coś ciekawego.

Marek. Może raczej coś pocieszającego.

Jan. Oto tu w habicie zaszyte dukaty. Zapomniałem o nich. Przepraszam za nieumyślne kłamstwo. Weźcie nóż ostry i wydobądźcie dukaty.

Abelino. Co mówisz! Nie, to być nie może (*maca po habicie*). Zdaje się istotnie, że tu są dukaty.

Sylwio. Wszakże mówiłem, żeby dobrze przeszukać.

Marek. To cud niejako. Ten pielgrzym albo jest już świętym, albo będzie świętym w przyszłości.

Grzegórz. Ja wiem najlepiej, że tak jest.

Jan. Niech zamilkną twoje usta.

Abelino. Nie wiem co sądzić o tej sprawie. Coś podobnego nie zdarzyło mi się w życiu. Boże, zmiłuj się nad moją grzeszną duszą!

Marek. To wyraźny palec Boży. Byłbym zapomniał, że dziś śniło mi się o mojej matce. Mówiła do mnie: »Synu! Przyjdzie mąż zdaleka, słuchaj co powie, a będziesz szczęśliwym!«

Sylwio. Na sny nie trzeba zważać, śniło mi się niedawno, że byłem powieszony, a jeszcze żyję.

Grzegórz. Ten sen może się spełnić, a spełni się niezawodnie, jeżeli się nie poprawisz.

Jan (*spoglądając zachwycony w niebo*). Boże! Wyroki Twoje są niedoścignione. Tyś miłosiernym, Ty nie chcesz zaguby grzesznika, ale pragniesz, aby się nawrócił i żył (*zwracając się do*

rozbójników). Czyż ten wypadek nie skruszy zakamieniałych serc waszych? Wspomnijcie na świętego Piotra i Pawła i poprawcie się. Święty Piotr trzy razy zaprzął się Jezusa, a skoro się szczerze nawrócił i pokutował za swój grzech, nie tylko darowaną była mu zdrada Chrystusa, ale stał się nawet epoką Kościoła świętego. A św. Paweł? Prześladował on chrześcian, należał nawet do ukamienowania świętego Szczepana, a jednak za łaską Bożą nawrócił się i jest obok św. Piotra filarem naszego Kościoła. Radzę wam zatem i błagam was najczulej, nawróćcie się, a będą wam odpuszczone grzechy, choćby jak krew były czerwone. Matko Boża, przyczyn się za niemi.

Marek (padając na kolana, wybucha płaczem). Mężu Boży, pragnę się nawrócić, wskaż mi tylko drogę.

Sylwio. Nawrócić się, a jak nas schwycą i powieszą?

Abelino. I moje serce przenika promień łaski Bożej, obawiam się tylko, aby nas nie schwycili żandarmi, bo w więzieniu trudno się nawrócić.

Marek. Miejmy zaufanie do świętego Polaka, on nas zaprowadzi na dobrą drogę.

Jan. Postarajcie się o szaty pielgrzymie lub jakiekolwiek i idźcie z nami do Rzymu, a tam włos z głowy wam nie spadnie.

Marek. Ja mam ukryte w lesie szaty, zaraz się przebiorę.

Abelino. Mój krewny w pobliskiej wiosce niezawodnie użyczy mi habitu.

Sylwio. Rozbijałem z wami, to też będę razem pokutował, o ubiór się wystaram.

Grzegorz. O jak się cieszę, że się panowie zbójcy nawrócili.

Jan. A więc dalej w drogę do Rzymu. Na zakończenie tę daję wszystkim przestrożę, aby nie kłamać. Chrystus jest najwyższą Prawdą, zatem umińmy prawdę nadewszystko. A teraz zaśpiewajmy pieśń pobożną i idźmy do Rzymu (*rozlega się pieśń: Boga-Rodzica, Kto się w opiekę lub podobna.*

(Zasłona spada).

Wór pieniędzy w lesie.

Dyalog zbójcecki w 4 scenach.

OSOBY:

Pustelnik,	Drugi rozbójnik.
Pierwszy rozbójnik,	Posłaniec.
Rzecz dzieje się w lesie.	

SCENA I.

Pustelnik (*wchodzi śpiewając pieśń: »Kiedy ranne wstają zorze« lub podobną.*) Co ja widzę? Jakiś wór leży na drodze. (*Chce dźwignąć.*) Oj ciężki. Aleć tu widać napis: 1000 dukatów. Tysiąc dukatów, jest to olbrzymia kwota pieniędzy. Na mnie przecież nie wywiera ten skarb żadnego uroku, żadnego wpływu. Pieniądze życie, pieniądze śmierć. Mnie się zdaje, że w tym worze śmierć ukryta. Gdybym wziął ów wór do mojej chatki, utraciłbym spokojność, swobodę i czyste sumienie. Skoroby się dowiedzieli źli ludzie, że w mej celi znajduje się wór pieniędzy, wnetby mnie

napadli a niezawodnie i zabili. Wszakżeż bardzo dawnemi czasy w lesie kaźmierskim zabito świętych pustelników, gdyż rozeszła się wieść, że Bolesław Wielki, nasz król polski, darował im bryłę złota. Co począć jednakże z tym skarbem? Czy pozostawić go tu w lesie? Czy gdzie przechować? Zapewne ktoś zgubił. Uderzę w ów wór kilka razy kijem, aby śmierć wypędzić. (*Wali kijem.*)

SCENA II.

Pustelnik, dwaj rozbójnicy.

Pierwszy rozbójnik. Hej! hej! pustelniku, dlaczego tak walicie kijem?

Drugi rozbójnik. On wali kijem w wór, może są w nim pieniądze.

Pustelnik. Zgadłeś, że pieniądze, dlatego też walę kijem, bo w tym worze śmierć siedzi.

Pierwszy rozbójnik. Nie rozumiem, zkądby się tam śmierć wzięła; za pieniądze można przecież żyć wesoło.

Pustelnik. A ja mówię, że tu śmierć ukryta. Pieniądze są jak nóż, którym można sobie chleba ukrajać albo też przerznąć gardło.

Drugi rozbójnik (*z uśmiechem.*) Już my tym nożem gardła sobie nie przerzniemy.

Pierwszy rozbójnik. Co widzę? W tym worze znajduje się 1000 dukatów. Moglibyśmy lata rozbijać, zanimby się nam zdarzyła taka gratka.

Pustelnik. Czy wy macie zamiar zabrać sobie te pieniądze?

Pierwszy rozbójnik. A nie inaczej. Przecież nie ma właściciela. Wasze zapewne nie są, bobyście nie prali ich kijem.

Pustelnik. Broń mnie Boże. Wór nie należy do mnie, ale może te pieniądze ktoś zgubił. Trzebaby je zwrócić prawemu właścicielowi. Ten co zgubił, popadnie w wielkie nieszczęście, a może nawet z tego powodu życie utracić.

Pierwszy rozbójnik. Ktoby zważał na takie przypuszczenia. Pieniądze są nasze i kwita. Ponieważ naprowadziłeś nas na ślad skarbu, przeto damy ci 100 dukatów. wszakże się na to zgadzasz, kolego?

Drugi rozbójnik. Z największą chęcią.

Pustelnik. Nie chcę, nie pragnę, nie wezmę nawet jednego dukata, gdyż powiadam, że w tym worze jest śmierć zamknięta.

Pierwszy rozbójnik. Dać i prosić się to grzech, zatem zgoda, nie damy nic.

Drugi rozbójnik. Coś podobnego rzadko się zdarza.

Pustelnik. Tylko zapracowane pieniądze przynoszą błogosławieństwo, a niesprawiedliwie nabyte stają się zgubą dla właścicieli. Zobaczycie, że wam te dukaty nie przyniosą szczęścia. Nie zabierajcie skarbu, proszę was, gdyż będziecie żalowali, ale po niewczasie.

Pierwszy rozbójnik. Mówisz takie rzeczy do zbójców. My sobie nic nie robimy z podobnych skrupułów.

Drugi rozbójnik. Daj nam pokój; teraz nastąpi podział.

Pustelnik. Odchodzę, bo czuję szum skrzydeł zbliżającego się anioła śmierci. (*Wychodzi.*)

SCENA III.

Drugi rozbójnik. Dziwna rzecz, że słowa pustelnika przeszły moje serce, niby miecz

obosieczny. Prawdę mówi, że tylko zapracowany grosz może się do szczęścia przyczynić.

Pierwszy rozbójnik. Babskie gadanie i nic więcej. Pieniądz podstawą wszystkiego. Nie-darmo śpiewamy:

Pieniądze lubie pieniądze,
Wy nasze spełniacie żądze,
Z wami żyć, umierać miło.

Drugi rozbójnik. Nawet w tej piosnce znajduje się wzmianka o śmierci. Przechodzi mnie coś, jakoby dreszcz konania.

Pierwszy rozbójnik. Widać, że jesteś tchórzem podszyty. Co tam będziemy zważali na jakieś przeczucia i dreszcze. (*Rozwiązuje wór.*) Patrz, jak się mile uśmiecha do nas złoto, srebro, a nawet liche miedziaki. Dalej co żywo, sypmy na jedną kupę złoto, na drugą srebro, a na trzecią miedź. (*Idą w krzaki, z kąd raz po raz dochodzi brzęk pieniędzy.*) Oczywista rzecz, że ja wezmę 100 dukatów więcej.

Drugi rozbójnik. Jakiem prawem?

Pierwszy rozbójnik. Jam pierwszy zobaczył, a potem pustelnik zrzekł się nagrody, zresztą jestem starszy i mocniejszy. Siła przed prawem, rozumiesz.

Drugi rozbójnik. Niby rozumiem i nie rozumiem. Ale pamiętaj, że kij ma dwa końce. Ty mnie chcesz skrzywdzić, ale ja bezkarnie skrzywdzić się nie dam.

Pierwszy rozbójnik. Będiesz ty mi się odgrażał, ja cię wnet nauczę po kościele gwizdać.

Drugi rozbójnik. Sto dukatów nie fraszka.

Pierwszy rozbójnik. A więc jeżeli tak, zabieram sobie 200 dukatów i basta.

Drugi rozbójnik. Chyba żartujesz?

Pierwszy rozbójnik. Nie, nie żartuję, a jak się nie zgodzisz na ten podział, wezmę ci jeszcze więcej.

Drugi rozbójnik. Otóż ja oświadczam, że chcę mieć połowę pieniędzy, a jeżeli nie dasz dobrowolnie, bić się będę do upadłego.

Pierwszy rozbójnik. Spróbuj! Pokonywałem ja innych śmiałków.

Drugi rozbójnik. Pytam się raz ostatni: dasz połowę, czy nie?

Pierwszy rozbójnik. Ani mi przez sen nie przyszła myśl podobna.

Drugi rozbójnik. Ha, jeżeli tak, giń zdrajco! (*Rzuca się nań z dobytym sztyletem i rani, pierwszy rozbójnik strzela doń z pistoletu.*) Już po mnie. (*Fadają obydwaj na ziemię.*)

Pierwszy rozbójnik. Czuję, że już się więcej nie dźwignę z ziemi, rana śmiertelna.

Drugi rozbójnik. I ze mną tak samo. Nie omyliły mnie moje złowrogie przeczucia. Czemu nie usłuchałem dobrej rady pustelnika? Ach jak mi straszno, śmierć mnie chwyta w objęcia. Mamże umierać tak młodo, bez Sakramentów świętych, bez pojednania się z Bogiem?

Pierwszy rozbójnik. Przekłęte po tysiąc razy pieniądze. Teraz mam zginać, gdy taki skarb wpadł mi w ręce, to okropność... krew mnie ubiega...

Drugi rozbójnik. Boże! Boże! zmiłuj się nademną i daruj mi ciężkie grzechy. Najświętsza Maryo Panno, wstaw się za mną! Święty An-

toni mój Patronie, uproś dla mnie zmiłowanie Boże. Kolego, przebaczymy sobie wzajem zabójstwo.

Pierwszy rozbójnik. Ja ci nie mam co przebaczyć, gdyż z mojej winy się stało. Chciwość moja do pieniędzy zgubiła mnie i ciebie. Przebaczam ci, jeżeliś zawinił, przebacz i ty... o już mi trudno mówić, wkrótce przeniesie się dusza moja do piekła... Już nic nie widzę, ciemno, straszno, pełno diabłów lata naokół. Biada, biada, biada!

Drugi rozbójnik. Przebaczam ci, kolego, bo i ja zawiniłem, gdyż powinienem był ci oddać cały wór dukatów. Mdło mi, nie mogę się ruszyć. Księdza, księdza!

SCENA IV.

Ciż i pustelnik, później posłaniec.

Pustelnik. Usłyszawszy wystrzał, pędziłem co siły, bo mówiło mi przeczucie, że już tu gości anioł śmierci. Co widzę — dwa trupy. (*Idzie do pierwszego rozbójnika.*) Ten już pożegnał się z życiem. (*Spogląda na drugiego.*) Ow drugi zdaje się, że jeszcze oddycha. Może go ocalimy. Trzeba najprzód krew zatamować. (*Kłęka obok i xawięzuje ranę.*)

Drugi rozbójnik (*słabym głosem*). Święty Antoni, przybądź mi na pomoc!

Pustelnik. Masz wielkiego Przyczyńcę, on ci z pewnością przyniesie pomoc. Ale co ja pocznę z tym nieszczęśliwym? Sam go nie przeniosę do mojej chatki, a tu wszystko zależy na szybkości. (*Wchodzi posłaniec.*)

Posłaniec. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A tu co, zabici ludzie?

Pustelnik. Na wieki wieków. Amen. Pewnie cię tu przysłał sam święty Antoni.

Posłaniec. Szukam pieniędzy, które zgubiłem. Jeżeli ich nie znajdę, życiem przypłacę.

Pustelnik. Ile zgubiłeś i w czym były przechowane?

Posłaniec. Było 1000 dukatów w szarym worze, a na nim napis: 1000 dukatów.

Pustelnik. Pociesz się, pieniądze tu się znajdują. Ci dwaj z powodu tego skarbu stoczyli walkę śmiertelną. Jeden już nie żyje, a drugi ciężko ranny. Pomóż mi go przenieść do mojej chatki, która się wznosi o kilka kroków. (*Biorą obydwaj rozbójnika i wynoszą, po małej chwili wracają.*)

Pustelnik. Tu są za krzakiem pieniądze, podzielone na trzy kupki. Ci dwaj przy podziale się pokłócili, poczem jeden uderzył sztyletem, a drugi strzelił z pistoletu. Teraz pójde do rannego. (*Wychodzi.*)

Posłaniec (*zbiera w wór pieniądze*). Dziwna to rzecz; owe pieniądze mają służyć na wykup mego pana, ojca rodziny, trzymanego w kajdanach. Jeżeli dziś nie złożyłbym 1000 dukatów, mój pan utraciłby życie, a żona i dzieci zostałyby osierocone. Wtedy i mnie już nie żyć. (*Pada na kolana*) Dzięki Ci Boże, że się znalazła zguba. Niech Twoje Imię będzie błogosławione po wszystkie wieki wieków! (*Wchodzi pustelnik.*)

Pustelnik. Ty dziękujesz Bogu, żeś znalazł pieniądze, a ja dziękuję, że Bóg się zlitował nad rozbójnikiem. Zapewne sprawiła to pomoc św. Antoniego. Rana nie jest śmiertelną. Mam mocną nadzieję, że nieszczęśliwy przyjdzie do zdrowia, aby mógł czynić pokutę za zbrodnię, której się dopuścił. Bóg karze ciężko zakamieniałych grzeszników, ale odpuszcza winy szczerze żałującym. Bóg

jest sprawiedliwym, ale także miłosiernym sędzią. Chwała Bogu na wysokości a pokój ludziom dobrej woli. (*Zasłona spada.*)

Zbójcy na Czorsztynie.

Powieść historyczna z XV w. przez A. Winiarskiego.

Sędziwy Władysław Jagiełło, drżącą od zgrzybiałości ręką trzymał jeszcze berło i na głowie białym włosem okrytej dźwigał koronę, która swym ciężarem tłoczyła go ku ziemi. Sam przeczuwał zgon bliski, a jednakże chciał żyć jeszcze dla tego tylko, aby pod jego okiem dorósł Władysław, aby ciężar panowania nie spadł na ramiona, niezdolne go udźwignąć. A tu różne dziwne praktyki przerażały go: Czech Krystyn, sławny gwiaździarz, przepowiedział mu wielką niemoc, a może i co gorszego; kometa, który pokazał się od zachodu nad Krakowem, rozsiał tysiące wróżb, a dziwne, z różnych stron pochodzące baśnie, kleiły się w jedną całość, zawsze groźną i nieobiecującą nic dobrego.

Wierny i szczery przyjaciel króla, Zbyszek, biskup krakowski, wybierając się na sobór do Bazyli, nauczony przysłowiem: że młody może umrzeć, a stary musi, przepraszał króla za wszystkie za zbyt ostre rady i napomnienia, wymawiał się, że to wszystko czynił dla wspólnego dobra i ze łzami żegnał starca, który podawał mu drżącą rękę i głosem na pół ławym prosił, aby się opiekował jego synem, aby strzegł niedoświadczonego

od chytrych rad, aby mu zastąpił czulego ojca, szczerego przyjaciela i wiernego sługę.

Nic więc dziwnego, że przy takim usposobieniu umysłu i serca, Jagiełło nie mógł już rządzić obszernem państwem z tą siłą, którą w czasach jego młodości poczuł i obcy i swoi i że pod koniec jego panowania wkradły się różne bezprawia, czyhające tylko na sposobną do podniesienia głowy chwilę.

Śląsk, prowincya podzielona na małe księstwa, górzysta, leśna i mało wówczas uprawna, dostarczała blisko przez trzy wieki ludzi, którzy byli plagą spokoju powszechnego, którzy zajmując otoczone skałami zamki i niedostępne jary, w wycieczkach swoich nabawiali postrachem ludność na kilka, a może i kilkadziesiąt mil wokoło.

Straszna była rzecz minąć krakowską ziemię i puścić się śląskim gościńcem, życie wisiało nieraz na włosku, a z mieniem trzeba się było zawczasu pożegnać. Karawany kupieckie z liczną czasem do tysiąca ludzi wynoszącą strażą, nie były wolne od napaści, bo położenie miejsc i obronne stanowiska, zapewniające pewny odwrót, uzuchwalały i tak już zanadto śmiałych napastników. W początku wprowadzie nie było słyszeć, aby który z większych panów śląskich przywodził takim wyprawom; ale później, gdy pomiędzy powiększające się rodziny podzielono posiadłości, gdy łatwy i zgodny z niejednym usposobieniem sposób do życia stał się zachętą, nie raz na czele pustoszącej okolicznej prowincye zgrai, widziano znakomite imiona, godne zajmować lepszą kartę historyi i zaszczytniejszą pamiątkę po sobie zostawić.

Położenie miejsc sprzyjało wielce utrzymywaniu się w skalistych i górzystych okolicach ludzi,

tułających się po świecie wywołańców różnych krajów i próżniaków, gromadzących się po to umyślnie, aby żyć cudzym kosztem.

Najprzód chowali się w lasach i jaskiniach, ale gdy im tam było za ciasno i gdy poczuli, że mogą śmielej na świat wyrzeć, budowali sobie w skałach niedostępne zamki, albo wypędziwszy z okolicznych zamków właścicieli, rozsiadali się w nich najswobodniej.

Berwald, Czorsztyn, Żebracza góra, były to najważniejsze punkta, o które się z obydwóch stron kuszono; bo nieraz, gdy zuchwalstwo doszło do najwyższego stopnia i gdy rozboje, mordy i pożogi przebrały miarę, jak na jaką wojenną wyprawę zbierały się liczne wojska, aby choć na jakiś czas śmiałość napastników ukrócić.

Czorsztyn otoczony odwiecznemi lasami, położony wśród niedostępnych skał, długo odpierał zapędy »mieszkowych« jak ich zwano rycerzy, tamował ich wycieczki, ale gdy przy końcu panowania Władysława Jagielly znalazło się wielu ochotników do wesołego życia, gdy nie było komu zbyt śmiałych ich wycieczek ukrócić, zadrżały jary i skały od godowych zbójeckich pieśni, a mury Czorsztyna od ich pocisków. Dzielny Jacko z Kobylan nie mógł oprzeć się przeważającej sile i opuścił zamek, zostawiając go równie dzielnemu przywódcy zbojców Frydrychowi. Frydrych nie wiedzieć skąd się zjawił, nie wiadomo ni jego rodu, ni godności, a jednak wszyscy jednozgodnie poddali się pod jego władzę, bo poczuli, gdzie z nim zajdą i jakie łupy zagarną.

Ponury, milczący, przy biesiadzie surowy, groźny w radnem kole, przy dźwięku rogów, przy huku

kotłów nabierał dziarskości i ognia. Nikt nad niego
 zręczniejszy nie obrał stanowiska, nikt mężniejszy nie oparł
 się przeciwnościom, nikt śmielej nie rzucił się w wi-
 doczne niebezpieczeństwa. Wysoki, barczysty, zda-
 wało się, że jak Saturn uniósłby świat na sobie
 i jeszcze nie czułby jego ciężaru. Czarny zarost
 okrywał twarz śniadą, nigdy nierozjaśnioną uśmie-
 chem, nigdy niezmienioną trwogą lub radością;
 a oczy, w których wiecznie gorzał płomień dzikiej
 żądzy, nie wyjrzały nigdy pogodnie z pod brwi gę-
 stych i jak ostrokoły najeżonych. Ubiór jego nie
 był wykwintny: w zimie krótki kozuch barani i koł-
 pak, w lecie granatowa kurtka z amarantowemi
 wyłogami, buty sięgające za kolana, pas rzemienny
 kółkami nabijany, a za nim dwa długie błyszczące
 noże, w ręku czekan, albo sękata żelazem nabi-
 jana maczuga, ot i cały przybór dowódcy. Za to,
 gdy na zasadzce gwizdnął i błysnął czekanem, gdy
 głosem, od którego skały się trzęsły wydał rozkazy,
 to nie było ani jednego, któryby śmiał się sprzeci-
 wić jego woli, któryby nie rósł w dumę, że pod ta-
 kim wodzem służy. Gdy opanował Czorsztyn
 i z wierzchołka najwynioślejszej wieży spojrzał na
 kilkomilową przestrzeń, gdy ujrzał pod nogami
 swemi wierzchołki stuletnich jodeł, a okoliczne wsie
 i miasteczka jak mrowiska poruszające się wokoło
 konarów wyniosłego dębu, gdy zmierzył rozciągające
 się na cztery strony Bożego świata przestrzenie,
 przerzniete strumieniami i strumykami, pierwszy raz
 rozchmurzył czoło i jaśniej spojrzał ku słońcu, które
 dążąc do zachodu, pochylało przed nim promienistą
 swą głowę.

Ale wieści niosły, że Jacko z Kobylan na
 chwilę tylko uległ przemocy, że u stóp Czorsztyń-

skiej skały poprzysiągł zgubę Frydrychowi i że w okolicy Pińczowa zbiera ochotników, aby z nimi na Czorsztyn uderzyć.

Dumny zwycięzca, choć wyrazem pogardy przyjął te wieści, jednakże one głęboko utkwily w jego sercu. Znał on dobrze przeciwnika i wiedział, że prędzejby ugiął czorsztyńską wieżę, aniżeli zmienił przysięgę takiego, jak Jacek z Kobylan rycerza.

Nie tracił więc czasu napróżno i przekonawszy się, że rozłożone u podnóża skał lasy, mogłyby ułatwić przystęp do zamku, kazał je w pień wyciąć i spalić, aby otworzywszy sobie rozleglejszy widok, podchodzącego nieprzyjaciela nie dopuścić.

Na ten rozkaz legły wiekowe jodły i nieubiegło od pełni księżyca do nowiu, a i ślad z nich nie pozostał. Lud okoliczny truchlał patrząc na to i opuszczał nędzne chaty i uciekał w odległe strony, aby unieść życie i nie doczekać się gorszych jeszcze rzeczy.

A śmielsi i ci, którym łatwy grosz pachnął, garnęli się do Frydrycha, cisnęli się na wały czorsztyńskiego zamku, aby pohulać trochę i biedę na czas odegnąć. Frydrych przyjmował ich chętnie, układał w szyki i Bóg wie o czem myślał, bo nieraz ranne gwiazdy zastały go siedzącego na skale z głową na rękę opartą i nieraz rosa zawisła kroplami na gęstych brwiach, sumiastych wąsach, albo zwilżyła otwarte wyniosłe czoło.

Gdy tak Frydrych ubezpiecza się od napaści, a Jacek z Kobylan myśli o odebraniu Czorsztyna, o kilka mil od tego zamku leży obszerne murowane dworzec, oblany dokoła wodą, kanałami puszczone i obwiedziony ostrokołami. W dworcu tym mieszka pan podkomorzy Wojciech z Działoszyna, starzec

pochylony wiekiem, niegdyś ulubieniec Ludwika węgierskiego i rycerz w potrzebach wojennych biegły, ale znękany starością i ciągłą troską o wielkie skarby, które skrętnie przez całe życie zgromadzał.

W skarbach tych utopił duszę i ciało, napróżno Bóg nawiedzał go ciężkimi upomnieniami, napróżno trzech synów, chłopów pod wąsem, zdrowych i rosłych jak dęby, zginęło marnie nie w bitwie z nieprzyjaciołmi, nie po rycersku, ale w domu na łożu, przed oczyma rozpaczającego ojca; napróżno grady i powodzie nie mijały nigdy Działoszyna, a pioruny paliły sterty zboża od kilku lat pleśniejące, napróżno widome plagi nie ustępowały nigdy z dworca, starzec modlił się, wyprzysięgał ze swej namiętności, obiecywał stawiać kościoły, fundować bractwa; ale gdy otworzył wieko żelaznej skrzyni, gdy kruszec błysnął mu przed oczyma, zacierały się w pamięci obietnice, przysięgi i pan Wojciech tonął sercem w swej skrzyni, marzył o jej objętości, po tysiąc razy mierzył ją w szerz i wzdłuż i znowu starannie na trzy klucze zamykał.

Ludzie mówili, że początek tych skarbów tonął we łzach dwojga sierot, wyzutyh z mienia, że przekleństwo ich ciążyło nad rodem pana z Działoszyna; że przed każdą plagą, jaka miała nawiedzić Działoszyn, przychodził duch jednego z sierót obiecując, że to jeszcze nie dosyć i musiało tak być w istocie, bo p. Wojciech ile razy spojrzał na jasną, miłą twarzyczkę jedyne go swego dziecięcia, ślicznej ciemnowłosej Jadwisi, tyle razy w goryczy kapał serce i ciężkiem westchnieniem chciał ulżyć ściśniętym piersiom. Ale westchnienie szło za westchnieniem, a ulga uciekała od duszy, jak jaskółka od poprzonej śniegiem strzechy, jak czajka od wygo-

rzałych borów i ciężar coraz więcej się powiększał, gniotąc starca ku ziemi.

»Może to tak źle nie będzie«, mówił do siebie w chwilach porachunku z sumieniem, »wystawię kościół, uposażę go hojnie, to Bóg zlituje się nad nią i odwróci straszne wróżby.

Ale gdy przychodziło do uskutecznienia zamiaru i wysypania części skarbów na chwałę Bożą, dyabeł ścisnął szponami serce pana Wojciecha i szeptał mu: jeszcze jest dość czasu, jeszcze będziesz żył długo, a jutro, pojutrze, lżej ci będzie rozstać się z twoją mozolną pracą, ze skarbami tak miłymi i drogiemi twemu sercu!

Jutro, pojutrze, pan Wojciech znów taką samą walkę staczał z namiętnością, nie mogąc nigdy jej zwyciężyć, a czas ubiegał rącho i pochylał go coraz więcej ku ziemi.

Razu pewnego odważył się sięgnąć ręką po worek, przeznaczony na założenie świątyni, gdy znać mu dano, że pan na Czorsztyń, Jacek z Kobylan, przysłał swaty po rękę jego córki.

Wiadomość ta zachwiała jego dobre zamiary.

»Jej oddam co mam«, mówił, chcąc uspić sumienie, a ona sama wystawi kościół, od niej Bóg milej przyjmie ofiarę«.

Uspokoiwszy na chwilę sumienie, zamknął skrzynię warowną i poszedł przyjmować swatów.

Niedługo za swatami przyjechał sam pan Jacek, pokłonił się nisko ojcu, przemówił serdecznie do panny i rzecz była załatwiona. Jadwiga widziała go wprawdzie raz pierwszy w życiu, ale ujęła ją rycerska jego postawa, mężka otwartość i szlachetne rysy jego twarzy. Na drugi dzień byli już ze sobą jak dawni znajomi, a na trzeci serduszko panny

Jadwigi już silniej zapukało, kiedy w sieni zabrzęczały rycerskie ostrogi.

Ojciec przyjął mile oświadczyzny pana Jacka, bo wprzód jeszcze obliczył, że zięć, jako pan na Czorsztynie, obejdzie się bez jego strzechy i że Jadwisię zawiedzie nie do pochyłego dworku, ale w bramy zamkowe. Wyznaczono dzień ślubu, zaproszono na wesele licznych krewniaków i wszystko szło jak z płatka, gdy wtem jednego poranku czoło pana Wojciecha pokryło się zmarszczkami, a twarz poczerniała, jak gdyby odjął ją od grobowej deski. Niebawem nadbiegł goniec od pana Jacka, donoszący, że Frydrych, dowódzca zbójców, wygnał go z Czorsztyna i że tułacz bez dachu, dopóki go nie odzyska, ręki Jadwigi posiąść nie może.

Pan Wojciech zgryzł się niezmiernie tą wiadomością, a Jadwisia zalała się rzewnymi łzami, bo pan Jacek nie był jej obojętny; a co więcej, młode dziewczę przylgnęło do niego całem sercem i ujęło się jego ręki jak latorośl bluszczu wysokiej topoli, która ma wesprzeć jej drobne odrośle i zasłonić je od burz i wichrów świata.

Chciała powiedzieć ojcu: »ojcze my i bez Czorsztynu będziemy szczęśliwi, nam i w Działoszynie będzie dobrze, ale rumieniec oblał zapłakaną twarzyczkę na samą myśl o tem«, a ojciec milczał i dumał.

Po kilku dniach nadjechał i pan Jacek. Mężka jego postawa nie straciła ani jednego wyrazu stałości, a jednakże serce tłoczyła dolegliwa boleść.

Nie dbał o Czorsztyn, bo wiedział bardzo dobrze, że dłoń silna i szabla wypróbowana, to najlepsze mienie rycerza, ale żal mu było, że tak bliską chwilę szczęścia zasuwwały chmury, że rączki

Jadwisi nie przycisnie jeszcze do serca i nie nazwie jej swoją na wieki.

»O moja najmilsza«, rzekł, zginając przed nią kolana, »nie smuć się, jest Bóg wielki, który kazał się wzajemnie miłować i który taką miłość między cnoty policzył, ten Bóg nie opuści nas, nie dozwoli, aby serca nasze poschły z żalości. Ja odzyskam moją strzechę i powiodę cię najmilsza w jej podwoje, tam padniemy razem na twarz przed ołtarzem Pańskim i podziękujemy za łaskę, za szczęście, bo my tylko razem szczęśliwymi być możemy.«

»A dla czegoż to szczęście ma być tylko w Czorsztynie?« rzekła, łkając dziewczyna.

»W Czorsztynie, bo nie chcę, nie zniosę tego, abyś była żoną tułacza. O moja najmilsza! spojrzij na mnie, widzisz tę silną rękę, szabla w takiej ręce, to śmierć choćby olbrzymom. Przysięgam ci na Boga, na twoją miłość, na pamięć naszej ukochanej królowej Jadwigi, na ten pierścień, który ojciec mój w upominku od niej otrzymał, że nim słońce ku jesieni się nachyli, my będziemy w Czorsztynie.«

Jadwisia otarła oczy, odpięła jasną wstęgę od bijącego żywo łona i podała ją rycerzowi, którą on przycisnął do ust i rzekł:

»A ty, moja najmilsza, przyjmij to, co mam teraz najdroższego, pierścień królowej Jadwigi. Jeżeli zginę, to twoja wstęga pójdzie ze mną do grobu, nie wypuszczę jej z rąk, dopóki nie zastygnę, a potem ona mi oczy zasłoni!«

»A jeżeli ja umrę?«

»To weź ten pierścień z sobą, pamiętaj, weź go z sobą, bo na tamtym świecie upomnę się o niego.«



Okropny był widok tej walki, długiego pasowania się siły z siłą. (Str. 135).

Koń zarżał na podwórzu, pacholek w trąbkę uderzył, pan Jacek powstał, wstęgę przypiął do szabli, w progu jeszcze powtórzył: »pamiętaj,« i wyszedł.

Długo brzęk ostróg i szabli rozlegał się po chodnikach, długo oczka dziewczęcia ścigały tumany kurzu unoszące się gościńcem, aż wreszcie wszystko przeminęło i modlitwa szczerą, gorącą, uniosła na swych skrzydłach stroskane serce do tronu Tego, który łączy ocierania i cierpienia łagodzi.

Dwa tygodnie upłynęło od czasu odjazdu pana Jacka; w działoszyńskim dworze smutno było jak w grobie. Starzec chodził zamyślony, albo zamykał się w skarbcu, a Jadwisia, której miły głosik dawniej cały dworzec radością napełniał, smutna, zadumana, siedziała przy okienku i spoglądała ku gościńcowi, czy nie ujrzy tumanów kurzu i nadśłuchiwała do późnej nocy, czy ją tentent koni i brzęk szabel nie doleci. Tak dni po dniach uchodziły leniwo, powoli, jakby je ciężar tłoczył i nie dał różnie wyskoczyć, jakby po cieniach stapały. Bo gdzie radość i wesele płaczą się między ludźmi, to czasu ani za skrzydła nie uchwycisz, płasa jak dziewczę w gaiku, od kwiatka do listka, od motylka do świecącego robaczka, ale gdzie radość i wesele a nawet i nadzieja odleca tam dni i sześcioma wołmi nie-uciągniesz, tam godzina wyda ci się wiekiem, a minuta godziną.

Razu pewnego po ciemnej i dżdżystej nocy starzec wstał raniej niż zwykle, i zauważono, że był bardzo niespokojny. Obszedł ostrokoły i obejrzał mosty i kazał zgromadzić ludzi z okolicznych wiosek, uzbroić ich w czekany i topory, i straż pilną na wałach urządzić.

W kraju był spokój, ani słuchu nie było o wojnie, dziwowano się więc tej ostrożności i przypisywano ją zbytecznej obawie o całość skarbu albo jakim tajemnym wieściom.

Tymczasem nad Działoszynem zbierała się straszna burza; gromy jej miały uderzyć niespodziewanie i zamienić w popiół i gruzy, siedlisko łzami i przekleństwem obciążone.

Słońce zaszło blade i czerwoną łuną oblało całą zachodnią stronę, wiatr wył przeraźliwie, szamocąc się z drzewami i uginając wysokie ich czoła, psy wyły w podwórzach, i strach jakiś mimowolny ścisnął piersi. Wszyscy czuli, że nad niemi coś złego wisi, a nie dorozumiewali się, skąd to złe przyjdzie i jakie skutki przyniesie. Starzec obstawiał strażę wokoło skarbcza, Jadwinia modliła się przed obrazem Matki Boskiej rzewnie i gorąco, a słudzy szepotali po kątach, odmawiając pacierze i gwarząc o biedzie, którą czuli za plecami. Blisko już było północy, kiedy długi, przeciągły i powiększający się huk, jakby z trzęsienia ziemi pochodzący, nabawił wszystkich trwogą. Zawtórowały mu groźne okrzyki, i wkrótce z za okna dworcu z czterech stron uderzyły ogniste łuny. Starzec wypadł na wały, ujrzał płonące w dolinie wioski, a przy blasku płomieni bijących aż pod obłoki, spostrzegł niezliczoną czerń dążącą ku wałom dworu. Boleść, zwątpienie, przekonanie o niepodobieństwie obrony, zachwiały mężnem niegdyś sercem, z przeraźliwym krzykiem zbiegł z wału, wyrwał czekającemu dworzaninowi i stanął przy drzwiach skarbcza, gotów do ostatniej kropli krwi bronić swych zbiorów.

Dworzanie potracili głowy, tłumami snuli się po podwórzach napełniając je trwogą i zamieszaniem,

gdy tymczasem Frydrych na czele swoich górali przełamał palisady i opanował most, którego niezdolano przed nim zebrać. Z trzaskiem i wrzawą wpadli zbójcy na podwórze, roznosząc wszędzie śmierć i zniszczenie; w jednej chwili strumienie krwi popłynęły ku kanałom okrążającym dworzec i płomienie buchnęły pod obłoki. Zanim Frydrych dopadł bram dworcu, z okien buchały już płomienie i hałaśliwa jego drużyna dzieliła się łupami. Na przodzie stała wielka żelazna skrzynia, a obok niej leżał trup starca z roztrzaskaną czekanem głową, z porozdzieraną na sztuki piersią, jedną rękę przyłożył do szarpanego boleścią w chwili konania serca, a drugą ujął za róg skrzyni, jakby ją chciał ku sobie pociągnąć. Frydrych potracił wzgardliwie trupa, skrzynię kazał włożyć na wóz i biegł dalej, gdy przy jaskrawej łunie bijącej z lewego skrzydła dworcu, ujrzał leżącą na kamiennej posadzce dziewczę. Twarz jej jakby tylko w łagodnym śnie pograżona, taka była czysta i piękna, ręką przyciskała głęboką ranę, z której jeszcze krew płynęła, a na serdecznym palcu tej ręki błyszczał pierścień. Fryderyk zastanowił się chwilę: „to jego narzeczona, pomyślał sobie, z nią miał gościć w Czorsztynie!“ i chciał biec dalej, gdy oczy jego spotkały pierścień. Nie namyślając się, sięgnął po niego ręką, ale ręką trupa zamknęła się, zadrżał, włosy powstały mu na głowie, pomyślał sobie jednak, pewnie jeszcze żyje, dobył więc noża, i jednym cięciem odłączył rękę z pierścionkiem od reszty ciała. Trup ani drgnął, Frydrych zdjął pierścień, włożył go na swój palec i odskoczył na bok, bo walące się w tej chwili głównie strumieniem iskier przysypywały trupa dziewczę.

Wkrótce na tem miejscu, gdzie stał dworzec,

zostały tylko niedopalone zgłiszcza, wkrótce tłumy z hucznymi okrzykami i w tryumfalnym pochodzie, odciągnęły ku góróm, wkrótce też gromady drapieżnego ptactwa zleciały się na sutą przyrządzoną im okrucieństwem ludzkim biesiadę.

Ale czemuż Frydrych nie wysiaduje teraz w nocy na skale, a nie rachuje gwiazd na widnokręgu? Czemuż zamyka się w komnatach, u drzwi rozstawia strażę, a w sypialni nie każe gasić światła?

Jakaś troska wyrzyła się na wyniosłem jego czole i w twarzy poźółklej i w oczach mgłą zaszyłych, jakby snem od dawna nie pokrzepionych.

Zbójcy nie wiedzą, co to znaczy; roją różne domysły i sami się w nich płaczą; bo któż zgaduje, co się w głębi czorsztyńskiej skały mieści i któż zbada, co duszę Frydrycha uciska.

Zamyślony, ponury, w trunkach szuka ulgi zapomnienia choć na chwilkę o trosce, a troska osiada na dnie puharów i wciska się we wnętrzości i szarpie je boleśnie.

»Snu! snu!« woła chwiejący się olbrzym, a sen ucieka od nabrzękłych powiek, szydzi z próób i zaklęć i jeszcze w poselstwie od siebie straszne marylę wyprawia. Frydrych w szaleństwie szarpie odzież, rwie włosy, a wesół jego niegdyś drużyna płacze się bez ładu, nie wiedząc, co począć i do kogo udać się po radę.

Niedaleko Pińczowa, jak tylko okiem zasięgnąć, widać namioty, a między nimi snują się zbrojni żołnierze, gotując się do wyprawy. Pod jednym z namiotów na niedźwiedziej skórze leży pan Jacek z Kobylan, smutny jak wierzba nad mogiłą. Łatwo zgadnąć, co w jego myślach krąży; pewnie nie zgryzoty sumienia, ani dumne zamiary, ale dworzec dzia-

Łoszyński i jego bogdanka, wyciągająca ku niemu ręce, aby ją obronił i rodzinne miejsce od zniszczenia ocalił.

»Przybyłem za późno« mówił z ciężkiem westchnieniem »za późno, bo już wiatr rozwiał popioły. Bóg nie dozwolił mi tego szczęścia, abym przynajmniej martwą jej rękę uściśnął.«

»O Frydrychu, poznasz ty moją zemstę; i twoje szczątki wiatr rozniesie i ty nakarmisz sobą drapieżne ptactwo!«

W tej chwili odsunęła się zasłona namiotu i ukazał się pielgrzym w długiej czarnej szacie z paciorkami u pasa. Wysoka, atletyczna jego postawa sięgała aż pod szczyt namiotu, a ogorzała cera i wzrok przenikliwy, zdradzały pochodzenie.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

»Na wieki wieków« odpowiedział pan Jacek i wpatrując się pilniej w twarz pielgrzyma, dodał:

»A co mi powiecie ojcze?«

»Przychodzę tu w poselstwie.«

»Od kogo?«

»Od osoby, która wam była bardzo droga za życia.«

»Nie rozumiem was ojcze, mówcie wyraźniej.«

»Pierścień ten domowi reszty«. I podał panu Jackowi pierścień, który on, odjeżdżając z Działoszyna na rękę Jadwigi włożył.

Pan Jacek zerwał się i chwytając za miecz na ścianie wiszący, zawołał:

»Kto jesteś?«

»Frydrych, pan na Czorsztynie.«

»I ty wydzierco mego sumienia! morderco! śmiesz tu przychodzić?«

»Śmiem, bo mi kazano.«

»Zginiesz.«

»Uderz Jacku z Kobylan« rzekł, nachylając głowę, »uderz, ale pamiętaj, że jestem pod twoją strzechą i że tu nie ze swojej woli przychodzę«.

Pan Jacek cofnął miecz i rzekł:

»On w moich progach!...« A potem jakby hamując się, dodał:

»Któż cię tu przysyła!«

»Jej duch, który nie dał mi spoczynku od owej strasznej chwili, duch, od którego nie mogłem się wyprosić, wybłagać, okupić ofiarami! On mnie męczył, jak potępieńca za życia, dopóki nie przysiągłem, że oddam do rąk twoich ten przeklęty pierścień, który palił moją duszę, jak rozpalonem żelazem, który szarpał mnie djabelskimi szponami. Weź go, weź, Jacku z Kobylan, niech wolniej odetchnę i niech oczy moje na niego nie patrzą.«

Pan Jacek przyjął pierścień a Frydrych dalej mówił:

»O łaskę cię nie proszę, jeżeli żądasz głowy za głowę, to masz mnie w swej mocy. Jeżeli nie chcesz splamić twej szabli morderstwem, spotkasz mnie u podnóża Czorsztyńskiej skały, dziś, jutro, kiedy zechcesz, tam się rozprawimy z sobą i zakończymy nasze obrachunki światowe.«

»Jesteś pod moją strzechą,«

»Więc spotkamy się pod Czorsztynem.«

»Pod Czorsztynem, jeżeli morderco będziesz śmiało stawiać mi czoło.«

Frydrych zaśmiał się szydersko i rzekł:

»Nie ufasz słowu zbrojcy, no, kiedy tak to chódź! tu przed namiotem zaraz rozprawimy się z sobą. Pod pielgrzymią opończę znajdzie się szabla, a ręka, wiesz, że nie do paciorków stworzona.«

»Nie chcę, powiedzianoby, żem cię podstępem zabił, a ja cię muszę zabić, rozumiesz.«

»Zobaczmy, a teraz bądź zdrów Jacku z Kobylan. Czekam cię u Czorsztyna.«

U podnóża Czorsztyńskiej skały zaległy tłumy zbrojnych. Świeące ich broje, różne okrzyki, wesołe twarze, grozą wyniosłym wałom, na których snują się rozbójnicy, czekając tylko skinienia Frydrycha, aby spotkać się z żołnierzami Jacka z Kobylan.

Ale Frydrych nie dał hasła. Samotny, w zwykłym stroju, spuścił się wąwozem ku dolinie i stanął w umówionem miejscu. Tam czekał go już Jacek z Kobylan. Stanęli do walki, tłumy ciekawych otoczyły dolinę i zaległy wały zamkowe; spotkanie miało być straszne; śmierć ostrzyła swą kosę, aby jednym zamachem przeciąć silną nić życia jednego z walczących. Okropny był widok tej walki, długiego pasowania się siły z siłą, wreszcie okrzyk radości na dolinie, a zgrozy z wałów zwiastował los bitwy. Frydrych leżał rozciągnięty u nóg zwycięzcy.

Jacek z Kobylan odzyskał Czorsztyn, drużyna Frydrycha rozpięchła się w różne strony, wszystko wróciło do dawnego stanu, ale nie wróciło szczęście w podwoje osieroconego rycerza, próchniał samotny jak dąb zostawiony w czystym polu, i nie mogąc oprzeć się trosce, pancerz i przyłbicę na habit benedyktyński zamienił.

Powieść o pięknej Anusi i o lokaju Grzesiu.

Właścicielka dóbr Wielka Grabia, pani Grab-ska zostawszy wdową, nie pozbyła się gospodarstwa,

lecz przyjąwszy zarządcę do pomocy, rządziła się sama dobrze, i wychowywała czteroletniego synka Julka z wielką troskliwością.

Dwór grabski wesoły był, bo służba liczna uprzyjemniała sobie czas wolny od pracy różnymi figlami i żartami.

Panna służąca, Anusia Chabielska, młoda, ładna i żwawa, a przytem skromna i pracowita dziewczeczka, umiała rozweselić każdego choć słóweczkiem, bo towarzyszył mu zawsze serdeczny uśmiech duszy niewinnej a dobrej.

Anusia, sierota po starym słudze domu państwa Grabskich nie była też bez posagu, odziedziczyła bowiem po ojcu tysiąc złotych, uciulanych oszczędnością, a złożonych w ręce pani dziedziczki, wraz z prośbą o opiekę nad sierotą. Nic więc dziwnego, że Anusia przy swych przymiotach i urodzie, stała się pożądaniem wielu kawalerów i celem różnych swatów.

Gospodyni folwarczna, pani Polkowska, pragnęła ją złączyć z swym siostrzeńcem, Antonim Kozłowskim, który był leśniczym w miejscu. Przygarniała więc do siebie dziewczynę, jak matka i rozszerzała przed nią pochwały dobroci, poczciwości i stateczności kochanego Antosia.

Serce Anusi biło przecież ze strachu a nie z miłości, na widok ogromnego dragala o twarzy fiołkowej barwy, z wąsiskami, jak dwie garście lnu wiszącemi. Liczko jej różowe, jako zorza poranna bladło, uśmiech martwiał na ustach, a do oczu cisnęły się łzy.

Pani Polkowska przekładała wprawdzie, że to nic nie szkodzi, że dobrze jest, gdy żona lęka się męża, że z nią tak samo bywało, bo nieboszczyk

tęższym jeszcze był mężczyzną, a gdy krzyknął, to szyby drżały w oknach, a przecież była szczęśliwą w małżeństwie i nie może dosyć opłakać straty. Serce Anusi nie dało się zmiękczyć i opierała się stanowczo wszelkim namowom.

Sprawa wytoczyła się nareszcie przed dziedzi-
czkę, a ta nie pozwalała przynaglać dziewczyny
i puściła sprawę w odwłokę. Anusia odżyła, usły-
szawszy wyrok zgodny z jej życzeniem, bo leśniczy
nie miał u niej łaski ani za grosz jeden. Mile ona
spoglądała na lokaja Grzegorza. Ten nie miał ni-
kogo, coby go swatał, ale za to umiał sam zalecać
się doskonale. Kiedy spojrzał na dziewczynę, to
krew w niej zakipiała, a wesoły był przytem i żar-
tobliwy, że boki trzeba było zrywać od śmiechu,
skoro wpadł na chwilę do kobiecego pokoju. Umiał
naśladować różne zwierzęta, a po ludziach tak po-
kazywał, że od razu każdy poznał kogo miał na
myśli. Odziewszy się chustką kobiecą, jakby płas-
zczykiem damskim, udawał panią dziedziczkę, Pol-
kowską, gości, a nawet samą Anusię. Naśladował
ruchy, ukłony, głos, śmiech i różne miny. Pani dzie-
dziczka lubiła także Grzegorza, bo umiał on przy-
podobać się i dogodzić we wszystkim, zgadując
myśli cudze, ale miał jedną szkaradną wadę. Oto
gniewliwy był nad miarę i mściwy bardzo. Skoro
mu ktoś dokuczył, choćby w małej rzeczy, nie mógł
już tego nigdy zapomnieć, i póty się nie uspokoił,
póki nie zemścił się w jakibądź sposób.

A co gorsza, że gdy mu złość taka zapruszyła
serce, nie jadł, tylko pił gorzałkę, chodził chmurny,
a tak mu źle z oczu patrzyło, że aż strach przeji-
mował. Gniew taki jest wielkiem nieszczęściem,
można go jednak pokonać na samym początku,

skoro się go poczuje w sobie. Grześ nie słuchał przestrog dziedziczki, lekceważył sobie jej rady tak długo, póki nader ciężkie doświadczenia nie nauczyły go hamować swej złości.

Pani Grabska kilkakrotnie groziła lokajowi oddaleniem ze służby, ale ponieważ lubiła dobrego z innych stron chłopaka darowała mu zawsze wszystko.

A Grześ dla Anusi ani myślał opuszczać Grabi, owszem radby w niej siedział do śmierci.

Polkowska mieszkała w oficynie, w bliskości kurników i chlewów, pilniej jednak czuwała nad dworską służbą niż nad kurami i indykami; dostrzegła przeto wkrótce, że Grzegorz nadto często zachodzi do kobiecego pokoju i zatrwożyła się o swego siostrzeńca na seryo.

Razu pewnego zaczęła strofować Anusię w ten sposób:

»Wcale niepięknie ze strony panny, przyjmować lokaja w swoim pokoju, to nawet nie przystoi takiej porządnej osobie.«

»A cóżem temu winna? Ja mu nie każę tu przychodzić a wygnać go nie mogę,« odparła sieroćta zawstydzona.

»Dla czego nie! on nie ma prawa zaglądać do kobiecego pokoju! on powinien jak pies w budzie siedzieć w kredensie. Czy on tu potrzebny albo co?« marudziła gospodyni.

Zaledwie wytoczyła się pani Polkowska, sapiąc i dysząc głośno, z izby Anusinej, gdy Grzegorz wsunął się jak kot cichaczem. Dziewczyna czerwona jak piwonia nie uśmiechnęła się po dawnemu, ale schyliwszy głowę nad robotą, milczała uparcie.

»A cóż to pannę napadło?« zagadnął lokaj z figlarnym uśmiechem. »Zkądże taki ostry wiatr zawiał?«

»Iść sobie. Dać mi pokój!« odezwała się pokojowa cierpkim głosem.

»Pi! pi! pi! Jeszczem panny w takim humorze nie widział. Pi! pi! pi!«

»Nie potrzebuję znosić przygryzków z powodu pana,« ucięła krótko Anusia.

Grzegorz teraz domyślił się, zkąd tak ostry wiatr zawiał.

»A to ta bestya baba narobiła mi bigosu!« wrzasnął i trzasnąwszy drzwiami, tak, że aż szyby zadrżały, wybiegł na podwórze jak szalony.

Anusia przyglądała mu się przez okno. Oczy jego czarne, zwykle słodczy pełne, błyszczały teraz jak wilcze ślepie z pod mrugających powiek. Usta czerwone jak wiśnie stały się fioletowe, na czole wystąpiły fałdy grube. Zrobiwszy kilka szybkich kroków, nierównych, stanął naprzeciw oficyny i pogroził pięścią ku oknu gospodyni.

Anusie przejął strach, skuliła się za franką okna swego i śledziła dalsze kroki Grzegorza.

Wtem pani Polkowska, podrażniona rozprawą z Anusią, ukazała się na progu swego mieszkania, a z jej ust sypały się nagany gniewne na dziewczkę od drobiu za to, iż dozwoliła jastrzębiowi porwać kaczę ze stawu.

»Ciszej babo! rozpościerasz się tu zanadto! Ciszej! bo ci kości potłukę na miazgę!« wrzasnął Grzegorz grożąc jej pięściami.

Pani Polkowska, wdowa po ekonomie, uważająca się za coś niezmiernie wyższego od lokaja,

skamieniała z podziwu i oburzenia. Bładość śmiertelna okryła jej lica, upadła i zemdląła.

Anusia przybiegła wtedy na jej ratunek, zaczęła cucić zimną wodą, a gdy to nie pomogło, poskoczyła do pani dziedziczki po wodę kolońską. Polkowska ocucona z zemdlenia wybuchła płaczem głośnym, sądziła bowiem, że została pohańbioną, zgubioną na zawsze.

»Takie słowa usłyszeć od lokaja...« szlochała załamując ręce w rozpacz, »prędzejbym się śmierci spodziewała! O mój Jezu! O Matko Najświętsza! A to świat się kończy, jak widzę, kiedy tacy hultaje, takie chamy śmiały wymyślać takim osobom jak ja! A czy on to nie wie kto ja jestem! Mój mąż był ekonomem, mój ojciec był ekonomem, nie jestem chamskie dziecko takie jak on! Cham z dziada pradziada.

Nadeszła pani Grabska, nie mogła przecież zrozumieć o co chodzi, ani dowiedzieć się co się stało, bo Polkowska nie pozwoliła nikomu ust otworzyć, a sama nie umiała opowiedzieć rzeczy, jak się należy, tylko powtarzała ciągle w kółko, że ona nie jest chamską córką i że prędzej byłaby się śmierci spodziewała, niż tego, co ją spotkało.

Dziedziczka kazała przywołać Grzegorza, spodziewając się z niego wydobyć prawdę, ale nikt go już znaleźć nie mógł, domyślano się, że poszedł do karczmy, jak to zwykł czynić w podobnych razach.

Pani Grabska dla uspokojenia gospodyni przyrzekła oddalić ze służby lokaja. Ale rok jego wedle ugody kończył się dopiero w grudniu, do tego więc czasu uraza pani Polkowskiej nie mogła znaleźć zadośćuczynienia.

Odtąd stósunki domowe dworu w Grabi utraciły dawną swobodę, a zamieniły się w kwasy i w skrytą a zaciekłą wojnę.

Anusia, strofowana przez dziedziczkę i Polkowską, nie chciała przyjmować w swym pokoju Grzegorza, a ten drażniony ciągle widokiem znienawidzonej gospodyni, z wesołego chłopaka zrobił się marsowatym gburem.

Ucichły głośne a wesołe śmiechy, lecz pod pozorną ciszą gotowały się jak w kotle, nienawiść i złość.

Położenie pogorszyło się jeszcze stokroć, gdy na św. Jan przybył nowy kucharz, kawaler także, i od razu rozpoczął zalecanki do Anusi. Piotr Odgrzewalski był młodym i statecznym mężczyzną. Znano go w okolicy oddawna, ponieważ przez kilka lat służył w sąsiedniej wiosce, i otrzymał ztamtąd chlubne świadectwa pracowitości i znajomości rzeczy. Oprócz kuchaństwa posiadał jeszcze znajomość ogrodnictwa i pszczelnictwa.

Anusia z pewnością nie została by nieczułą na tyle zalet Odgrzewalskiego, gdyby Grzegórz nie był się wkradł poprzednio do jej serca. Dziewczyna sama nie wiedziała, co się z nią dzieje, kucharz podobał się jej z przystojności i ze wszystkiego, co powiedział, a jednak gdy pomyślała, że Grześ zmartwiłby się jej postanowieniem, to płakała rzewnie, bo serce jej ścisnął ból jakby kleszczami.

Pani Polkowska z początku powzięła zamiar, skłonić Odgrzewalskiego ku sobie, ale spostrzegłszy wkrótce, co się dzieje w rzeczywistości, obrażona cofnęła się, tylko zdala a z ukosa przyglądając się nowym sprawom.

Grzegórz, z dwóch stron zagrożony w zamiarach swoich, stawał się coraz dzikszym, coraz nieznosińszym.

Razu pewnego mimo zakazu dziedziczki wszedł ponury do kobiecego pokoju. Anusia zerwała się z miejsca niespokojna.

»Czego pan chce? Po co tu pan przychodzi?« Wyszeptała błędąc nagle.

»Przyszedłem rozmówić się z tobą szczerze, panno Anno,« wyrzekł lokaj cichutko.

»A więc mów pan i wychódź ztąd, bo wiesz, że pani nie pozwoliła tu przychodzić...«

»Co tam pani!... przerwał Grzegórz, ja panią mam pod piętą!... pani ot tyła u mnie znaczy...« tu strzyknął palcami w powietrzu. Nie siedziałbym tu ani godziny, gdyby ciebie tu nie było... dla ciebie cierpię męki piekielne, dla ciebie waryjuję... i zginąć muszę, panno Anno!«

»Ech!« odparło dziewczę, »lepiejbyś pan Boga nie obrażał takim gadaniem! Cóż ja jestem? Biedna sierota i nic więcej! Po co tak mówić?«

»Dla mnie tyś królowa! Tyś pani! Tyś cały świat najpiękniejszy!«

Anusi serce zadrgało rozkoszą, kucharz nie umiał takich słów dobierać, oczy jej pełne łez zwróciły się ku mówiącemu.

»Nie pójdziesz za Odgrzewalskiego?« zapytał Grzegórz słodko, jak dziecię mówi do matki, gdy o przysmaczek prosi.

Dziewczę milczało, a łzy płynęły jej po licu.

»Nie, nie, nie pójdziesz za Odgrzewalskiego, szeptał młodzian pieśczośliwie, powiedz, że nie pójdziesz za niego,« błagał, złożywszy ręce jak do pacierza, »Anusio najmilsza! powiedz to słówko

a wszystko będzie dobrze. Od Nowego Roku postaram się o miejsce dla żonatego, pobierzemy się i będziemy szczęśliwi! Nie słuchaj nikogo. Każdy ma swój interes, odmawiając cię odemnie, ale inna jest Boska wola.»

Anusia płakała milcząc, ale w końcu po długich prośbach i zaklęciach wyszeptała cichutko:

»Nie, nie, nie pójdę za Odgrzewalskiego.«

Chłopak wybiegł z jej pokoju uszczęśliwiony i od razu nastąpiła w nim przemiana, stał się wesoły, figlarny, dogadzający wszystkim, aż było miło z nim żyć. Pani Grabska nawet zaczęła skrycie żałować, że mu służbę wypowiedziała, dotąd nie przyjęła nowego lokaja, lękała się trafić na pijaka lub złodzieja, bo to już się jej zdarzało.

Niedługo jednak trwały te szczęśliwe chwile. Odgrzewalski, rozmiłowany w Anusi po same uszy, prosił dziedziczkę, aby od kwartału przyjęła go z żoną, a o ślub naglił natychmiast dręczony także zazdrością, to o leśniczego, to znów o lokaja.

Anusia pojmowała dobrze, że wybierając Grzesia popełnia wielką nieroztropność; chłopak młody, trochę narwany, nie znalazł dotąd miejsca, i nikt zaręczyć nie mógł, że je znajdzie. Pani Grabska nie chciała żonatego lokaja, mówiąc, że to za kosztowna rzecz, że Odgrzewalskiego nie wzięłaby z żoną, gdyby oprócz kucharstwa, nie posiadał znajomości ogrodnictwa i pszczelnictwa. Przytem od pani Polkowskiej nasłuchiwała się tyle brzydkich rzeczy o lokajskim stanie, że choć sama była córką lokaja, nabrała wstrętu do tego zajęcia, które, prawdę mówiąc, jest tak dobre, jak każde inne, gdy je spełnia człowiek uczciwy.

Przywiązanie do Grzegorza z wyżej wymienionemi względami, kłóciło się w sercu Anusi, tak dalece, że płakała ciągle, a sama nie wiedziała, co postanowić ostatecznie.

Razu jednego, nagłona przez kucharza o wyznaczenie dnia ślubu, pobiegła do dziedziczki prosić o radę. Przejęta ważnością sprawy nie uważała wcale, że w czasie rozmowy jej z Odgrzewalskim, ktoś stojąc za oknem pokaszliwał niby na znak jakiś.

Pani dziedziczka siedziała z książką w ręku, gdy sierota wbiegłszy do pokoju, upadła do kolan swej pani.

»Cóż tam powiesz?« zagadnęła pani Grabska łagodnie.

»Wielmożna pani,« jękała Anusia płacząc, »wielkiej łaski dopraszam się. Nie gardź biedną dziewczyną, ale wysłuchaj i poradź, jak matka rodzona.«

»Mów, mów, moje dziecko,« odrzekła dziedziczka, składając książkę na kolanach.

Dotąd jasno przyświecająca dziurka od klucza, zaciemniła się nagle, jakby kto pode drzwiami stanąwszy, zasłonił ją.

Nikt tego nie zauważył a pani Grabska mówiła głośno, wyraźnie.

»Życzę ci dobrze, jak własnemu dziecku, powiem ci więc otwarcie moje zdanie; masz przecie rozum i zrób tak, jak ci będzie zdawało się lepiej. Otóż wedle mego przekonania nie powinnaś wahać się ani chwili w wyborze. Odgrzewalski, znany jest w okolicy, jako człowiek stateczny i poczciwy, a przytem posiadający znajomość kilku zajęć, co mu zapewnia miejsce wszędzie i zawsze. Nie bę-

dzie wam dobrze tu, to postaracie się o coś lepszego. Rzecz inna z Grzegorzem, dobry to chłopak, ale jak sama wiesz, ma on wady brzydkie, nieznośne, powiem, dla których może każdej chwili miejsce utracić. Naprzykład taka awantura z Polkowską! Czy to nie waryactwo wyzwąć kobietę za nic. Doprawdy, lękam się o niego, bo przypuszczam, że mu w głowie się psuje.»

Anusia, słuchając płakała, słowa dziedziczki powtarzały jej głośno to wszystko, co rozum szeptał po cichu; ona sama lękała się o rozum Grzegorza.

»Więc niechaj się dzieje wola Boża,« wyrzekła podniósłszy się z kolan, »pójdę za Odgrzewalskiego.«

Ucałowawszy ręce pani, obtarłszy lica z łez, skierowała się ku drzwiom. Jakiś przestrach ogarnął jej serce, gdy w przyległym pokoju, spotkała się oko w oko z Grzegorzem. Błady był jak trup, trząsł się jak we febrze, a chwyciwszy dziewczynę za ramiona, zgniótł jak silnie, iż sądziła, że kości w niej połamie.

»Daj mi pokój! co ty robisz!« błagała blednąc także jak kreda.

»Zabiję cię... zabiję... tę pokrakę... tego trupa... za jej rady... Niech sam zginę... niech mię djabli porwą... ale zemścę się!...«

»Grzesiu, Grzesiu, umiarkuj się,« szeptała Anusia, całując ręce jego w przestrachu.

»Umiarkuję się, jak was trupem położę!«

»O Boże! O wielki Boże!« jęczała dziewczyna, »puść mnie! Czego ty chcesz odemnie! Idź precz! Twoją żoną nigdy nie będę, bobyś mnie zabił w złości! Ja się ciebie boję...« przydała po chwili stanowczo, wyrывая się gwałtem z jego objęć.

»I ja już cię nie chcę, choćbyś sama prosiła: weź mnie! tobym cię kopnął jak psa. Nie chcę cię, niecierpię ciebie! Idź precz!«

To mówiąc pchnął ją tak silnie, że aż zatóczywszy się upadła na ziemię.

Na łoskot upadku pani dziedziczka przybiegła. Grzegorza już nie było, uciekł, a Anusia pchnięta gwałtownie, stłuczona mocno w ramię z trudnością podniosła się z podłogi.

»Co to jest?« pytała przestraszona pani.

»Zemdlałam,« odrzekła dziewczyna, nie chcąc oburzać pani Grabskiej na Grzegorza, dla którego w sercu żywiła zawsze przychyłność gorącą.

Pani przyniosła kieliszek wina dla otrzeźwienia osłabłej. Biedna Anusia potrzebowała go bardzo, bo trzęsa się cała jak osowy listek. Groźby młodzieńca znękały jej duszę strachem, a litowała się zarazem nad nieszczęśliwym, który biegł na oślep do zguby z jej przyczyny.

»O mój Boże! co to będzie z tego wszystkiego!« powtarzała z cicha załamując ręce z rozpaczą. »Już ja zginę przez tego człowieka, już ja muszę zginąć przez niego.«

Nakoniec postanowiła opowiedzieć wszystko Odgrzewalskiemu, prosić go o radę i opiekę nad sobą. Nigdy nie czuła tak mocno swego sieroctwa jak w owej chwili.

Kucharz właśnie oczekiwał niecierpliwie powrotu swej panny w kobiecym pokoju, pragnąc usłyszeć pomyślną odpowiedź co do wesela.

Spostrzegłszy wielką zmianę w twarzy Anusi, przestraszył się bardzo.

»Dobrze, że pana tu zastaję,« odezwała się dziewczyna zmienionym głosem.

»Czy pani dziedziczka jest przeciwna naszym zamiarom?« Zagadnął Odgrzewalski, pełen niepokoju.

»Nie o to chodzi, ale są okoliczności jeszcze gorsze,« odparła dziewczyna.

»Cóż takiego? O la Boga! Cóż takiego?«

»Grzegórz nie da mi iść za pana, powiada, że mnie zabije... jak ja za pana pójdę...«

»Ha! ha! ha!« zaśmiał się kucharz wesoło, »a to dobre! A cóż on ma za prawo do panny. Czy on to ojciec albo brat! ha! ha! ha! A to doskonałe!«

»Ale on grozi...«

»A niechże grozi, kiedy mu się podoba! Krzywdy nam przez to nie robi żadnej! Głupstwo z przeproszeniem! Wyśmiać się z tego i basta!«

Dziewczę westchnęło ciężko, nie mając ochoty do śmiechu.

»A więc pani dziedziczka przystaje na nasze wesele?« zapytał kucharz, zajęty tylko jedną rzeczą.

»Pani dziedziczka nie ma nic przeciwko temu.«

»A więc jutro zaniosę na zapowiedzi,« rzekł kawaler, całując w rękę swą pannę.

»Ech! to być nie może! Nie to być nie może!« szepnęła Anusia zafrasowana.

»A dla czegoż nie? Czy Grzegórz nie pozwala?« zagadnął kucharz złośliwie.

»Ja się boję Grzegorza,« szeptało dziewczę.

»A to dobre!« zaśmiał się na całe gardło Odgrzewalski, »jak to może być, aby taki łajdak stanął o naszym losie! Nie rozumiem panny. Panna majaczy chyba!«

»Ale to już widać takie panieńskie mody, przydał uśmiechając się żartobliwie, więc rozmówię się

z dziedziczką sam; zaniosę na zapowiedzi, i wszystko będzie pięknie, i panna Anna będzie moją żonką! Moją milutką żonką!»

Rzeczywiście nazajutrz przy wybieraniu na obiad kucharz rozmówił się z panią Grabską i dzień wesela został oznaczony.

*

*

*

Tymczasem Grzegorz oddał całkowicie duszę szatanowi zemsty. Posłyszawszy, że wesele ma się odbyć mimo groźb jego, opuścił całkiem służbę, pił w karczmie, wałęsał się po okolicy, kląć tak strasznie, że aż piekło się trzęsło ze śmiechu i powtarzał wciąż groźby zabójstwa dziedziczki i Anusi.

Wszędzie znajdują się ludzie źli, czyhający na sposobność popełnienia występku. Złodzieje wytrawni, kryjący się w sąsiednim miasteczku, słysząc te odgrążania Grzegorza, postanowili swoją pieczęć przy tym ogniu upiec t. j. okraść dwór grabski.

Herszt z pomiędzy nich, Trębacki, wyrobnik, przyczepił się do nawpół zwaryowanego chłopaka, jał go jątrzyć coraz bardziej, aż nakoniec przedstawił mu następujący projekt.

»My ci damy strzelbę, zaczaish się gdziekolwiek na dziedziczkę, zastrzelisz jak psa; a gdy dasz znak, przybędziemy z pomocą. Ty znasz kryjówki i kłucze, to nam wskażesz, gdzie czego szukać, a sam pójdziesz do tej przyszej kucharzowej i wyprawisz jej wesele.«

Zepsute serce Grzegorza rozradowało się na myśl o zemście tak szkaradnej.

»Tak, tak,« wyrzekł śmiejąc się po szatańsku, »wyprawię jej wesele takie, że jej ten kuchta nie

pozna po śmierci! Oj! sprawię jej wesele! Ha! ha! ha! jakie wesele!«

Na tym świecie tak się zwykle dzieje, gdy chcesz coś dobrego uczynić, to na każdym kroku spotykasz przeszkody i zawady, a miej tylko grzech na myśli, to on cię sam przyciągnie i zajdziesz tak daleko, gdziebyś zrazu iść nie chciał.

Tak też stało się z Grzegorzem; złe słowa, wymawiane w gniewie, wpłatały go w szajkę złoczyńców, którzy postanowili jego szal wyzyskać na swą korzyść.

Okoliczności zaczęły się też ku temu pomyślnie składać. Mały Julek zasłabł, pani Grabska, zaniepokojona pierwszym objawem niezdrovia, zawiozła dziecko do doktora.

Skoro Grzegórz, wałęsając się po miasteczku, spostrzegł powóz swej pani, a od stangreta dowiedział się, że ma powracać wieczorem, żądze zemsty rozgorzały w nim płomieniem. Pobiegnął natychmiast do Trębackiego.

»Dajcie mi strzelbę,« wyrzekł, »zaczaję się w lesie grabskim, i zastrzelę jak psa!...«

»Kogo? Jak?« pytał wyrobnik.

»A tę Grabską, tę niegodną, co mi szczęście popsowała! Przyjechała dziś do miasta, wracać będzie wieczorem... zaczaję się... strzelę i basta.«

»Ho! ho! bratku, źle mówisz,« przerwał Trębacki, »a stangret, co? Czy nie ma stangreta? co?«

»Stangret głupi chłopak, przeleknie się i uciecze.«

»A jeżeli cię pozna bratku? Masz ochotę dostać się do ciupy, jak widzę. Nie bardzo tam wesoło, mój kochany. Nie spiesz się, co ma wisieć, nie utonie.«

»Kiedy ja ją zabić muszę!«

»Bez naszej pomocy niczego nie dokonasz,« prawił złoczyńca, »posłuchaj mojej rady. Ja ci dam strzelbę, możesz zacząć się, a my będziemy w tyle za tobą, rozumiesz! Skoro powóz wyruszy z miasta, pojedziemy za nim na wózku, jakby nigdy nic. Rozumiesz! Jak ty strzelisz, my przypadniemy; pozwolimy stangretowi uciec. Ty poszukasz kluczyków od biurka, a w nocy dostaniemy się, wiesz już gdzie. A co, czy nie lepiej tak? Widzisz głupcze, chciałeś tylko siebie zgubić, gdy my pomożemy, wszystko robi się zgrabnie, cichutko, sza. I korzyść jakaś z tego przyjdzie nam i tobie. Nie trzeba nigdy prochu na wiatr wystrzelać, bo to szkoda, rozumiesz, co?«

Krew uderzyła do głowy Grzegorza, nie rozumiał wiele z mowy Trębackiego, wiedział tylko, że dostanie w moc swoją Anusię, a tego mu było potrzeba.

»Wyprawię jej wesele! Wyprawię jej wesele!« powtarzał w kółko jakby pijany.

Trębacki dał mu strzelbę nabitą i butelkę gorzałki, mówiąc:

»Na, masz to, jak ci zacznie robić się miękko na sercu, to gołnij a staniesz się zuchem od razu, rozumiesz bratku? Ja tu resztę urządzę, tak aby było dobrze. Tylko nie chybić! Przystąpić blisko, nie oglądać się na nikogo. Ja tu stangreta tak upoję, że mu wszystko we łbie do góry nogami się przewróci. Rozumiesz bratku? A widzisz, nie pomyślałeś o tem! A jakżebyś bez tego uniknął śledztwa? Tak nie można, mój kochanku; trzeba o wszystkim naprzód pomyśleć! Będę przy chłodaku, zaprzęgać pomogę, kiedy rozkaże, aby dziepieczka nie zauważyła z jakim dudkiem pojedzie. Aha! Widzisz, jaki ja mam rozum! Dziwisz się,

co nieprawda? Dla tego wszystko udaje mi się widzisz! Do takich sprawek trzeba mieć głowę co się zowie, ladajaki dudek niech się nie zabiera do tych rzeczy, bo tylko siebie zgubi i kwita!«

Grzegorz rzeczywiście zachwycony był rozumem Trębackiego, a wypiwszy z nim kieliszek okowity, powędrował do lasu grabskiego.

W czasie wędrówki rozmyślał ciągle o swej krzywdzie mniemanej, rozpominał sobie wszystkie słowa Anusi, jej uśmiechy, i obietnice, że nie pójdzie za Odgrzewalskiego. Potem przywiódł sobie na pamięć rozmowę dziewczyny z dziedziczką i krew zakipiała w nim.

»Gdyby nie ta dziedziczka,« mówił do siebie, »dziewczynisko nie byłoby mnie opuściło. Nie, ona mnie miłuje, ona chęć miała zaślubienia mnie, ale jak stara zaczęła jej na mnie wygadywać, żem waryat, tak zburzyła ją przeciwko mnie. Ha! poczekaj do-radnico! Przekonasz się teraz czym waryat! Jak mam być waryatem, niechże nim będę na prawdę. Zobaczysz, jak ci w samo serce kulę wpakuje!«

Myśl wciąż tak w kółko krążyła, a twarz paliły rumieńce, oczy błyskały jak świece. Doszedł do lasu, upatrzył sobie dół głębszy za krzakiem jałowcowym i ukrył się w nim, czekając na przejazd dziedziczki.

Było to w dniu upalnym, dusznym, żaden powiew wiatru nie ochłodził głowy oszalałej namiętnością i trunkiem. Cisza panowała wokoło, ptaki usiadły do snu na gałęziach, nocne chrząszcze, motyle i różne owady pobudziły się do życia, i czyhające na nie ropuchy, nietoperze opuściły swe kryjówki, goniąc za swą zdobyczą zapamiętałe.

Grzegórz leżał skulony w dole, nad słuchując uważnie na wszelkie odgłosy. Kilkakrotnie serce mu bić zaczęło, gdy usłyszał turkot pojazdu; wychylał się wtedy z poza krzaków, aby poznać powóz i konie, ale zawsze ukazał się obcy wózek, a oczekiwany zaprząg nie nadjeżdżał.

Noc coraz ciemniejsza pokrywała ziemię; dziwne niepokoje zaczęły zakradać się do duszy młodzika, strach ogarnął serce. Wtedy przypomniał sobie radę Trębackiego, wyjął z kieszeni flaszkę i łyknął sporo gorzałki. Zrazu pokrzepiło go trochę, ale wkrótce niepokój jeszcze silniej objął umysł. Wydało mu się, że coś szepce wokoło!

»Zbrodniarzu! co robisz nieszczęsny!«

Chciał przeżegnać się, lecz przypomniawszy sobie cel, dla którego znajdował się sam w lesie, powstrzymał podniesioną rękę. Wzniósł oczy w górę; na niebie jaśniały gwiazdy mrugające. Bóg ztamtąd patrzy, pomyślał Grzegórz i łzy puściły się z pod powiek. Serce biło głośno, nogi zesztyniały.

»Nie, nie, nie uczynię tego,« wyszeptał i podniósłszy się, wyszedł z dołu. Idąc ku miasteczku, przygarbił się, jakby niósł na plecach ciężar wielki, a to myśli jego stały się tak ciężkie. Wkrótce jednak zwróciły się w inną stronę, ku Grabi... ku Anusi... ku krzywdzie doznanej... Krew uderzyła znowu do głowy:

»Mamże to wszystko ścierpieć jak pies!« zawołał, »a ona ma być szczęśliwą z kucharzem swoim! Nie, tak się nie stanie, pókim żyw! Niech wie, że ze mnie żartować nie można! Przyłożę jej nóż do gardła i powiem: »masz wesele!«

Sięgnął do kieszeni i jął pić zapamiętałe gorzałkę. Natychmiast kroki jego stały się szybkie,

oczy zaświeciły w ciemności jak błyskawica, skierował się ku kryjówce poprzedniej i ułożył się znowu na czatach.

Teraz myśli zaczęły plątać się bezładnie, zapomniał o Odgrzewalskim, o dziedzicze, o weselu, o wszystkiem co go bolało. Przed oczyma stanęła dziewczyna ładna, świeża jak róża poranna. Oczy szafirowe patrzyły tak słodko, że aż wszystkie członki cierpły, a uśmiech odkrywał białe jak perły ząbki...

Wszystkie rozkoszne chwile spędzone na gawędkach i figlach stanęły w pamięci. Anusiu moja, tyś moja, nie pójdziesz za Odgrzewalskiego; szeptał Grzegórz a sen zamykał jego powieki, wkrótce wśród ciszy leśnej rozlegało się głośne chrapanie pijanego człowieka.

Krótką noc letnia przemknęła prędko; jasne smugi zaczęły malować się na szarem tle nieba, gwiazdy bladły i chowały się w głębi błękitu, nareszcie złota korona słoneczna wychyliła się z cieniów ziemi.

Leśniczy, wstawszy rano, podążył do lasu obejrzeć poręby, czy w nocy nie poczyniono szkody, ponieważ po rosie najłatwiej trafić na szkodnika. W olbrzymiej dłoni trzymał kij sękaty, usta jego fioletowej barwy, przysłonięte wąsami żółtego koloru, szeptały poranne pacierze.

Szedł tedy, a kto zgadnie czy przypadek czy wola Boża poprowadziła go właśnie tuż obok dołku za krzakiem jałowcowym. Chrapliwy oddech rozlegał się wśród ciszy poranku, leśniczy zatrzymał się, spojrzał i stanął zdumiony, spostrzegłszy Grzegorza ze strzelbą w dłoni. Na kogo ta szelma czatowała? pomyślał, w tejże chwili przyszły mu na myśl po-

gróźki, wygłaszane na dziedziczkę, jej wyjazd do miasta, spodziewany powrót przed wieczorem i niepokój ciotki Polkowskiej z powodu nie przybycia pani. Nachylił się, wyjął strzelbę z ręku śpiącego, a potem wrzasnął nad jego uchem:

»Co ty tu robisz gałganie?«

Grzegórz otworzył oczy, żwawy jego umysł natychmiast pojął całą trudność położenia, w jakim znalazł się tak niespodziewanie.

»A co?« odrzekł, »czatowałem na zwierzynę i usnąłem jakoś.«

»Albo to kto na zwierzynę czatuje przy drodze publicznej?« zakrzyknął leśniczy groźnie, »co ty sobie myślisz, że ja głupi, że uwierzę lada czemu? Jeźlibyś chciał naprawdę upolować sarnę lub jaką inną sztukę, to usiadłbyś nad polem kartoflanem, kędy zwierzyna na żer chodzi, a nie tu nad traktem. Powiedz natychmiast zbóju na kogożeś czatował. Na dziedziczkę co? Wstawaj natychmiast i chódź ze mną do gminy, gałganie jakiś!«

Grzegórz lękał się silnego draba, uzbrojonego w kij sękaty i w strzelbę, wstał więc posłuszny i nie mówiąc ani słówka, poszedł, gdzie mu iść kazano. W drodze rozmyślał nad wytłomaczeniem się, ale nie kleiło mu się ono zgrabnie. W gminie popłatał się w zeznaniach, strach popłatał jego myśli. Zatrzymano go w urzędzie i wkrótce odesłano do miasta do sądu kryminalnego.

Grzegórz dostał się do więzienia, pierś jego młoda, niezepstą rozparł żal, zgryzoty sumienia zaczęły dręczyć serce. W celi więziennej nie dostał gorzałki dla nabycia zuchwalstwa. Wszelka energia opuściła go w pierwszym śledztwie, z płaczem wy-

znał prawdę i pociągnął jeszcze Trębackiego do odpowiedzialności.

Ten zatwardziały złoczyńca wypierał się wszystkiego, postawiono go więc do konfrontacji z Grzegorzem na sali sądowej.

»Czego chcesz odemnie człowieku? Ja ciebie nie znam,« wymówił Trębacki, biały jak kreda, stanąwszy oko w oko z Grzegorzem.

»Niechaj szynkarka Larecka świadczy, czy nas nie widywała razem, odrzekł spokojnie lokaj.

Wyrobnik posiniał jak wątroba; wezwany świadek, szynkarka Larecka, zeznała pod przysięgą, że widywała tych ludzi często razem.

Grzegórz jał opowiadać swoją historię, jak umiłował Anusię, jak ona przyrzekła mu, że nie pójdzie za Odgrzewalskiego, jak za radą pani dziedziczki zrobiła odmienne postanowienie, jak on, podstępchawszy naradę ukochanej z panią Grabską, poprzysiągł zemstę, jak nie mógł patrzeć potem ani na Anusię, ani na panią, ani na kucharza, dla tego opuścił służbę, pił i wygadywał po pijanemu odgróзки różne, jak Trębacki podsyczał jego gniew wściekły, jak podmawiał do zemsty, a na końcu dał mu strzelbę i ułożył plan napadu na dwór w celu rabunku. Cała sprawa stała jasno, twarz Grzegorza, zalana łzami skruchy, świadczyła o prawdzie słów. Na nic nie przydały się wykręty i zapierania Trębackiego, obydwaj zostali osądzeni za winnych i skazani na więzienie.

Grzegórz na rok jeden i sześć miesięcy, a Trębacki za podniecanie i pomoc w zbrodni, został zesłany do ciężkich robót w Syberyi. Nic tu nie pomógł rozum jego, w który tak ufał, okazało się, że sztuki takie udają się tylko do czasu, a w końcu

wydać się muszą i zaprowadzą tam, gdzie nikt dobrowolnie nie wybiera się.

Julek rozchorował się mocniej, pani Grabska, lękając się chłodu wieczornego, przenocowała w hotelu w mieście, i ta okoliczność popłatała wszystkie plany złoczyńców, ocaliła biedną kobietę od śmierci, a dzieciątko od sieroctwa. Zbrodniarze w rachubach swoich zapomnieli o dziecku, nad którym czuwała Opatrzność. Anusia dowiedziawszy się, jakie nieszczęście miało wyniknąć z jej powodu, zatrwożyła i zasmuciła się bardzo. Żałowała także Grzegorza, a o weselu z Odgrzewalskim przez długi czas słuchać nie chciała, i dopiero w roku następnym, gdy potrochu wspomnienie zaszłych wypadków zbladło w jej pamięci, gdy kucharz coraz mocniej rozmiłowany błagał natrętnie, przyzwoliła na małżeństwo i została Odgrzewalską.

Pani Grabska, widząc tylko w miłosierdziu Bożem ocalenie swoje, modliła się z pokorą i wdzięcznością i odtąd przez całe życie strzegła się otaczać służbą bezzenną, wiedząc z doświadczenia, że najczęściej z umiłowania dziewczyny powstają zwady między mężczyznami.

Grzegórz, odsiedziawszy więzienie, nie mógł już potem powrócić do dawnego zajęcia, bo nic dziwnego, że wszędzie państwo lękali się przyjąć człowieka, nad którym ciążyły przestępstwa godne tak długiej kary, do takiego zbliżenia, w jakim zostaje lokaj. Biedak, dostawszy się do Warszawy, musiał szukać zarobku jako tragarz, t. j. roznosiciel ciężarów po mieście. Ożenił się potem, ale życie jego nie było już nigdy takie wesołe, jak to w Grabi bywało.

Takie smutne były skutki niepomiarowanego gniewu, któremu Grzegórz ulegał, nie usiłując poko-

nać go zawczasu, gdy poczuwał pierwsze porywy w sercu.

Aniela Milewska.

U w a g a. W powyższej powieści zachodzą wprawdzie złodzieje, ale wiadoma rzecz, że złodziejstwo jest pierwszym stopniem zbójstwa, a Grzegórz czatując w lesie z flintą, był już na pół zbójcą.

Łupina orzechowa.

Komedyjka na pół zbójcka z tańcem i śpiewami.

OSOBY:

Pan Dembowski,	Boleś,
Jaś,	Marynia,
Anusia } jego wnuczki.	Zbójca, dwóch parobków.

Widownia przedstawia pokój Dembowskiego.

SCENA I.

D e m b o w s k i (*siedzi w krześle*). Dobrze to powiadają, że starość nie radość. Człowiek co dzień słabszy, tem więcej, że mnie różne choroby nękają. Oto najprzód astma, tj. dychawica, duszność, która mnie tak męczy, że nieraz zdaje mi się, iż się uduszę. Potem ból w kościach, gościec po dawnemu, a jak dziś mówią reumatyzm. Nie będę zresztą wyliczał tych różnych dolegliwości, bo to rzecz dla mnie przykra a dla publiczności nudna. Dziś dołączyło się coś gorszego t. j. jakaś nieokreślona trwoga, jakoby przeczucie grożącego mi nieszczęścia. Boże! Boże! co to ma znaczyć? Zawołam wnuczęta, może ich wesoły szczebiot odpędzi odemnie ponure myśli (*dxwoni, wchodzi Jaś i Anusia*).

SCENA II.

Dembowski, Jaś i Anusia.

J a ś. Dziadzio dzwonił.

A n u s i a. Co sobie kochany dziadek życzy?

D e m b o w s k i. Chodźcie tu bliżej, lube dzieciaczki. Bawcie się wesoło, tylko niezbyt głośno, bo wasza niewinna wesołość sprawia ulgę memu zboląlemu sercu.

A n u s i a. Wie dziadunio co?

D e m b o w s k i. Nie wiem dziecko kochane.

A n u s i a. Oto zawołamy Bolesia i Marynię co mieszkają nad nami, dziadzio będzie tak dobry i udzieli nam orzechów, oraz pierników, a dopieroż to będzie uciecha. Dziadku kochany, spełnij prośbę twej wnuczki (*całuje go w rękę*).J a ś (*całuje także dziadka w rękę*). I ja popieram prośbę Anusi.

D e m b o w s k i. Dobrze, dobrze, co z wami robić. Idź, Jasiu, do góry i poproś rodziców Bolesia i Maryni, aby im pozwolili zejść na dół. Kłaniaj się odemnie, a ty, Anulko, wyszukaj orzechów i pierników. Są w szafce na pierwszej półce.

A n u s i a (*idzie do szafki*). Z największą chęcią, wyszukam. Są, są orzeszki i pierniki. Leży też tu dziadek do orzechów. Dziwna to rzecz, że to żelazne narzędzie zowie się także dziadkiem.D e m b o w s k i. Ma on ostre zęby, skoro rozłupuje orzechy, a ja już mam tylko kilka zębów i to bardzo lichych (*wchodzi Jaś z Bolesiem i Marynią*).

SCENA III.

Ciż, Boles i Marynia.

J a ś. Prowadzę dzieci, które się bardzo cieszą na dzisiejszy wieczór.

B o l e ś i M a r y n i a. Dobry wieczór? (*całując rękę Dembowskiemu*).

D e m b o w s k i. Dobry wieczór, kochane dziateczki.

B o l e ś. Rodzice się kłaniają, dziękujemy za pozwolenie bawienia się z Jasiem i Anusią.

M a r y n i a. W samą porę przyszło zaproszenie, bo nie kleiła się nam zabawa, t. j. mnie i Bolesiowi.

D e m b o w s k i. Bawcie się dzieci wesoło. Ja słuchać i przyglądać się będę waszym zabawom, a przy was niejako odmłodnieję i rozproszę tęskne myśli.

A n u s i a. Oto orzeszki i pierniczki, których nam dziadek udzielił.

J a ś. Stawiam wniosek, abyśmy zjedli po pierniku, a potem śpiewać będziemy i deklamować wiersze. Tylko nie wiem czy się na to zgodzą nasi drodzy goście.

B o l e ś. Co do mnie, godzę się z największą ochotą.

M a r y n i a. Ja także.

A n u s i a. I ja głosuję za wnioskiem mego braciszka.

J a ś. Niech Marynia zacznie, jako najmłodsza.

M a r y n i a. Tylko że w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć żadnego wierszyka. Ale poczekajcie chwileczkę, może mi przyjdzie co na pamięć. Już mam, wygłoszę piękny wiersz Teofila Lenartowicza.

Aniele, Strózu duszy,
Z pokorą błagam cię!
Gdy mnie myśl ziemska wzruszy,
Ach, nie opuszczaj mnie!

Niech pod skrzydłami twemi
 Złych marzeń pierzchnie rój,
 Ach wspieraj mnie na ziemi,
 Aniele, stróžu mój!

Jak blady promyczek świeci
 Twój obraz w nieba tle,
 Ku tobie duch mój leci,
 Ach nie opuszczaj mnie.

Ty mi radami swemi
 Pociechy zlewasz zdrój,
 Ach wspieraj mnie na ziemi
 Aniele, stróžu mój!

Dla ciebie myśli moje,
 I me najlepsze dni,
 Gdy czuję tchnienie twoje,
 Z radości serce drży.

Niech chęci me z twojemi
 Uplotą jeden zwój,
 Ach wspieraj mnie na ziemi
 Aniele, stróžu mój!

B o l e ś. Teraz ja wygłoszę wierszyk.

Błogosław, Boże, rolnika dłoni,
 Nie dopuść nigdy nań głodu.
 Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;
 Gdy zbiera, użyż mu chłodu.
 Błogosław ludziom, którzy Twą wolę
 Spełniają w bratniej miłości,
 Jasną im ciszą opromień dolę,
 Twój anioł niech u nich gości.

A n u s i a. Ja wam zaśpiewam krakowiaka,
 którego ułożył Kazimierz Brodziński. Spiewajcie
 razem ze mną.

Rycerz to niewielki, Ojczyźnie ubliża.
 Który nad stan wszelki rolnika poniża,
 Dobry jest nasz chłopiek; dłoń jego obroni,
 Zywi jego snopek, w potrzebie zasłoni.
 Zbożem jego kosy posuta jest ziemia,
 Tak on na niej kłosy, jak wawrzyn rozplenia.

Z wółkiem on w pokoju uprawia nam błonie,
Na koniku w boju, pospiesza w obronie.

Te warowne grody, te pańskie pałace,
Jego to zachody i jego to prace.

W pomoc kraju biegał on z pańskimi syny,
Wszędzie on należał prócz zysku i winy.

J a ś. Wiecie, że największą wadą naszego
ludu i wogóle naszego narodu jest pijaństwo, dla
tego zaśpiewajmy piękną pieśń o trzeźwości.

Dosyć bracia łać szampana,
Dziś od chłopka aż do pana,
Trzeźwym się być godzi;
Niech toastem będzie zgoda,
Trunkiem naszym czysta woda,
Ludzkość się odrodzi.

Wy chwalicie tokaj stary,
Co to niegdyś nam w puhary,
Lała Sasów moda;
Lecz od wina, lecz od miodu,
Co ojcowie pili z młodu,
Najstarszą jest woda.

Stary strumyk zawsze świeży,
Bo od wieków zawsze bieży
I spragnionych chłodzi;
Czystym trunkiem ludzi poi,
W czystym zdroju kwiaty dwoi,
Bądźmy jak on młodzi.

Bóg chce, trzeba byśmy chcieli,
Byśmy wszyscy wytrzeźwieli,
I siedzieli doma;
Trzeba drugim złe przebaczyć,
Zajrzeć w siebie i zobaczyć,
Gdzie belka, gdzie słoma.

A Bóg ludziom dobrej wiary,
Którym dał już cuda pary
I elektryczność;
Na to i na drugie życie,

Jak mądrości swej odbicie,
Da wytrwać w trzeźwości.*)

D e m b o w s k i (*klaszcząc w ręce*). Bardzo mi się podobały wasze piosenki i wierszyki, zwłaszcza, że mówiłyście i śpiewałyście wyraźnie i dobitnie. Teraz się pobawcie.

A n u s i a. Dalej do pierników i orzechów (*dzieci rozłupują orzechy i jedzą pierniki*).

D e m b o w s k i. Bardzo was proszę, dzieci kochane, nie rzucajcie łupinek od orzechów po ziemi, bo nieprzyjemne wynika uczucie, jeżeli się nogą nastąpi łupinkę, która potem trzask wydaje.

J a ś. Będziemy uważali.

B o l e ś. Tak, tak, starać się będziemy, aby ani jedna łupinka nie upadła na ziemię.

M a r y n i a. Jakie to ładne i duże orzechy.

A n u s i a. Nie dajcie się prosić, kochani goście, ale jedzcie, gdyż potem nastąpi nowa zabawa.

B o l e ś. Czy nie jemy? zjadłem już dwa pierniki i trzy orzechy.

M a r y n i a. Ja nawet więcej, bo cztery orzechy i dwa pierniki.

J a ś. Skoro się pożywimy, będziemy się bawili, ale w co?

A n u s i a. Sądzę, że moglibyśmy trochę potańczyć.

B o l e ś. Piękna myśl.

M a r y n i a. Jestem także za tańcem!

J a ś. I ja także, ale pod warunkiem, że dadzą pozwolenie.

*) Można też inną pieśń odpowiednią zaśpiewać. „Piosennik Jutrzenki“, wydany przez J. Chociszewskiego podaje 30 przeszło przeciw pijaństwu i karciarstwu.

D e m b o w s k i. Owszem tańczcie, dzieci kochane.

A n u s i a. Dalej w tany! Ty Jasiu z Marynią w pierwszą parę, a ja z Bolesiem w drugą (*dzieci tańczą, mogą także przy tańcu śpiewać*)

J a ś. Teraz sobie trochę odpoczniemy.

A n u s i a. Zadam wam łamigłówkę.

M a r y n i a. Ach tak, bardzo lubię rozwiązywać łamigłówki.

A n u s i a. A więc posłuchajcie: »Co to jest? Jeden nie ma wcale zębów, a gryzie twarde orzechy, drugi zaś posiada wprawdzie zęby, a nie może rozłupać nawet orzecha. Obydwaj znajdują się w tym pokoju.«

B o l e ś. Zdaje się, że to bardzo trudna zagadka.

D e m b o w s k i. Doskonale się Anusia spisała bo sama tę łamigłówkę ułożyła.

M a r y n i a. Już wiem.

J a ś. Słuchamy odgadnięcia.

M a r y n i a. Jest to dziadek żelazny do łupania orzechów i wasz kochany dziadulek, który bardzo kocha dzieci.

A n u s i a. Dobrześ odgadła, Marynieczo.

D e m b o w s k i. Teraz możecie kochane dzieci iść do drugiego pokoju i bawić się po cichu n. p. w »Niebo« albo w »Lecha«, a ja się może trochę zdrzemnę. (*Dzieci całują Dembowskiego w rękę i odchodzą mówiąc: „Dobra noc“.*)

D e m b o w s k i. Dobra noc. Zdrzemnę się w krześle, bo do łóżka jeszcze za rychło (*po małej chwili drzemie*).

SCENA IV.

Z b ó j c a (*z nożem w ręku ogląda się na wszystkie strony*). Ów starzec w krześle śpi spokojnie, nie przeczuwając, że za chwilę życie przestanie. Muszę go zabić, aby zrabować pieniądze, bo dobrowolnie ich nie da. O przekłeta wódka i karty, które mnie popychają do zbrodni. Mam być mordercą? Boże, Boże, nie jestem godzien wzywać Twego świętego Imienia, skoro do tego stopnia zgałganiałem, że godzę na życie bliźniego. Chciałbym się cofnąć, a nie mogę, bo muszę mieć koniecznie pieniądze, abym mógł się zapijać i grać w karty. I na cóż się wahać, niech ten nóż... ha, cóż to? (*słychać trzask łupiny od orzecha, którą zbójca nogą zmiążdżył*).

SCENA V.

Dembowski, zbójca, Jaś, Anusia i dwaj parobcy.

D e m b o w s k i (*budzi się*). Coś trzasło. To jakiś człowiek z nożem (*bierze rewolwer i strzela*).

Z b ó j c a. Panie, zmiłuj się nade mną i nie strzelaj do mnie.

D e m b o w s k i. W tej chwili idź do drzwi i klęknij, skoro nie usłuchasz, strzelę w łeb jak psu, bo teraz strzeliłem tylko na postrach (*zbójca udaje się do drzwi i klęka*).

Z b ó j c a. Panie Dembowski, proszę o przebaczenie (*wpadają Jaś i Anusia, oraz dwaj parobcy, którzy się rzucają na zbrodniarza i wiążą go*).

J a ś. Dziaduniu, co znaczy wystrzał, czego chce ów człowiek?

A n u s i a. O Boże, jak jestem przerażona! Czy nie stało się dziadkowi co złego?

Dziembowski. Nie, nie, Bóg czuwał nade mną.

Parobek. Proszę pana, zwiąaliśmy zbrodniarza, co teraz mamy począć?

Dembowski. Zaprowadzić na policję i powiedzieć, że ten człowiek chciał mnie przebić nożem.

Zbójca. O przekłeta wódka! o przekłete karty! wyście mnie popchnęły do zbrodni.

Parobek. Nie czas wyrzekać, dalej przebrzydły zbroju, pójdiesz do więzienia (*wychodzą*).

Dembowski. Wiecie, kochane dzieci, co mnie ocaliło?

Jaś i Anusia. Nie wiemy.

Dembowski. Ot łupinka od orzecha. Jedno z was upuściło nieumyślnie łupinkę, zbójca na nią nastąpił, rozległ się trzask a ja się obudziłem. Na szczęście leżał obok rewolwer; strzeliłem, a wnet nadeszła pomoc. Ocalił mnie Bóg za pomocą tej małej łupinki. O Boże, jak jesteś dobrym i łaskawym! Uklękajcie dzieci i zmówcie paciorek na podziękowanie Bogu za ocalenie mi życia. (*Dzieci klękają i mówią: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.”*)

Zasłona spada.

Uwaga. Wiersze i piosenki, zachodzące w powyższej komedyjce, mogą być inne, albo można dodać jakiegokolwiek. Jeżeli się gra w niewielkim pokoju, należy zamiast rewolweru, użyć pistoletu dla dzieci, bo mogliby się słuchacze przerazić. Tańca trzeba się poprzednio wyuczyć. Do śpiewu i tańca należy, jeżeli to jest możliwem, przygrywać na fortepianie lub na skrzypcach, bo muzyka wywiera przyjemny wpływ na słuchaczy. W razie potrzeby można dodać więcej lamigłówek.

Zbójcy w Galicyi.

W r. 1846 działy się straszne rzeczy w Galicyi. Lud wiejski, podbechtany przez urzędników austriackich, rozpojony przytem przez żydów gorzałką, w niektórych okolicach zamieniał się w zbójców, bo wieśniacy, uzbroiwszy się w kosy, cepy, widły i t. d. napadali na dwory, mordując szlachtę i dworskich ludzi. Dowódcą zbójckiej bandy był chłop, Szela, zbrodniarz jakich mało na świecie. W zamku Marienbadzie rodziny książąt Metternichów, znajduje się obraz Szeli, bo ks. Metternich, najwyższy urzędnik cesarski w Wiedniu, podał myśl, aby chłopstwo w Galicyi podburzyć przeciw panom.

Rzeź galicyjska dostarcza wymownego dowodu do czego doprowadzą ciemnota i pijaństwo.

W niektórych miejscach chłopci byli odparci i pobici. Mieszczanie w Bobowej niedaleko Babiej góry odpędzili zbójcką bandę od miasta. W pewnej wsi galicyjskiej żył właściciel dóbr, Zakrzewski, który mając wiek podeszły, zawezwał do siebie syna, służącego w ułańskim pułku austriackim.

Na wezwanie ojca młody Zakrzewski wziął dymisję ze służby, powrócił do domu i zamieniwszy miecz na lemiesz, z żołnierza został rolnikiem. Ale otoczył się służbą z samych ułanów wysłużonych złożoną; zgromadził ich sobie we dworze jedenastu.

Nastał rok 1848, gdy austriacki rząd, a zwłaszcza galicyjska jego biurokracya zasmakowawszy w grabieżach r. 1846 miała ochotę w całej Galicyi rzeź powtórzyć. Kazano chłopom się zbroić, kosy przekuwać na sposób wojenny, co ogromnie gniewało naszego ułana, który pojmował tylko woj-

sko odpowiednie do tłumienia rozruchów rewolucyjnych, gdyby jakie wybuchnąć miały, ale posiłkowanie się niesforeną tłuszcą dziczy, uzbrojonej do zbrodni tylko, uważał za niecną postępek. Otóż przyszła mu myśl dowcipna rozbrojenia całej swej posiadłości. Wybrał się wieczorem na objazd domów i zaczawszy od pierwszego domu, nim noc minęła, całe trzy wsie rozbroił, broń na wozach zwiózł do dworu.

Chłopi oddawali kosy i piki, bo każdy z nich sądził, że to tylko czynią jemu jednemu, ale gdy na drugi dzień jeden drugiemu się zwierzył, wyszła rzecz cała na wierzch. Wściekłość opanowała chłopstwo za taką zniewagę, a więc do karczmy na naradę. Tam stanęło, aby się zemścić za żart, spalić dwór a właściciela zabić. O skutku narady donos był zaraz a Zakrzewski w odpowiedzi posłał im swoje przeciw temu postanowienie.

Przyznawał im, że zamiaru chłopi dopiąć mogą, ale nim to nastąpi, a oni od zamiaru nie odstąpią, on pośle do Stanisławowa, o pomoc do gwardyi narodowej i z nią razem wszystkie swoje wsie spali ze szczerem, wymorduje co żywego spotka a jeżeli zginię przytem i dobytek straci, nic sobie z tego robić nie będzie, bo jest kawalerem bez żony i dzieci.

Znowu były narady w karczmie, jedni chłopi radzili dać spokój, przypuszczając spełnienie pogróżek, drudzy jednak podszczuwani przez urlopników przeważali swoim zdaniem, aby dwór spalić, Zakrzewskiego zabić i to zaraz wykonać, nim będzie miał czas zawiadomić miasto Stanisławów. Co tchu więc rzuciło się chłopstwo do chałupy po narzędzia do zbrodni; kos wyprostowanych nie było ale mieli jeszcze cepy, widły, drągi i kosy do sieczenia siana i z tem tłumnie sunęli przed dwór.

Rozkład wsi był taki, że środek stanowiła dolina, przez którą płynęła rzeka a na wzgórzach za mykających dolinę, stały chałupy; po drugiej stronie dwór. Przystęp był tylko jeden do dworu i to ciasny. Właściciel dóbr tymczasem kazał bramę zatarasować, uzbroił siebie i swoich 11 ułanów, a siadłszy na konie dał im odpowiednią instrukcyą. Przed bramą roilo się koło 4 tysięcy rozjuszonego chłopstwa, do nich przed bramę wyjechał Zakrzewski i jasno im rzecz własnemi ustami wykladał. Zeby sobie poszli do domów, jego nie zaczepiali, bo on łatwo swego życia nie sprzeda. We 12 z ułanami swemi broniąc się mężnie, zabije wiele chłopów, którzy mają żony, dzieci, a on gdy zginie, mniejsza o to, wszak służąc w wojsku życie swoje wiele już razy ryzykował a zresztą raz i tak umrzeć musi.

W odpowiedzi na jego słowa wzniósł się dziki okrzyk, zabrząkły widły i cepy w powietrzu i w najbardziej zbitej masie rzucili się chłopci na Zakrzewskiego. Wtedy spał on konia i rąbał na wszystkie strony pałaszem a za nim to samo czyniło 11 ułanów.

Po kilku minutach on z 10 ułanami biegł wolny ze zbaczonymi szablami a na ziemi leżało 170 trupów chłopskich i wielu bez nosów, bez uszów, z przeciętymi policzkami lizało się po tak piorunem odbytej kampanii. Jednego a ostatniego ułana uchwyciło chłopstwo i tak rozniosło na śmierć, że tylko krwawy ślad z niego został.

Dopiero potem powstał płacz i jęk rozpaczliwy, gdy baby poczęły szukać swoich mężów, swoich synów, nuż przekleństwa dla doradców napadu, nuż żał, że zdrowej rady Zakrzewskiego nie usłuchano. Powodem tak wielkiej liczby zabitych, było ciśnienie

się chłopów w kupe, że nie mogli użyć swej broni a każde cięcie wprawionego rębacza, zadawało śmierć lub rany kilku ludziom naraz.

Potem Zakrzewski udał się do sądu, a że jako były wojskowy austriacki miał u rządu inne oko niż inni dóbr posiadacze, więc chłopci jeszcze odbeczeli kryminałem, co uszli śmierci. Proces im wytoczony przyznał słuszość Zakrzewskiemu a chłopom kary więzienne wyznaczył.

Tyle to może odwaga, przytomność umysłu i determinacya na doraźne pokonanie przeciwności, bez odwoływania się do półśrodków, które zwykle każdą sprawę gubić zwykły.



Powieść o rozbójnikach osiadłych niegdyś nad jeziorem Slesińskim.

Ułożyła Aniela Milewska.



W początkach 15-go stulecia, losy dawnej Polski zakwitały pomyślnością. Państwo przez wciele nie księstw Litwy i Rusi, rozszerzyło swe granice aż po Nowogród i Psków w stronie północnej, a na południe aż po Krym sięgało.

Roilo się w kraju od książąt lennych, litewskich, ruskich, mazowieckich, ślązkich, pomorskich i innych. Gospodarowie Multan i Wołoszczyzny chronili się pod opiekuńcze skrzydła Polski, a nawet nad Renem zamieszkały książę Bergu, słysząc o wielkości państwa tego, upraszał o opiekę nad swemi posiadłościami.

Posłowie różnych mocarstw przesiadywali w Krakowie, różni monarchowie odwiedzali tę stolicę, co wszystko przyczyniało się do bogacenia ich mieszkańców.

Król Władysław Jagiełło był to pan dobry, sprawiedliwy, ulegał radom rozumnych mężów, szanował ludzi cnotliwych.

Słowem, wszystko Pan Bóg dał narodowi naszemu, co się zowie pomyślnością ziemską, a jednak ludzie źli, przewrotni, nikczemni, psuli porządek wewnątrz i dopuszczali się krzywd względem bliźnich swoich.

Inne były obyczaje, inne wyobrażenia, ale cierpienia i łzy ludzkie zawsze jednakie.

Rycerze chrześcijańscy w początkach szukający po świecie uciśnionej niewinności, aby ją wydobyć z pod przemocy gwałcicieli, z czasem zamienili się sami w rozbójników, napadali na podróżnych, obdzierali ich i zabijali nawet.

Najgorzej pod tym względem działo się w Niemczech. Kraj górzysty, niedostępny, najeżony skałami i przepaściami dogodny był dla rabusiów owych rycerzy.

Rycerz rozbójnik zbudował sobie zamek na skale urwistej, otoczonej wodami bystrej rzeki i ztamtąd znanemi sobie ścieżkami spuszczał się na drogi, napadał podróżnych kupców i obdzierał ich z bogactw.

Po dziś dzień podróżując po owych krajach, widzieć można szczątki zamczysk, przyczepionych do skał nagich, urwistych.

Równiny polskiej ziemi mniej były dogodne dla takich zbójców, ale i tu znajdowały się miejsca ustronne, pośród lasów, jezior, bagien i strumieni. Takim schroniskiem dla rabusiów było w owym

czasie, miejsce zwane dziś »Przewłokami«, kędy pochyna się jezioro Ślesińskie. W obszernej kotlinie otoczonej wysokimi wzgórzami, zasianej pagórkami znacznej wysokości, osiedlona obecnie ludność małej kolonijki z wielkim trudem uprawia ziemię, obsadza ziemniakami owe wzgórza, zowiąc je wyspami zbożeckimi, a w czasach wolnych od pracy opowiada sobie powieść następującej treści:

Te pagórki, dziś suche, były niegdyś wysepkami lesistemi, wśród obszernego jeziora, łączącego się z Gopłem i z rzeką Wartą. Wody stanowiły w owym czasie najdogodniejsze szlaki dla podróżnych. Jezioro zatem roiło się różnego rodzaju statkami, łodziami i tratwami naładowanymi zbożem, inwentarzem, wełną i ludźmi.

Wiadomo jest, że kamień ciosowy użyty na budowę katedry starożytnej w Kruświcy sprowadzany był tąż drogą z gór, po za Koninem znajdujących się, którego łomy i dziś jeszcze dostarczają materiału na krzyże i nagrobki w okolicy.

Miejscowość tę upatrzył sobie rycerz nazwiskiem Garczyński, który upodobał sobie życie rozbójników-rycerzy niemieckich, i zapragnął naśladować ich.

Na najobszerniejszej wysepce wśród niedostępnych lasów, bo zawałonych pniami wywróconych drzew, zbudował sobie zameczek, otoczył się liczną zgrają hultajów, a wypadając zbrojno na podróżnych, wymuszał od nich bogate dary w złocie, w różnych towarach i płodach. Nie brakowało mu niczego, bo wszystkiego ludzie, dostarczyć musieli, jadła, napoju, pięknego odzienia; nie dostawało tylko spokoju duszy. Dla złagodzenia wyrzutów sumienia hulał Garczyński dzień po dniu. Uprowadzona gwałtem kapela z jakiegoś zamku musiała grać wesołe i roz-

pustne śpiewki; wino i piwo podbudzało ochotę, zbóje płasali jeden z drugim, póki rozstawione stráže nie dały znaku o zbliżającym się taborze podróżnych. Wtedy Garczyński dawał hasła rogiem żubrowym, a zbóje zbrojni w topory, miecze i pałki, siadali w łodzie i zachodzili drogę wędrowcom.

Nie znano jeszcze w owym czasie takich porządków w zarządzie kraju, jakie z czasem po trochu pozaprowadzano wszędzie. Ludzie bowiem ciągle poprawiają swe ustawy. Wtedy rządy były skupione w rękę samego króla, jeden człowiek nie był w stanie podolać wszystkiemu, ani mógł nadażyć karać winnych.

Dla tego to powstało rycerstwo chrześcijańskie, które miało ochraniać słabych przed silnemi i karać krzywdzicieli.

Przez długie, długie czasy, rycerstwo spełniało rzeczywiście zadanie swoje; rycerz dowiedziawszy się o popełnionem nadużyciu gdziekolwiek, zbierał drużynę i póty walczył z pogwałcicielem sprawiedliwości, póki go nie pokonał i nie oswobodził uciśnionych.

W czasach, w których żył Garczyński, chociaż wielu z pomiędzy rycerzy popsulo się i stało się szkodliwymi, znajdowali się przecież jeszcze nie odstępujący ani na krok od swych obowiązków.

W owym to czasie zasłynął polski rycerz Zawisza Czarny, od którego poszło przysłowie: »polegać na kimś jako na Zawiszy«. A pochodziło to z tej przyczyny, że wtedy skoro ten mąż rozciągnął nad kim opiekę swoją, nie skąpił trudów, czasu i wszelkiego rodzaju starań, póki nie dokonał przyrzeczonego słowa.

Garczyński hulał zatem i rozbijał, a żądze jego wzrastały w miarę używania. Zapragnął żony dla siebie z pomiędzy szlacheckich pańienek.

Na temże jeziorze Ślesińskim znajdował się także zameczek zbudowany na skale sterczącej samotnie wśród szeroko rozlanego jeziora. Zameczek ów stary zamieszkiwała sierota Klara Mikorska, pod opieką krewnych i sług licznych.

Panna była nader piękną, ale dumną niezmiernie. Od wczesnych lat, zostawszy sierotą, nauczyła się rządzić sama sobą, zmuszać do posłuszeństwa sługi. Lubiała polować po lasach, tłuc niedźwiedzie i wilki. Nie posiadała niewieściej miękkości serca, nie pragnęła wcześniej wyjść za mąż.

Pomiędzy wielbicielami jej znajdował się rycerz Janusz, który zajechawszy raz na zamek mikorzyński, nie chciał go już więcej opuścić bez pięknej dziedziczki. Klara oziębłą była dla niego, ale rozkochany rycerz nie tracił nadziei, że z czasem serce dziewczicy zmięknie.

Gdy czas upływał, a żadnej nie przynosił zmiany w sercu Klary, Janusz zasmucony ciężko opuścił nareszcie panią jeziora i udał się do Krakowa pod królewskie rozkazy.

Tymczasem Garczyński spotkawszy na polowaniu Klarę, zapragnął ją posiąść. W rzędzie starających się otwarcie kawalerów nie śmiał stanać, postanowił więc napaść ze swą zgrają na zamek i porwać przemocą pannę.

Było to w nocy w porze jesiennej. Bramy zaparte żelaznemi dragami, zostały wyważone; wartownicy pozabijani. W jednej chwili komnaty zamku zaroily się rabusiami, jak ul pszczołami. Przerażeni

słudzy kryli się po kątach, albo padali pod ciosami zbójców.

Zbudzona niezwykłym hałasem Klara odziała się w kożuszek, i chwyciła topór żelazny w dłoń. Wyrzawszy przez zakratowane okna, spostrzegła obce postacie z pochodniami zapalonemi w dłoni.

Do uszu jej dolatywały jęki i krzyki mordowanych ludzi. Krewna śpiąca obok niej, wylekniona łamała ręce i jęczała w głos. Klara nie ustraszyła się, stanęła w progu z podniesionym toporem.

Zaparte drzwi jej sypialni zaczęto podważać. Mnoga zgaja dokonała tego szybko, pochodnie ich dymne i blask mieczów nagich, oślepiły dziewicę na chwilę.

Garczyński wysunął się naprzód kłaniając układowie.

»Precz! precz!« krzyknęła Klara, »bo tym toporem łeb roztrzaskam«, przydała z mocą.

Rycerz skłoniwszy się po raz drugi, przemówił grzecznie:

»Jesteś pani odważną, jak lwica, ale sama jedna. Przelicz nasze szeregi i przekonaj się, że największa odwaga nie podola naszej sile. W jednej chwili na moje skinienie topór wydartoby ci z ręki i związana oddanoby w moc moję. Nie uczynię tego przecież. Nie jestem prostym zbójcą, tylko rycerzem, uwielbiam twą piękność, pragnę zostać twoim mężem. Porzuć usiłowania daremne obrony, podaj mi przyjazną rękę, a pojedziemy oboje na mój zamek.«

Klara miała rozum jasny, zrozumiała szybko, że opór siłą nie doprowadzi do niczego, a przeczuwała, że odporem powolnym, moralnym, mogłaby wiele zdziałać z człowiekiem, który nie pozbył się

jeszcze całkiem uczucia honoru rycerskiego. Uległa więc pozornie, zataiwszy w sercu gniew, i prosiła, aby jej było wolno zrobić niektóre rozporządzenia w zamku.

Garczyński przyzwolił.

Klara zwołała sługi, które uszły śmierci lub ran, kazała zastawić stoły, przynieść wina, i częstowała gości z uprzejmym uśmiechem, choć serce jej przepełnione było wzdargą i niechęcią. Wśród tego krzątania udało się jej wynaleźć starego dozorcę zamku, a wręczywszy mu potajemnie pierścień wyrzekła z cicha:

»Oddajcie ten sygnet Januszowi, opowiedzcie mu, co się stało i błagajcie o ratunek.«

Po skończonej uczcie Garczyński zabrał Klarę na swój zamek. Zastała tam ona komnaty strojne w kobierce wzorzyste, a pod ścianami stały skrzynie ładowane złotymi pierścieniami i łańcuchami. Wszystkie te wspaniałości nie nęciły oczu dziewicy, brzydziła się niemi, i nienawidziła coraz więcej zbójcę, choć ukrywała się z tem, a opierając się tylko czułym natarczywościom jego, zbywała go obietnicami na przyszłość, a tymczasem wyglądała ocalenia od Janusza.

Rycerz Janusz posłyszawszy wieść o porwaniu Klary, jał zbierać drużynę rycerską, błagał króla o pomoc, ale w owych czasach nie szły takie rzeczy z łatwością.

Król miał sto innych spraw do załatwienia. Rodzeni bracia buntowali się przeciw niemu. Lenni książęta nie byli posłuszni, kłócili się między sobą, wydzielali sobie ziemię, trzeba było godzić ich i sądzić.

Biedny Janusz, jak szalony pędził z zamku do zamku, prosząc o pomoc. Majętność swą ziemską zastawił za lichy grosz, byleby na czasie zyskać. Uzbroid lud okoliczny, kazał budować łodzie, zbijać tratwy, bo lądową drogą nikt nie mógł przedostać się do siedliska Garczyńskiego.

Tymczasem rozkochany zbójca zajęty był tylko przypodobaniem się pannie. Zapomniał o niebezpieczeństwie, zaniedbał wszelkiej czujności. Nie chodziło mu już nawet o nowe zdobycze, miał dosyć wszystkiego; pragnął kochania i pieszczoty żonki.

Stroił się w najpiękniejsze szaty, kłaniał się nisko, przemawiał układnie, kazał śpiewać pieśni giermkom. Klara lubiła słuchać tych pieśni o rycerzach zakochanych i o dziewicach czułych, których Garczyński wędrując dawniej po świecie, ponauczał się na pamięć, a które teraz sam na polski język przekładał i towarzyszom swym śpiewać kazał. Na wszystkie oświadczenia miłosne i zapytania, czegoby żądała, odpowiadała zwykle:

»Wróćcie mi wolność. Nie urodziłam się podle, abym jak niewolnica żyć mogła w cudzym domu. Wolę śmierć w każdej chwili nad przymuszonego małżonka. Pytajcie ludzi, niech powiedzą, ilu swatów odesłałam od moich progów, bo nie wpierw pójdę do ołtarza, póki nie pokocham rycerza tak jak te dziewice, o których śpiewają wasi giermkowie.«

Dnie schodziły jeden za drugim. Klara w coraz większą niecierpliwość wpadała, a nie mogąc doczekać się pomocy z kądkolwiek, rozmyślała nad sposobami potajemnej ucieczki.

W tym celu przyglądała się bacznie towarzyszom Garczyńskiego, czy nie znajdzie się pomiędzy tą zgrają twarz szlachetniejsza, zdradzająca czło-



Otoczony zewsząd, nie poddał się, póki poraniony i krwawy nie runął w topiel jeziora. (Str. 178).

wieka, któremu mogłaby się powierzyć. Niestety! Z pomiędzy wszystkich rozbójników, Garczyński najwięcej po ludzku wyglądał jeszcze. Długie obcowanie z rycerstwem dało mu znajomość obyczajów wielkiego świata. Na dworach książęcych i królewskich nauczył on się delikatnego obejścia, mowy grzecznej i zbogacił swój umysł wielu wiadomościami.

Towarzysze Garczyńskiego byli to wyrzutki z gminu, zbydlęceni, okrutni, chciwi mordów, łupieży i hulanki. Przypatrzwszy się im uważniej, Klara uczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Pobyt w zbójcekiem gnieździe z każdym dniem stawał się nieznośniejszym. Mimo niepospolitej dzielności i tęgości ducha, uwięziona dziewczyna nie mogła wynaleźć sposobu ratunku, w modłach tylko i we łzach gorących szukała wybawienia. W ciężkiej jednej godzinie uczyniła ślub Bogu, że jeśli wyswobodzi ją z tej strasznej niewoli, spędzi resztę życia jako pustelnica w samotności.

Janusz zdołał nareszcie zgromadzić liczny hufiec rycerzy, przyłączył uzbrojoną ludność okolicy i urządził nocną wyprawę na wyspy zbójckie.

Straże Garczyńskiego ujrzawszy liczne łodzie, wzięły je za tabór podróżnych i kupców. Na dany sygnał zgraja opryszków zbiegła się z radością, ciesząc się na bogate łupy. Ale mniemani wędrowcy zamiast skupić się i czekać pokornie na rozkazy Garczyńskiego, popłynęli lotem ptaka pod łodzie rozbójników, ze zdobytymi mieczami i dzidami.

Dowódzca zbójców odgadł, co to znaczy, a widząc, że opryszki powitani gęstymi cięciami szabel rozbiegają się na wsze strony w ucieczce, postanowił zginać po rycersku.

Otoczony zewsząd, nie poddał się, póki poraniony i krwawy nie runął z łodzi w topiel jeziora.

Zwycięzka drużyna udała się do zamku, uszczęśliwiona z oswobodzenia Klary; tu przez trzy dni podejmowała gości, częstując ich jadłem i napojem, którego zapasy wielkie znajdowały się w wieżach, i nie skąpiąc podzięk.

Janusz ponowił prośbę o rękę pięknej Klary, która powodowana wdzięcznością a poniekąd także miłością, chętnie spełniłaby jego życzenie, gdyby nie ślub, że zostanie pustelnicą. Z wielkim zatem żalem odmówiła ręki dzielnemu rycerzowi. Nieszczęśliwy Janusz tak sobie wziął do serca odmowę Klary, że przybrawszy strój pielgrzyma udał się do Ziemi Świętej, z kąd wróciwszy, wstąpił do zakonu Franciszkanów.

Minęło lat 20 od tego wypadku. Pewnego razu zakonnik klasztoru Franciszkanów, braciszek Bonawentura, wysłany po kweście, zabłąkał się w lesie w okolicy Kruświcy. Zgłodniały i zziębnięty ujrzał nareszcie ubogą chatkę w lesie. Ucieszył się wielce i zapukawszy do drzwi, poprosił pokornie o skromny posiłek.

Z chaty wyszła jakaś niemłoda niewiasta, która przyniosła wkrótce skibę chleba i miskę mleka. Zakonnik zjadał smacznie, bo przez dwa dni nie miał już nic w ustach. Spożywszy posiłek, podziękował najprzód Bogu, a potem chce dziękować kobiecie, ale gdy spojrzał w oblicze, zadziwił się, doznając niezwykłego wzruszenia serca.

»Tę twarz gdzieś widziałem,« pomyślał, »ale gdzie?« Niewiasta była także zmieszana. Po małej chwili odezwały się dwa głosy:

»Klaro! Janusz!«

Klara, dopełniając ślubu, osiadła w tem samem miejscu, gdzie stał zamek Garczyńskiego. Przeważnie własnymi rękami zbudowała chatkę i tu trawiła czas na modlitwie i zbieraniu ziół leczniczych. Okoliczni włościanie z błogosławieństwem na ustach wspominali »dobrą panienkę«, bo odwiedzała ich w chatach i leczyła, niosąc pociechę. Wdzięczni kmiecie opatrywali Klarę w potrzebną żywność.

Blisko godzinę opowiadali sobie Janusz i Klara swoje przygody, poczem rzekła pustelnica:

»Odejdź już, ojczy duchowny, bo ani cień podejrzenia nie powinien paść na nas. Dziękujemy Bogu za łaskę, że nam dozwolił się spotkać po tylu latach rozłąki. Idź do poblizkiego klasztoru, a za kilka dni zajmiesz się moim pogrzebem, gdyż czuję, że już wkrótce przeniosę się do wieczności. Żegnaj, Januszu. Do widzenia w niebie!«

Zakonnik, pobłogosławiwszy Klarę, ze łzą w oku opuścił pustelnię. W kilka dni istotnie dostał wiadomość, że Klara nie żyje. Na pogrzeb zebrało się tysiące ludzi. Wkrótce także Janusz dokonał życia. Pochowano go na cmentarzu obok pustelnicy.

Dawnemi czasy nad jeziorem ślesińskim, które niegdyś z jeziorem Gopło tworzyło jedną całość, rosły na kilka mil lasy, a że w nich często przebywali zbójcy, przeto powstało przysłowie: »Pójdiesz zbijać do ślesińskich borów,« którego używano, jeżeli syn nie chciał słuchać rodziców i lenił się do roboty.

Jeszcze przed niedawnym czasem opowiadano sobie po wsiach okolicznych, że nieraz w noc księżycową mknie po fali jeziora mgława postać rycerza na koniu. Ma to być cień Garczyńskiego, który pokutuje za grzechy. Zbójectwo jest ciężką

zbrodnią, za którą czeka albo wieczna kara piekła,
albo długie i ciężkie męki czyścowe.

DOBOSZ.

Powieść huculska, przez ks. Antoniewicza.

Gdzie się jodeł las zieleni,
Gdzie po łące Prut się pieni.
Idzie Dobosz dzikim borem
I podpiera się toporem,
Bo głęboka w nodze rana
Ostrem cięciem mu zadana.
Stanął, w dłonie ostro świsnął,
Topor za toporkiem błysnął.

»Chłopcy! bierzcie strzelby grzmiące
I toporki wasze lśniące,
Ufni w sile, ufni w mocy
Chodźcie za mną w cienu nocy
Do Kosmacz wiedzie ta ścieżka,
Tam gdzie Stefan Dźwinko mieszka,
Tam na skale, tam nad wodą
Mieszka Dźwinko z żoną młodą,
Miejcie baczność o Huculi,
Waszej zwierzam życie kuli,
Waszej sile, waszej broni
Stańcie wkoło na ustroni;
Ja pod oknem przy tej ścianie
Cichym głosem zwabię Ksenię.«

»Ksenio piękna i wesoła,
Wyjdź z twej chaty, Dobosz woła;

Wychodź prędzej, noc ucieka.
 Dobosz tu na ciebie czeka.
 Czyś nie sama? czyś usnęła,
 Żeś tak mocno drzwi zamknęła?»

»Ja tu sama, ja cię słyszę,
 Czegoś nocną przerwał ciszę?
 Czegoś przyszedł pokryjomu?
 Idź, Doboszu, idź do domu;
 Do kochania tyś za młody,
 Wracaj nazad do twej trzody.
 Wiele Prutem wód upłynie,
 Nim ty wzrośniesz w połoninie.
 Graj na trąbie, splataj kwiaty,
 Ty nie wejdiesz do mej chaty;
 Drzwi z cisiny, mocne zamki,
 A u drzwi żelazne klamki.«

Ale Dobosz silną dłonią
 W drzwi uderzył, okna dzwonią;
 Drzwi nie rozłił, w dłonie świsnął,
 Topor za toporkiem błysnął.
 »Niech gorąco kule lecą,
 Niech toporki tu zaświecą,
 Niech żelazne zamki pękają,
 Niechaj drzwi cisowe jękają.«
 Lecz któż się tam zdradnie wkrada
 I ze strzelbą na dach siada?
 Stefan Dzwinko długo mierzył,
 Aby prosto w pierś uderzył,
 I Doboszu w twojem łonie
 Poświęcona kula tonie.
 Tyś stał wsparty na siekierce,
 Kula prosto trafia w serce.
 Piękny Dobosz już się chwieje,

Oczy gasną, twarz blednieje;
 Gasną osłabione oczy,
 A strumieniem krew się toczy.
 Dziki rzuca wzrok dokoła,
 Na swych wiernych chłopców woła:

»O wy wierni mi Huculi,
 Na ten topór i na kulę,
 Na tę kulę, co w mem łonie
 Oстрым śmierci ogniem płonie,
 Przysięgnijcie mścić śmierć moją!
 A mnie nieście w połoninę,
 Tam na alpie niechaj ginę.
 Na toporki bierzcie ciało,
 Nieście szybko, nieście śmiało,
 Gdzie się jodeł las zieleni,
 Gdzie się zimne źródło pieni;
 Idźcie ścieżką, tu przez skały,
 Którą Dobosz chodził śmiały.
 W połoninie jest murawa,
 Rosą wonną lśni się trawa;
 Tam jest jawór, w jego cieni
 Niech się grób mój zazieleni.

U w a g a ! Powyższe opowiadanie wierszem dowodzi, jak lud zbójców otacza jakimś urokiem szlachetności, chociaż to się sprzeciwia prawdzie. Dobosz był zwykłym rozbójnikiem, który z zimną krwią mordował ludzi, a że czasem dał biednym nieco zrabowanego grosza, przeto tworzono o nim baśnie, podobne do powieści z 1001 nocy. Zginął Dobosz z powodu kłótni, ale lud twierdzi, że miłość była powodem jego śmierci. O Doboszu po dziś dzień krążą liczne powieści w wscho-dniej Galicyi.



SPIS RZECZY.

	Strona
Wstęp	3
Rozbójnicy. Wiersz napisany przez ks. biskupa Hołowińskiego	5
Rozbójnik w okolicy Poznania. Powieść oparta na prawdziwym zdarzeniu	8
Przygoda bogatego żyda na polowaniu z rozbójnikiem	27
Narzeczona zbójcy	31
Dwie powieści ludowe o zbójcy Madeju	49
O Madeju rozbójniku	74
Kilka uwag do powieści o „Madeju“	77
Zbójectwo we Włoszech	78
Hajdamaka. Przez Kazimierza Wł. Wojcickiego	82
Rozbójnicy w Tatrach	88
O dwóch ostatnich rozbójnikach tatrzańskich	99
Święty Jan Kanty pomiędzy zbójcami	101
Nawróceni zbójcy. Igra z życia św. Jana Kantego, ułożona przez J. Chociszewskiego	102
Wór pieniędzy w lesie. Dyalog zbójceki w czterech scenach	113
Zbójcy na Czorsztynie. Powieść historyczna z XV wieku przez A. Winiarskiego	120
Powieść o pięknej Anusi i o lokaju Grzesiu	135
Łupina orzechowa. Komedyjka na pół zbójceka z tańcem i śpiewami	157
Zbójcy w Galicyi	166
Powieść o rozbójnikach osiadłych niegdyś nad jeziorem Slesińskim. Ułożyła Aniela Milewska	169
Dobosz. Powieść huculska, przez ks. Antoniewicza.	180